

Rozpruwacze



URKE NACHALNIK

Rozpruwacze

POWIEŚĆ SENSACYJNA

ROZDZIAŁ I

— Trzymać złodzieja!... Łapać złodzieja!... Policja — a — a!...

Nagle rozległ się w ciszy nocnej rozpaczliwy krzyk kobiety. Głos jej tonął w dali, w labiryncie ciemnych uliczek...

Nikt, widać, nie śpieszył napadniętej z pomocą. Głos jej słabł z każdą chwilą. Raz jeden jeszcze tylko wydarł się z jej piersi rozzwierający, beznadziejny krzyk, wyrzucony jak gdyby ostatnim tchem:

— *Ratunku!*...

Po czym nastąpiła cisza, jakby w ogóle nic nie zaszło.

Ratuszowy zegar dawno już oznajmił, że minęła północ. Miasto pogrążone było we śnie zimowym: chodniki, jezdnie, dachy domów pokryte były kobiercem śnieżnym. Dookoła nie widać było żywej duszy.

Tylko nocny tramwaj mijał od czasu do czasu bezszelestnie niby widmo, zostawiając za sobą czarne ślady. Bezdomni, którzy nawet we śnie czuwają, tej nocy spali snem kamiennym, niespłoszeni przez nikogo.

Księżyc zawiadliwie rozglądał się po stolicy. Jego blade promienie szperały w podwórkach, po dachach, zaglądając ciekawie do okien wysokich kamienic.

Policjant w kożuchu białym, ukryty za węglem ulicy, stał niby przykuty do miejsca. Ciepły kożuch i ciepłe słomianki na nogach usposabiały go do przymykania powiek. Sen zmorzył jego oczy i uszy policyjne zobojętniały na wszystko, co się wokół niego działo. Jedynie uporczywa myśl o obowiązku powstrzymywała go od tego, by się zupełnie wygodnie ułożyć do snu.

Na rogu ciemnej, wąskiej uliczki zaczął się cień ludzki. Ostrożnie, powoli sunął na wpół biegnącymi krokami, aż przystanął. Dłuższą chwilę nasłuchiwał, tuląc się do ściany wysokiej kamienicy. Rozglądał się na wszystkie strony niby lis otoczony przez ogary. Jego wprawne oczy zdawały się przenikać grube mury, parkany i ostrzegać przed niebezpieczeństwem kryjącym się w ciemności. Nasłuchiwał z całym natężeniem złodziejskiej jaźni. Serce waliło niby młotem, gdy prześlizgiwał się ostrożnie wzdłuż murów. Wyglądał niemal jakby przylepiony do ścian domów. Jeno cień swobodnie rozkładał się na chodniku.

Człowiek ten myślał tylko o jednym.

...Byleby przez tę ostatnią ulicę *przetachać się*, a potem... tyle forsy... kupa pieniędzy...

Prawą ręką dotknął wypchanej teki, którą pieszczotliwie ścisnął za pasem. Grymas zadowolenia wykrzywił jego surową, męską twarz.

Już widział w swojej wyobraźni piękną własną willę nad brzegiem morza.

Przyśpieszył kroku i nagle znów przystanął.

Zdawało mu się, że słyszy szmery.

„...Taka klawa robota i tyle ryzyka i *cykorii*¹. Mało brakowało, bym się wsypał. Ta baba narobiła takiego rwetesu, niemało brakowało, a byłbym *wychlany*...”²

Znów ruszył. Denerwowały go własne ślady na śniegu. Z zasady nie zostawiał nigdy po *robocie* odcisków palców ani innych znaków. A teraz...

¹*cykoria* (gw. środ.) — strach, obawa. [przypis edytorski]

²*wychlany* (gw. środ.) — złapany, ujęty. [przypis edytorski]

— Niech to diabli wezmą... *Skety*³ nie będą mieli wielkiej trudności w odszukaniu mojej meliny. Jestem zgubiony!

Przystanął: wzrok jego spoczął na stojącej białej bryle policjanta.

Postanowił się prześlizgnąć. Wtem kożuch poruszył się; głośne ziewanie przecięło powietrze.

Cień ludzki jeszcze bardziej przyległ do ściany i skamieniał. Włosy stanęły mu dęba. Serce biło silnie, jak gdyby usiłowało zagłuszyć uczucie trwogi.

W głowie błysnęła myśl. Myśl natrętna, której sam się przeraził.

— Nie, nie — szeptał do siebie. — Wszystko już uczyniłem w swym życiu przestępczym, ale zamordować człowieka zniecka, nigdy!... przenigdy!... Choćby to nawet był i policjant.

Posterunkowy po chwili znów się zdrzemnął. Odstawił na stronę karabin, oparłszy się wygodnie o ścianę.

Ludzki cień swobodnie odetchnął. Spoglądał na białą, śpiącą bryłę z zadowoleniem. Postanowił teraz sprzątnąć karabin i w ten sposób zabezpieczyć sobie ucieczkę, aby *hint* nie mógł strzelać w razie pogoni.

Człowiek ten zawsze należał do ludzi czynu. Nie namyślając się więc długo, cicho jak wąż przesunął się w stronę policjanta. Słyszał wyraźnie jego chrapanie. Prawą ręką sięgnął po karabin.

Już, już miał go dotknąć palcami, gdy naraz policjant ocknął się. Jak nożem przeciął ciszę nocną głośny okrzyk.

— Stać!... Kto idzie?!...

— Stać! Bo strzelam!... — powtórzył niepewnie i groźnie zarazem.

Podejrzany człowiek nie tracił ani chwili. Całą siłą swoich wprawnych nóg pędził przed siebie. Myśl o śladach, które zostawiał na śniegu, dodawała mu sił do ucieczki.

Policjant zrazu nie zorientował się, co zaszło. W pierwszej chwili myślał, że dzielnicowy urządził mu kawał, zabierając karabin, wnet jednak zrozumiał, że jest w błędzie.

Chwila wahania. Zrzucił z siebie ciężki kożuch i słomiane pantofle. Rewolwer błysnął w jego rękę. Kilka strzałów przeszło powietrze, ale uciekający zdążył przerzucić karabin przez parkan, żałował w duchu ryzykownego postępku.

„Złapią, będę miał brzydką sprawę” — pomyślał.

Policjant, po kilku minutach pościgu, oparł się o parkan, sapiąc ciężko. Był w rozpacz. Kroki uciekającego zupełnie już ucichły. Nie wątpił, że miał do czynienia z niebezpiecznym opryskiem, ale po co potrzebny mu był karabin?

— Co robić, co robić? — szeptał do siebie. — Co powiem w komisariacie na swoje usprawiedliwienie?

Zły był na siebie, że usnął, ścisnął kurczowo rewolwer i bliski był samobójstwa. Tylko myśl o Marusi, którą kochał, powstrzymywała go od desperackiego kroku.

„A może zataić ten wypadek?” — pomyślał w duchu. — Ale karabin? Karabin!... — wykrzyknął, uderzając się pięściami po głowie.

Nagle przypomniał sobie kożuch, który porzucił na chodniku. Dreszcz zgrozy przebiegł mu po ciele.

— Złodzieje mogą mnie nieźle urządzić. Ładnie bym wyglądał — uśmiechnął się gorko — gdyby mi i kożuch w dodatku sprzątnęli...

Uczył krok naprzód. Wtem prawą nogą dotknął jakiegoś przedmiotu. Przystanął z bijącym sercem.

Może ten opryszek podrzucił bombę?

Chciał czym prędzej się oddalić, nie sprawdzając nawet, na co nastąpił. Ciekawość jednak wzięła w nim górę.

Powoli, ostrożnie przyświecił lampką elektryczną. Ujrzał skórzaną tekę.

Była wypchana i obwiązana dokoła mocnym szpagatem⁴.

³*skela* (gw. środ.) — policjant. [przypis edytorski]

⁴*szpagat* — sznurek. [przypis edytorski]

Postanowił udać się natychmiast do komisariatu. Wtem usłyszał odgłosy kroków. Przejęty strachem wyciągnął rewolwer, gotowy do obrony.

— Stać!!! Kto idzie??? Nie ruszać się z miejsca, bo kula w łeb!... — dodał groźnie, dzwoniąc przy tym zębami.

Kroki zbliżały się.

— Stać! Stać!!! Kto tam???

— To ja!!! — słychać było z daleka.

— Co za ja? Kim jesteś? — krzyczał policjant coraz głośniej. — Stać, bo strzelam!...

— Ha, ha, ha... — usłyszał w odpowiedzi zdrowy, męski śmiech.

Policjant przeżegnał się, prosząc Boga, aby strzegł go od złych duchów i diabłów.

— Raz! Dwa! Trzy! — krzyknął na cały głos i wystrzelił w powietrze.

— Co to za strzelanina? Zwariowałeś? — rozległ się głos w odpowiedzi.

— Stać!... Ręce do góry!... — wołał policjant niemal ze łzami w oczach.

— Co się tu stało? Mów! — zagadnął, już poważnie, przybyły. — Jesteś nieprzytomny, czy co? Strzelasz do mnie... To ja, rewirowy Wolkow... — Trącił go w ramię, budząc z odrętwienia.

— *Gospodin* rewirowy, największego zbrodniarza miałem dziś w ręku... — wyrzucił jednym tchem.

— Gdzie go masz?

— Miałbym go na pewno, gdyby mi nie czmychnął sprzed nosa...

— Ach tak!... Gdyby nie czmychnął? A gdzie karabin?

— Karabin... karabin... — wykrztusił policjant. — Nie miałem go przy sobie i strzelałem z rewolweru.

Wolkow zmierzył go badawczo od stóp do głowy.

— Wychodzisz na posterunek bez karabinu? Taki służbista z ciebie? A co masz pod pachą?

Michał Gawryk (tak nazywał się posterunkowy) zrobił krok w tył.

— Tekę znalazłem! — zawołał dumnie.

— Zobaczymy, jaka jest zawartość teczki.

— Nie mogę, *gospodin* rewirowy. Muszę tękę doręczyć do komisariatu. Może są tu pieniądze albo bardzo ważne dokumenty.

Rewirowy podskoczył zły i krzyknął:

— Co, mnie, rewirowemu boisz się tękę pokazać? Marsz do komisariatu. Tam poznasz mnie i dowiesz się, kim jestem.

Michał podrapał się ręką w głowę, nie wiedząc, co począć...

„Kto wie — myślał w duchu — czy to nie jest przebrany za rewirowego wspólnik zbiegłego bandyty”.

Po drodze rewirowy odezwał się:

— Jak widzę, pochodzisz ze wsi. W Warszawie nie tak łatwo wytropić przestępcę. Podczas gdy tak rozmawiamy, bandyta hula sobie już przebrany w nocnym lokalu i gwizdże na nas. Teraz urządzić na niego obławę już nie warto. Lepiej zobaczyć, co jego teka zawiera. Ta teka to „sztuczka” warszawskich złodziei.

— Złodziejskie sztuczki? A co to za sztuczki?

— Bardzo proste. Warszawscy złodzieje to wielkie cwaniaki, mój przyjacielu. Bywa nieraz, że kiedy uciekają przed pościgiem policji, podrzucają naumyślnie przygotowane teki. Liczą na to, że policjant schwyli tękę, a im da możliwość ucieczki.

Michał nabrał zaufania do rewirowego, żałował już w duchu, że tak dobrego człowieka podejrzewał o złe zamiary. Bez słowa wręczył mu tękę.

Rewirowy pośpiesznie rozerwał sznurki. Policjanci zbliżyli się do lampy ulicznej. Obaj skamieniali, gdy przy bładym świetle ujrzeli jej zawartość. Teka była wypchana paczkami walut zagranicznych. Leżał tam również elegancki damski rewolwer.

Rewirowemu pociemniało w oczach. Stał jak rażony piorunem.

Michał krzyknął uradowany:

— Kładź, *gospodin*, z powrotem wszystko do teki! Lecę do komisariatu. Nareszcie zaawansuję!...

Rewirowy zbadał nabity rewolwer miniaturowy, kiedy Michał w pośpiechu układał w tece paczki walut.

Rewirowy pod pretekstem kontroli posterunków oddalił się w przeciwnym kierunku, a stójkowy Michał Gawryk poszedł w stronę komisariatu, ściskając w ręku rewolwer na wszelki wypadek. Ledwie uszedł kilka kroków, padło kilka strzałów.

Michał padł na chodnik jak podcięty dąb. Z jego ust wyrwał się przeraźliwy krzyk:

— O, Jezus!...

ROZDZIAŁ II

Noc powoli ustępowała miejsca nadchodzącemu brzaskowi. Śnieg zaczął padać, jak gdyby chciał zatrzeć ślady podłości ludzkiej i okryć białym całunem wypadki nocy.

Michał leżał zwrócony twarzą do ziemi. Na jego trupio bladej twarzy zastygł wyraz grozy i przerażenia. Gęsty śnieg sypał coraz większymi płatkami, jakby śpieszno mu było z nakryciem stygnących zwłok policjanta.

Nocne lokale poczęły wypływać z siebie „lepszych” gości: młodych donżuanów i starych grzeszników, którzy już sami są do niczego, a czerpią tylko zadowolenie z tego, że przyglądają się temu, jak inni grzeszą w ich obecności...

Zawodowe prostytutki i „puszczalskie”... Blondynki naturalne i „podrobione”. Damulki z półświatka tytułujące siebie hrabiankami, zmęczone flirtem i tańcem. Mieszane towarzystwo uwija się szybko i dyskretnie, otulając przesycone wrażeniami ciała w karakuly i foki, na które „ciężko” pracowały...

Wesołe, starannie otynkowane i wytapetowane panny „z towarzystwa” trzymają pod rękę swoich „chlebodawców”; rozmarzone lgną do panów bankierów, dyrektorów, prezesów i innych „lepszych” egzemplarzy ludzkich, którzy mają monopol na sposoby życia i użycia.

„Wybrańcy” losu wynieśli się już z nocnych lokali na zaśnieżone ulice. Miasto ożyło pod akompaniamentem pisków i krzyków rozbawionych parok. Głośne a czule słówka pożegnania mieszały się z jeszcze głośniejszymi, opłaconymi z góry, pocałunkami...

Jako ostatnie wysuwają się na wpół pijane fordanserki, zmęczone „naciąganiem”, tańcem i „trzymaniem fasonu”. Kokietując i rozglądając się na wszystkie strony „dużymi oczami”, badają, czy jakiś amant nie ma ochoty zakończyć zapoczątkowanego w lokalu flirtu w „kawalerskim pokoju”.

Za nimi depczą ospali muzykanci. Wygłodniałe żołądki przygrywiają im lepiej, niż oni, do tańca. Wspominają z zazdrością zadowolone twarze, które oglądali na parkecie i przy stolikach suto zastawionych.

W lokalach rozrywkowych pozostali tylko kelnerzy i kelnerki. Wyśmiewają oni teraz *frajerów*, których „ogolili” i obliczają zarobki. Konsumują smaczne zakąski i popijają szampanem, opłaconym już z góry przez panów prezesów i dyrektorów. Drwią teraz z honorowych tytułów, które sami nadawali nocnym gościom...

Jeden tylko nocny lokal w stolicy jeszcze nie jest zamknięty. Tam goście nie przejmują się tym, że już świta. Zdawalioby się, że w tym lokalu hulanki i zabawy dopiero rozpoczynają się „na całego”.

W lokalu panuje mrok. Żarówki rzucają bladą różową światłość na stoliki. Mocna woń tanich perfum unosi się na sali. Na środku śpiewa półgłosem jakaś zbankrutowana artystka; śpiewa o miłości, winie, pieniądzu, krwi i więzieniu.

Goście nuca ochrypłymi, pijanymi głosami, przytupując do taktu wykrzywionymi obcasami. Wyszmygowana starsza już damulka o piętrowym biuście siedzi przy pianinie i uderza w klawisze „artystycznymi” długimi palcami, które nadają się raczej do podcinania żyłki kieszeni niż do pianina.

W tylnych pokojach brak światła. Panuje tam cisza, mącona tylko od czasu do czasu tajemniczym szeptem.

Podjeżdżane parki wysuwają się dyskretnie z separarek, aby ustąpić miejsca innym amatorom „ciszy”.

W lokalu panuje sztuczna wesołość, podsykana raz po raz dawkami alkoholu. Dwuznaczne wykrzykniki mężczyzn mieszają się z pijanymi chichotami kobiet.

Dym z papierosów i zagranicznych cygar jest tak gęsty, że niby mgłą przysłaniał pijane twarze i wydekoltowane biusty. Zabawa sprawiała tu wrażenie, jak gdyby była ostatnią w życiu biorących w niej udział. Wykorzystywali przyjemne chwile, których jutro być może będą już pozbawieni.

Wszyscy ci ludzie żyją z zarobków nocy. I noc zabiera im wszystko, co pod jej osłoną potrafią „zarobić”.

Przy wejściu i wyjściu z lokalu każdy gość wystawia umówione hasło. Kobiety i mężczyźni elegancko ubrani piją przy jednym stoliku z obdartusami. Im bardziej podejrzanie osobnik wygląda, tym częściej zabiera głos. Można łatwo poznać, że tacy mają tu przewagę nad elegantami.

Właściciel lokalu, człowiek o reprezentacyjnym wyglądzie, przechadza się wśród stolików, rzucając każdemu zachęcający uśmiezek i przyjacielskie słówko. Przysiada się co chwila do innego stolika, potrafi podczas największego hałasu opanować sytuację i widać, że umie trzymać w ryzach rozbawioną hałastrę.

W kącie lokalu siedzą przy stoliku dwaj mężczyźni, tak blisko siebie jak bracia syjamscy. Szepczą między sobą, jakby się o coś sprzecznali.

Aniela, piękna młoda dziewczyna, jedyna córka właściciela lokalu, stoi przy kasie za bufetem. Jej rasowa twarz przykuwa uwagę gości; każdy kłania się jej z respektem, w zamian za co otrzymuje niewinny rozbijający uśmiezek, który nigdy nie schodzi z jej cudownie wykrojonych warg.

Ale dziś Aniela kręci się nerwowo na krześle, spoglądając co chwila na ścienny zegar. Goście dostrzegają jej niepokój, ale żaden nie śmie zapytać o powód. Tylko ojciec od czasu do czasu zbliża się do niej, mówiąc coś po cichu, jakby ją uspokajał.

Ojciec Anieli, osobistość znana w świecie podziemnym, ochrzczony został w młodości pseudonimem „Lipa”, na który rzetelnie zarobił. Od najwcześniejszych lat wałęsał się po całym świecie, coraz to pod innym nazwiskiem. Stąd wzięło początek przerwisko „Lipa”⁵.

Urodzony z ojca starego katorżnika i matki znanej *doliniarki*⁶, zapoznał się już w dzieciństwie z „fachem” złodziejskim. Jako młodzieniec cieszył się już sławą *wunderkinda*⁷ w całej Rosji. Matka brała go ze sobą „do miasta” przed ukończeniem siódmego roku życia; wtedy rozpoczęła się jego właściwa edukacja...

Wychowany bez ojca (zginął na katordze), był pod wpływem wyłącznym matki, która dbała o to, aby jej jedynak został „sławny”.

W dniu, gdy ukończył piętnasty rok życia, odumarała go matka. Przed śmiercią wezwała go do siebie i pożegnała tymi słowami:

— Stasiu drogi! Dziecino moja kochana! Teraz mogę już spokojnie zamknąć oczy. Jesteś dorosłym człowiekiem i będziesz mógł sobie urządzić życie. Ciesz się, że moja praca nad tobą nie poszła na marne. Kradnij i rabuj, ile się da i gdzie tylko będziesz mógł. Nie żałuj frajerów. Oni naszych także nie żałują. Zemść się za ojca, który przez tych przeklętych frajerów został zesłany na dwanaście lat katorgi. Twój ojciec pochodził z porządnej rodziny i nigdy nie był złodziejem. W więzieniu poznał mnie i pokochał. Ja, która pochodzę z rodu złodziejskiego, i jego wciągnęłam w to przeklęte życie. Nienawidzę frajerów, synu. Gardzę nimi całą duszą. A wiesz dlaczego? Dlatego, że nigdy nie pozwalają nam podnieść się z błota. Nigdy nie podadzą usłużnej ręki, abyśmy mogli podźwignąć się i zostać uczciwymi ludźmi. Twój ojciec bardzo mnie kochał i przeze mnie został katorżnikiem. Za co? Mniejsza...

Tu przerwała, by zaczerpnąć tchu i dodała:

— Pamiętaj o dniu zadusznym i módl się za duszę twojej grzesznej matki.

Rozplakała się i całując go w czoło, ciągnęła dalej:

— Porzuć jednak z czasem, jak dorosisz, to podłe życie. Porzuć! — powtórzyła. — Koniec jest bardzo marny, synku! Strasznie jest gnić w więzieniu!

Po tych słowach przycisnęła go do siebie, całując w czoło:

⁵*lipa* (gw. środ.) — fałsz, oszustwo. [przypis edytorski]

⁶*doliniarka* (gw. środ.) — żeńska forma od rzecz. *doliniarz*: kieszonkowiec, złodziej. [przypis edytorski]

⁷*wunderkind* (z niem.) — dosł. cudowne dziecko; utalentowane, genialne dziecko. [przypis edytorski]

— Synu!... Bardzo mi ciężko rozstać się z tobą, nie dożywszy nawet czterdziestego roku życia. Lata przebyte w więzieniu wpędzają mnie przedwcześnie do grobu. Umieram! — krzyknęła chrapliwym głosem i dodała już zupełnie cicho: — Jedno mnie tylko cieszy, że gdy umieram, dokumenty moje opiewają na „lewe” nazwisko...

Po tych słowach wyzionęła ducha.

Stasiek „Lipa” był posłusznym synem. Modlił się chętnie, dawał biednym jałmużnę za spokój duszy matki, ale kradł też z powodzeniem. Policja poważnie liczyła się z jego „osobą”.

Podróżował za granicę, kradł w międzynarodowych pociągach, na okrętach, dworcach, w tramwajach, bankach, teatrach i nocnych lokalach. Wszędzie, gdzie tylko był tłok, „zarabiał”. Legendy krążyły w świecie podziemnym o jego wyczynach.

Na krótko przed ukończeniem dwudziestu lat porzucił *dolinarstwo* i wyspecjalizował się w „obrabianiu” kas. Na tym polu dokonywał cudów; prześcignął swoich nauczycieli w tym precyzyjnym „fachu”.

W Warszawie meldowany był za dokumentem opiewającym na „lewe” nazwisko, uciekający z Berlina, gdzie uprzednio zamieszkał i „kiwał”. Osiedlił się tutaj na stałe.

Mimo licznych przestępstw córkę Anielę — trzeba mu przyznać — wychowywał wzorowo. Nigdy w jej obecności nie zdradzał się słowem, które mogłoby jej nasunąć podejrzenie co do jego zawodu. Do lat osiemnastu córka nie miała pojęcia o przeszłości ojca. Uczyla się pilnie w gimnazjum, a potem wstąpiła na uniwersytet. Posiadała wszystkie zalety, jakie dobrze wychowana panienska wynosi z porządnego domu.

Ojciec, który często ulatniał się gdzieś na dłuższy czas, nie wywoływał wyjazdami najmniejszego podejrzenia. Była przekonana, że ojciec ma przedstawicielstwa zagranicznych firm.

W dniu, kiedy ojciec z konieczności przerwał jej naukę i wywiózł do Warszawy, odbył z nią dłuższą rozmowę. Aniela płakała, a nieraz nawet nosiła się z myślą o samobójstwie. Młodość jednak przezwyciężyła doznany zawód. Ślubowała sobie w duchu, że ojca nawróci na uczciwą drogę, co też ojciec jej przyobiecał; przysiągł córce, że zerwie z dawnym życiem.

Słowa dotrzymał, nie mógł jednak zupełnie zerwać z przeszłością; ciągnęło go do swoich. Żeby nie zatracać zupełnie kontaktu, założył wytworną restaurację-melinę i wslawił się tym wśród ludzi nocy jako człowiek o żelaznym, prawdziwie złodziejskim charakterze, człowiek, który umie trzymać język za zębami, a usta na kłódkę.

Jego zewnętrzny wygląd pozwolił mu obracać się w najlepszych sferach. Nikt nie śmiał posądzać go o przynależność do ludzi podejrzanego konduity. Krótko podstrzyżona „szpicbródka” i siwiejące włosy na skroniach upodabniały go do barona austriackiego. Opanowany w ruchach, o czarnych, przenikliwych oczach, ze złotymi binoklami na orlim nosie przypominał każdego, tylko nie Staśka Lipę, człowieka spod ciemnej gwiazdy.

Piękna prezencja, jaką obdarzyła go natura, i znajomość obcych języków ułatwiały mu w ułożeniu eleganckiego życia. Pieniądzy nie brakło mu nigdy, miał ich tyle, ile tylko złodziejska dusza zapragnęła.

W więzieniu siedział krótko. Umiał zawsze usunąć się w porę. Był taki pewny siebie, że nawiązywał nawet znajomości z przedstawicielami sprawiedliwości rosyjskiej; policmajster i naczelnik odesskiego *ssysknoje otdelenia*⁸ działali nieraz pod jego wpływem. Na Mołdowance było tajemnicą publiczną, że w jego domu odbywają się przyjęcia, gdzie szampan i ładne dziewczynki dopomagają *blatowac*⁹ opornych.

Stasiek Lipa miał wielkie zasługi w świecie podziemnym, z których był dumny: niejednego „swojego” wyciągnął z katorgi; ci, których w całej Rosji poszukiwano na mocy listów gończych, *melinowali*¹⁰ właśnie u niego. Pod jego troskliwą i czujną opieką nie obawiali się policji.

Opowiadano sobie z ust do ust o jednym takim wypadku, wychwalając rozum i takt Lipy.

⁸*ssysknoje otdelenije* (ros. *ссыскное отделение*) — wydział detektywistyczny. [przypis edytorski]

⁹*blatowac* (gw. środ.) — kraść. [przypis edytorski]

¹⁰*melinowac* (gw. środ.) — ukrywać się. [przypis edytorski]

Pewnego dnia naczelnik *ssysknowo oddelenia* zastał u Lipy znanego międzynarodowego kasiarza nazwiskiem Gruczkow, za głowę którego wyznaczono wielką nagrodę. Policjanci dobrze znali z fotografii Gruczkowa. Nic więc dziwnego, że poznał go i naczelnik.

Stasiek Lipa nie stracił się; bez słowa wyjął złotą papierośnicę wysadzoną brylantami i podał naczelnikowi.

— Kolega Gruczkow wręcza za moim pośrednictwem ten prezent panu naczelnikowi, aby był łaskawy o nim zapomnieć.

Gruczkow uklonił się elegancko, dodając cynicznie:

— Jestem pewien, że pan naczelnik będzie zadowolony z zaszczytu poznania mnie osobiście. Radzę też przyjąć ten skromny upominek. Sądzę bowiem, że lepiej przyjąć złotą papierośnicę niż kawałek ołowiu z mojego rewolweru.

Powiedziawszy to, począł bawić się od niechcienia browningiem, uśmiechając się pod nosem.

Stasiek Lipa roześmiał się na głos, starając się wszystko obrócić w żart:

— Kolega Gruczkow jest dowcipny... Proszę pana naczelnika do stołu. Zdaje się, że wszystko już jest w najlepszym porządku.

Po tych słowach wsunął mu bezceremonialnie papierośnicę do kieszeni. Naczelnik zmieszany i niezdecydowany nie oponował.

Ze strachu wypił nawet za zdrowie Gruczkowa...

Gruczkow wstał od stołu, uklonił się szarmancko, po czym zwrócił się do naczelnika:

— Radzę panu strzec mego upominku koleżeńskiego; obawiam się, że moi koledzy zechcą spróbować szczęścia u pana naczelnika.

Roześmiał się na głos i poklepał osłupiałego naczelnika przyjacielsko po ramieniu.

— Dziękuję jeszcze raz za dotrzymanie mi towarzystwa! — Uklonił się po raz wtóry i znikł.

Po wyjściu Gruczkowa naczelnik odzyskał równowagę; groził, złościł się, krzyczał, że zadzwoni natychmiast po policję. Stasiek Lipa uśmiechnął się i szepnął mu coś dyskretnie na ucho. Wysoki dygnitarz od razu się uspokoił.

Bezkarność i powodzenie u dygnitarzy carskich miał przede wszystkim do zawdzięczenia pięknej żonie. Ta jednak pewnego poranka ulotniła się jak kamfora, właśnie z jednym z dygnitarzy, zostawiając mu dwuletnią Anielę.

Stasiek przejął się bardzo ucieczką żony; został największym wrogiem kobiet i zaprzysiągł zemstę. Córeczkę z każdym dniem bardziej kochał i strzegł jej jak oka w głowie. Dbał o to, aby nie odczuwała braku matki.

Aniela swoją urodą przypominała matkę. Środowisko, w jakim teraz mimo woli się znalazła, nie wpłynęło ujemnie na charakter dziewczyny. Dla przestępców czuła więcej litości niż pogardy.

A jednak otoczenie zrobiło swoje. Była kobietą, a na domiar tego piękną, nic więc dziwnego, że przyszła i miłość...

ROZDZIAŁ III

„Lipa” w przeciwieństwie do swojej córeczki był tego dnia w lepszym humorze niż zwykle.

Spojrzał na Anielę, która smutna i zamyślona siedziała przy kasie, i litość go ogarnęła.

„Moja Aniela jest zakochana. Ale w kim?... — myślał w duchu. — Nieszczęsna, nie widzi, co się koło niej dzieje. Myśli, że potrafi go wyrwać z błota. O, nie!... Kto się raz poślizgnie, to już przepadł. Wiele razy i ja próbowałem... Zupełnie wyrwać się jednak nie mogę”.

Przechadzał się po lokalu z rękami w tył założonymi, rozmyślając o czymś. Lokal opróżnił się już do reszty. Patrzył w okno na nadchodzący poranek, myśląc o wypadkach ubiegłej nocy.

„Na pewno go *wychlali*. Pozbędę się go nareszcie. Mojej córki mu się zachciewa. Dostyc moja rodzina wycierpiała w tym przeklętym życiu! Dostyc ja cierpię... Nie! Nigdy!...”

W lokalu pozostali tylko dwaj mężczyźni, którzy przedtem po cichu kłócili się ze sobą w kącie sali. Biegali teraz zdenerwowani po sali, spoglądając co chwila na zegar.

— Co za cholera?... — odezwał się jeden. — Zerknij, Antek, na *bimber*, jest już po dziesiątej, a jego jeszcze nie ma... Bardzośmy źle zrobili, uciekając w innym kierunku.

— Hm... — odezwał się zagadnięty. — *Wychlaliby* nas razem. Głowę daję, że on już *kiwa*.

Aniela przysłuchiwała się rozmowie i nie rozumiała jeszcze, o co im chodzi. Słabo znała żargon, którym posługiwali się ludzie nocy w rozmowie.

— Co tu począć? — zawołał Felek. — A może?...

Antek nie dał dokończyć zdania i zatkał mu usta ręką.

— Zamknij *jadaczkę*... Słyszysz... Wszystko, ale nie to... — wykrzyknął, domyślając się, do czego tamten dąży.

— Wszystko jest możliwe w dzisiejszych czasach — odparł Felek filozoficznie.

— Ja ci mówię, żebyś się przymknął! — ryknął wściekły już Antek. — Jak śmiesz podejrzewać własnego współnika?...

— Nie denerwuj się tak, brachu — odparł Felek. — Na taką okrągłą sumkę, jaka była w tece, każdy by się połączył.

Nie zdążył jeszcze wymówić ostatniego słowa, gdy Antek wyrzucił go pięścią między oczy. Felek upadł na drzwi, za którymi siedział Stasiek Lipa zatopiony w myślach.

— Bez awantur, proszę — zwrócił się do Antka, ściągając groźnie brwi. — Mój lokal to nie karczma.

— Zasłużył i dostał w nos — odparł Antek. — Na „Klawego” nie dam gadać. Powiedział, że zwiął z forszą.

— Zwiąć to nie zwiąć, ale może być *zasypany* — odrzekł Lipa poważnie.

— Ale tyle forsy!... Tyle forsy!... — krzyknął Felek, ocierając obojętnie krew z nosa.

Antek spojrział z ukosa i z żalem wyrzucił:

— Daj gęby, Felek. Dzisiaj taki dzień, że zwariować można. Tyle ryzyka i pracy poszło na diabła. Sto lat nasz brat musi czekać na taki *kaber*.

— Wszystkiemu *tylatorka* winna. Narobiła rejwachu¹¹, jakby ją ze skóry obdzierali — dodał, już udobruchany, Felek.

Antek biegł po pokoju tam i z powrotem, wreszcie zatrzymał się przed Staśkiem.

— Co ty na to, brachu? — zapytał.

— Moim zdaniem „Klawy” *leży*. *Menty* rozstawione po rogach ulicy bez wątpienia musieli usłyszeć krzyk i capnęli go.

— Nie! To niemożliwe. Klawy Janek nie daje się tak prędko *wychlać* — zawołał Antek z przekonaniem.

Nagle w drzwiach stanęła Aniela. Utkwiła w ojcu oczy pełne wyrzutu.

— Co się stało? — Zerwał się Lipa.

— Jeszcze go nie ma... — Wybuchła płaczem.

— Tylko z tego powodu płaczesz? — uśmiechnął się gorzko Lipa.

— Powiedz, gdzie się podział mój Janek?

Lipa przybrał nagle groźną postawę, chwycił córkę za rękę i krzyknął:

— Od kiedy ten łobuz jest twój?! Mów!

— Puść mnie! Puść! — prosiła Aniela, chcąc uwolnić rękę.

— Gadaj, mówię ci! Co zaszło między wami?! — Ścisnął jeszcze bardziej rękę córki, zgrzytając zębami ze złości. — Jestem twoim ojcem! Muszę o wszystkim wiedzieć!

Aniela gwałtownie wyrwała rękę z uścisku. Dłuższą chwilę ojciec i córka mierzyli się wzrokiem, po czym Aniela śmiało odparła:

— Ojczy, obrażasz mnie. Źle mnie zrozumiałeś. Janek mi nic złego nie uczynił. Nasza miłość jest czysta...

— Ha, ha, ha — roześmiał się Lipa, robiąc krok w tył. — Klawy Janek kocha platonicznie moją córkę! Ładny idealista... Nie ma co!

— Nie naigrywaj się tak ze mnie, ojczy — odparła dumnie Aniela. — Nie on jest winien, że został przestępcą. Tacy ludzie jak ty i podobni tobie zrobili z niego złodzieja — wyrzuciła jednym tchem.

¹¹*rejwach* — hałas, zgiełk. [przypis edytorski]

Lipa pozieleniał. Ledwo się opanował, aby nie rzucić się po raz pierwszy w życiu na własną córkę. Milczał przez chwilę, sapiąc ciężko, po czym, nieco uspokojony, odezwał się:

— Pięknie mówisz do własnego ojca. Jesteś stokroć gorsza od frajerów. Jak widzę, nie podobam ci się. Może się mnie wstydzisz?

— Nie, ciebie się nie wstydzę, ojczu — odparła zalana łzami. — Gardzę tylko twoimi czynami i twoim otoczeniem.

— Więc tak! — Wykrzywił usta. — Gardzisz złodziejami i dlatego zakochałaś się w Klawym Janku.

— Serce, gdy kocha, nie odróżnia złodzieja od porządnego człowieka. Postawiłam sobie za zadanie zrobić z niego uczciwego człowieka i cel swój osiągnę. Janek pochodzi z porządnego domu, a taki człowiek winien się opamiętać. Moja miłość go nawróci... — zakończyła z rozjaśnionymi oczami.

Lipa zamyślił się, nie patrząc na córkę. Zbliżył się nagle do Anieli i pocałował ją w czoło.

— Ojczu!... Ojczulku kochany — Złożyła Aniela ręce jak do modlitwy. — Porzuć to przekłete życie, sprzedaj hańbiący lokal. Zerwij z tymi ludźmi! Błagam cię!...

Tu wskazała z pogardą na współników Janka.

— Nas proszę nie wtrącać — odezwał się Felek.

— Każdy z nas chciałby zerwać z przeszłością, ale czy frajerzy się na to zgodzą?

— Właśnie — przytaknął Antek.

— Wmówiliście sobie sami — odparła zirytowana Aniela. — Chcecie kraść, rabować pod pretekstem, że społeczeństwo nie daje wam możliwości pozostać uczciwymi ludźmi. Znamy waszą złodziejską politykę.

— Nie rozumiesz nas, Anielo — uciął ojciec — nie wtrącaj się.

Trójka pozostała dłuższą chwilę bez ruchu i w milczeniu.

— Serce mi się kraje z żalu, kiedy pomyślę, że Klawy Janek już „leży” — odezwał się pierwszy Antek. — Trzy dni sterczeliliśmy w piwnicy. Ledwo dokopaliśmy się sufitu. Trzy fury ziemi wyrzuciliśmy. Pudło rozpruliśmy w niespełna godzinę. Klawy Janek to genialny fachowiec. Środkowe zamki przerzucił raz-dwa. Forsę wpakował do teki i nie dał nikomu się dotknąć. Ja stałem „na cynk” i już mieliśmy się ulotnić, gdy Felek, niedołęga, zaczepił nogą o jakiś przedmiot i przewrócił go. Nagle usłyszeliśmy krzyk przez ścianę i wołanie o pomoc.

Nie było czasu do namysłu. Każdy wiał w inną stronę. Służba w nocnej bieliźnie pędziła za nami. Dobiegłem do taksówki. Szofer na szczęście był *blatny*¹² i bez ceremonii odstawił mnie tu, Felek wpadł zaraz za mną.

— *Blitu*¹³ w kasie nie było? — zapytał nagle Lipa.

— Wszystkiego tam było do cholery i trochę — objaśnił mu Felek płaczącym głosem. — Nawet perły i klejnoty rodowe.

Lipa był teraz pewien, że Janek już *kiwa*¹⁴. Cieszył się w duchu, że nareszcie pozbył się kandydata na zięcia.

— Może i Felek ma rację — odparł Lipa — „Klawy” mógł nawalić *dolę*. Nic dziwnego nie byłoby w tym, gdyby poleciał na taki skarb.

— Znam „Klawego” — odezwał się Antek, waląc pięścią w stół. — Klawy Janek nie zamieni złodziejskiego honoru na skarby.

— Jak długo się znacie, że taki pewny jesteś? — zapytał Lipa drwiąco.

— Pracujemy razem już kilka lat. Niejedno pudło rozpruliśmy. Takiego złodziejskiego charakteru na całej kuli ziemskiej nie znajdziesz. Cwańszy jest od nas wszystkich, nawet i od ciebie, Stasiu.

— Masz rację — roześmiał się Lipa. — Janek jest mądrzejszy i cwańszy od nas wszystkich. Najlepszy dowód, że zginął z forszą. Przysięgłbym, że ten spryciarz już buja gdzieś za granicą.

— Ja też tak myślę — zawołał Felek.

¹²*blatny* (ros. *блатный*) — złodziej; tu raczej: przekupiony, opłacony. [przypis edytorski]

¹³*blit* (gw. środ.) — złoto. [przypis edytorski]

¹⁴*kiwać* (gw. środ.) — siedzieć w więzieniu. [przypis edytorski]

Wtem ozwał się dzwonek przy drzwiach.

Lipa otworzył drzwi. Aniela wpadła do pokoju, wymachując gazetą, i krzyknęła zdyszana:

— Czytajcie! Dranie! Wasza robota!...

Nikt nie miał odwagi zajrzeć do gazety.

— Dlaczego nie czytacie? Brak wam odwagi? Co? Podli!...

Sama schwyła gazetę i poczęła czytać na głos, akcentując każde słowo:

NIEBYWAŁE WŁAMANIE

Dzisiejszej nocy dokonano wielkiego włamania, jakiego kroniki policyjne nie notowały już od szeregu lat. Do pałacu hrabiny M. dostali się włamywacze przez podkop z piwnicy. Kasa ogniotrwała w gabinecie hrabiny została ogołocona doszczętnie. Jak nas informują, łupem złodziei padło przeszło sto tysięcy dolarów i inne obce waluty. Warto zaznaczyć, że hrabinę M. kilkakrotnie usiłowano już okraść.

Aniela wyprostowała się, obrzucając obecnych pogardliwym wzrokiem, po czym dała głosem prokuratorskim:

— Czy nie macie wyrzutów sumienia?

— Na razie nie — uśmiechnął się Antek.

— Ładna robótka, nie ma co — dorzucił Lipa.

— Cudowna! — zawołał Felek, po czym, zwracając się do Antka, rzekł zdecydowanym głosem: — Chodźmy stąd.

— Masz rację, — rzekł Antek. — Na dziś mamy dość tych morałów. Idziemy!

Aniela niespodzianie zastąpiła im drogę.

— Nie odchodzić! Nie wszystko przeczytałam!

Groźny Antek i Felek spojrzeli po sobie i nie ruszyli się z miejsca.

Aniela czytała dalej na głos:

TAJEMNICZE ZAMORDOWANIE POLICJANTA

Dzisiejszej nocy została popełniona ohydna zbrodnia, która postawiła policję na nogi. Na rogu jednej z ulic przedmieścia Warszawy znalezione zostały zwłoki posterunkowego. Policja przypuszcza, że morderstwo to pozostaje w związku z włamaniem u hrabiny M. Policja jest już na tropie zbrodniarzy.

Aniela odrzuciła gazetę, nie spuszczając ich z oka. Chciała wyczytać z tych twarzy zbrodniczych, jakie wrażenie zrobi na nich ta nowina.

Przez dłuższą chwilę panowała przygnębiająca cisza. Siedzieli jak przykuci do miejsca, nie śmiejąc podnieść oczu.

Najbardziej przygnębiony siedział „Groźny Antek”. Zwątpił już w złodziejski charakter Klawego Janka. „Gdyby był aresztowany — myślał — doniosłyby o tym gazety”.

Felek jakby odczytał myśli kolegi i triumfalnie zawołał:

— Miałem rację, kochany brachu, czy nie? Jestem teraz przekonany, że...

Groźny wzrok Antka nie pozwolił mu dokończyć zdania.

— Ale policjanta kto zamordował? — zdziwił się Lipa.

Wszyscy troje zamienili się porozumiewawczymi spojrzeniami. Spostrzegła to Aniela.

— Nie!... Nie!... Mój Janek nikogo nie zamordował!... Gdyby nie wy, już dawno porzuciłby to pieskie życie. Nie możecie się obejść bez niego!...

Nagle Antek zerwał się z miejsca, pociągając za sobą niezdecydowanego Felka.

ROZDZIAŁ IV

W wielkim, odrapanym gmachu w śródmieściu Warszawy mieściło się *sysknoje oddelenie*. Przy wejściu do okratowanego gmachu czuwał posterunkowy. Auto policyjne przepelnione ludźmi zatrzymało się, by tu zostawić ładunek.

Rosyjscy „tajniacy” czuwali, aby ptaszek nie wyfrunął z klatki. Polowanie tej nocy było bardzo obfite. Agenci z zadowolonymi „twarzyczkami” wyprowadzili z samochodu aresztowanych parami, które następnie kolejno kroczyły po schodach na górę. Tam wszystkich wpakowano do ciasnego, okratowanego pokoju.

Byli tu starzy weterani kunsztu złodziejskiego, na czołach których zbrodnia już dawno wyrzyła swoje piętno; nie brakło „koników”, którzy dopiero kształcili się w fachu. Najróżnorodniejsze typy przestępcze, jakby z „żurnalu mód” wycięte, oraz ludzie w lachmanach. Wszyscy trzymali się jednak kupy, szepcząc tajemniczo między sobą.

Widać było, że nie byli sobie obcy; znali się z więzienia, gdzie jeden drugiemu udzielał „fachowych” rad, by udoskonalić edukację; znali się też z wolności, kiedy pospołu walczyli o egzystencję złodziejską.

Co chwila przybywały świeże transporty, które wciskano przez wąskie drzwiczki, nie pytając, czy znajdzie się dla gości miejsce.

Policjanci przechadzali się po szerokim korytarzu, rozmawiając o wynikach obławy; każdy wychwalał swój spryt, przedsiębiorczość i energię.

Aresztowani kolejno zostali wprowadzeni do „straszego” pokoju, gdzie mieściła się mapa przestępców — archiwum daktyloskopijne odcisków palców i fotografii. Biada temu, który uwiecznił tu już kiedyś swój *cyferblatt* i *pacyki*.

Większość gości wprowadzonych do tego przybytku wiedzy powędrowała wprost do *ula*; szczęściarze zostali natychmiast zwolnieni.

Gdy pokój się nieco opróżnił, komisarz w towarzystwie wyższych urzędników policyjnych odwiedził pozostałych aresztowanych.

Zmierzył każdego z osobna badawczym wzrokiem i uśmiechał się przyjaźnie do wszystkich, przygadując życzliwie.

Aresztowani odsunęli się z respektem pod ścianę, jakby nie chcieli być spostrzeżeni... Nagle oko komisarza zatrzymało się na jakiejś kobiecie.

— Znowu u nas?

— Przyszłam w odwiedziny, bo się stęskniłam — odparła cynicznie.

— My także — odrzekł komisarz i zwrócił wzrok w inną stronę.

— I ty tutaj?

— Nie moja wina. Sam tu nie przyszedłem.

— Naturalnie — uśmiechnął się życzliwie komisarz. — Najwyższy już czas, abyś się wzięła do innego fachu.

— Czyż ja tego nie pragnę? — odparł smutno zagadnięty. — Nie dają *zabastować*.

— Kto? — zainteresował się komisarz.

— Frajery, psia ich mać.

— No, no... — Pogroził mu palcem jeden z agentów, aby nie wyrażał się tak w obecności komisarza.

— A co ci robią frajery? — uśmiechnął się komisarz.

— Jak to co? Prześladowają nas na każdym kroku. Wytykają palcami: tu idzie złodziej... Złodzieje!... Przecież minęło przeszło cztery miesiące, jak trzymam ręce w kieszeni.

Komisarz poklepał go żartobliwie po ramieniu.

— A w czyjej kieszeni? — zapytał.

— We własnej kieszeni, panie komisarzu.

— O, to długo.

— Jak na mnie to nawet i za długo — roześmiał się.

— Można wiedzieć, czym się trudnisz teraz? — zagadnął go jeden z agentów.

— Handluję.

— Czym?

— To zależy. Jak jest pogoda, chodzę po podwórkach i pokazuję sztuki.

Wszyscy obecni roześmieli się na głos.

— Znamy te twoje sztuki — wyrzucił agent.

— Mówiłem, że nie kradnę, to nie kradnę. Akrobatyczne sztuki też potrafię robić.

Nie namyślając się długo fikiął koziółka i począł na rękach chodzić po pokoju.

— Dostyć! — zawołał komisarz. — Możliwe, że mówisz prawdę, gdy nawinie się jakaś robótka, na pewno jej nie odrzucisz. Nie dlatego, że jesteś złodziejem, tylko tak sobie, żeby nie zapomnieć „fachu”...

— Człowiek nie jest przecież świnią — odparł zatrzymany cynicznie. — Ale dzisiaj doprawdy jestem niewinny. Wstąpiłem na Smoczą do znajomego i obława mnie *wychłata*.

— Będziesz wolny — rzekł komisarz. — Nie ciebie szukamy.

— A wy skąd tutaj? — zagadnął starszego, eleganckiego jegomościa. — O ile się nie mylę, mamy ze sobą stare porachunki.

— Nie wiem o niczym, panie komisarzu — odrzekł ze zdziwieniem. — Na pewno był ktoś do mnie podobny.

To rzekłszy, uśmiechnął się blade.

— Za to ja mam dobrą pamięć. Pamiętam jeszcze włamanie na Placu Teatralnym. Jeżeli się nie mylę, było to przed dziesięcioma laty, nie?

— Pan komisarz ma doskonałą pamięć — spochlebił mu starszy jegomość. — Jednak myślę, że nie warto odgrzebywać nieboszczyków.

— Zobaczmy się jeszcze — odparł komisarz, obrzucając taksującym spojrzeniem aresztowanych.

— Nie o tych myślałem — odezwał się na odchodnym do swoich pomocników. — Nie ma między nimi ani jednego lepszego. Hołota... Nie spocznę, zanim nie wykryję mordercy policjanta.

Zamyślony wszedł komisarz do swego gabinetu. Dłuższy czas siedział bez ruchu w fotelu, zatopiony w myślach.

Agenci patrzyli z szacunkiem na zwierzchnika. Żaden nie śmiał nawet głośno odechnąć. Wszyscy ufni byli w jego energię i przedsiębiorczość. Wierzyli, że genialny pomysł z pewnością zaświta w jego głowie.

Nagle komisarz zerwał się z miejsca i zaczął spacerować po pokoju z rękami założonymi w tył, co czynił zawsze, gdy głowił się nad rozwiązaniem poważnej zagadki.

Wszyscy wynieśli się po cichu za drzwi, by nie rozpraszać jego myśli. Tymczasem rozmyślanie nie trwały długo. Komisarz otworzył drzwi, dając znak, aby wszyscy weszli.

— Obława, moi panowie, którą uważaliście za udaną — odezwał się stanowczym tonem — jest *do luzu*. Opryszka, który włamał się do hrabiny i którego uważam za mordercę policjanta, niekoniecznie trzeba było szukać na Smocznej, Niskiej, Krochmalnej i tym podobnych ulicach...

— Przyzwyczajeni jesteście łapać tych, którzy w łatwo wpadają w ręce. Zaręczam, że ptaszka można przychwycić tylko tam, gdzie obławy zazwyczaj nie bywają.

Agenci stali zmieszani, nie wiedząc, jak zareplikować. Starszy agent, uczestnik obławy, przyświadczył:

— Pan komisarz ma rację. Jestem tego samego zdania.

Tu zniżył głos i dodał:

— Jedno tylko trzeba ustalić, panie komisarzu. Czy włamanie u hrabiny i mordu dokonała ta sama zbrodnicza ręka.

Na ustach komisarza pojawił się ironiczny grymas. Wyjął coś z szuflady biurka i zapytał:

— Wiecie, co to jest?

— Wystrzelony nabój — padło kilka głosów naraz.

— Naturalnie — odparł komisarz — że jest to kula rewolwerowa. Co z was byłaby za policja, gdybyście i tego nie wiedzieli. Ale tutaj chodzi o to, z jakiego rewolweru może pochodzić ten miniaturowy nabój.

Starszy agent znów się odezwał:

— Kulka pochodzi z damskiego browninga nieznanego pochodzenia.

— Zgadłeś — uśmiechnął się komisarz. — Jak widzę, możesz się jeszcze przydać do czegoś. Wiedz zatem, że właśnie kilkoma takimi kulkami został zamordowany wasz kolega.

— Przyznam się szczerze, panie komisarzu, myślałem, że Michał został zamordowany z własnego karabinu — rzekł, rumieniąc się, starszy agent. — Najlepszym tego dowodem jest karabin, który znaleziono niedaleko zamordowanego.

— Ja także z początku tak myślałem — odparł poważnie komisarz. — Ekspertyza lekarska stwierdziła jednak co innego. Wyjęta kula pochodzi z rewolweru hrabiny, który zginął z kasy wraz z pieniędzmi.

— Więc wszystko jest jasne jak słońce — zawołał odważniejszy z agentów.

— Właśnie! — uśmiechnął się komisarz. — A jednak...

Obecni spojrzeli pytająco na komisarza, który szybko zapisał coś w notatniku. Raptem zerwał się energicznie z fotela, uderzając pięścią w stół.

— Dosyc tej beczynności i gadaniny. Trzeba działać na gorąco. Rozkazuję natychmiast wziąć ze sobą najzdolniejszych kolegów. Nie zapomnijcie też o psach. Szukać, działać, przewracać, tylko nie na Smoczej. Zbrodniarz, który zdolny był do zagarnięcia takiej sumki bawi się teraz w przyzwoitszych lokalach niż nam znane brudne meliny.

— Rozkaz, panie komisarzu! — zawołali obecni.

— Wobec tego marsz!...

Gabinet natychmiast opróżnił się, a komisarz rozpoczął zwykłą wędrówkę po pokoju.

Komisarz Żarski należał do najslawniejszych detektywów nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Niemniej znany był w świecie podziemnym. W dowód uznania ludzie nocy ukoronowali go pięknym przezwiskiem „Filozof”.

Lubił wdawać się w pogawędki z przestępcami, a nieraz i dowcipkować; tematy rozmówek były najróżnorodniejsze. Starał się jednak zawsze prowadzić je z humorem. Rozmowy te najczęściej poruszały sprawę zejść między ludźmi nocy a policją. Nigdy nie plosząc i wykorzystując zaufanie, słuchał niekiedy całymi godzinami oryginalnej filozofii życia.

Przestępcy lubili go, a jednocześnie widzieli w nim niebezpiecznego wroga. Więcej się obawiali jego rad ojcowskich i humoru niż krzyków tych, którzy obchodzili się z nimi surowo.

Śledztwo prowadził zawsze ostrożnie, z wielkim taktem i umiarem, aby nie urazić „ambicji” przestępcy. Dobierał dowcipnych słów, by trafić w piętę achillesową delikwenta. Tak długo manewrował, aż wydobył ze skrytej zazwyczaj i podejrzliwej duszy przestępcy to, na czym mu zależało.

Wiek „Filozofa” trudno było odgadnąć na pierwszy rzut oka. Niewielu mogło dostrzec nieznaczne zmarszczki na wysokim czole, które podkreślało jego inteligencję. Dobrze zbudowany, o „poetyckiej” czuprynie, imponował przestępcom, którzy też przywykli wyrażać się o nim z największym szacunkiem.

Jego urodziwy wygląd i opanowane ruchy stanowiły żywy kontrast z przejmującym wejrzeniem stalowoszarzych oczu. Całe jego zachowanie charakteryzowało gentlemana w całym tego słowa znaczeniu.

Zajście z zamordowanym policjantem nie bardzo „kleiło się” w jego logicznie funkcjonującym umyśle.

Znał dobrze duszę przestępcy. Praktyce, nabytej przez długie lata, przeczyły fakty. Mógłby nawet przysiąc, że włamywacz nieraz woli zrezygnować z łupu i powędrować za kratki, niż wykonać „mokrą” robotę.

Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób karabin policjanta został znaleziony w ogrodzie o kilkaset kroków oddalonym od miejsca zbrodni. Było to najlepszym dowodem, że opryszek miał karabin w swoim posiadaniu.

Tym bardziej głowił się, dlaczego nie zrobił on użytku z karabinu i nie strzelał zeń do policjanta, a natomiast oddał strzały z mniej wygodnego damskiego rewolweru. Nie wątpił już wcale, że stróż bezpieczeństwa został zabity z miniaturowej „maszynki” pochodzącej z kasy hrabiny.

Po dłuższej walce ze sobą doszedł komisarz do wniosku, że mordercy zależało na podkreśleniu łączności mordu z włamaniem.

— Muszę wyświetlić prawdę! — zawołał na głos. Zajście to, związane nielogicznymi domysłnikami, zalatuje grubszą tajemnicą.

Komisarz Żarski był urodzonym detektywem i naprawdę był z niego „kawał filozofa”. Człowiek z wyższym wykształceniem, pochodzący z dobrze sytuowanej rodziny ziemiańskiej, poświęcił się karierze policyjnej raczej z zamiłowania niż z żądzy awanturniczych przygód. Nawet bronił nieraz przestępów, usprawiedliwiając ich okolicznościami, które pchały ich na drogę występku. Twierdził, że dużo niewinnych ludzi siedzi w więzieniach rosyjskich. Starał się choć udowodnić, że przestępca nie zasłużył na tak wielki wymiar kary, jaki otrzymał.

Był człowiekiem uczciwym, co w policji rosyjskiej było rzadkością. Nie przypisywał nikomu winy, zanim nie miał konkretnych dowodów w ręku. Nie podejrzewał, póki nie miał podstaw ku temu.

Koledzy, rodowici Rosjanie, okazywali mu szacunek. Nawet ci, którzy w wyniku jego mądrych wywiadów powędrowali do więzienia, nie mieli do niego żalu.

— Jak tam się miewa „Filozof”? — pytano nowo przybyłego do więzienia.

— Porządny chłop, bez winy nikogo nie oskarża — mawiał nieraz jego były klient.

Dłuższy czas spacerował komisarz, analizując w myśli zajście. Wtem ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

— Proszę!

Drzwi otwały się. Elegancka dama nieśmiało przestąpiła próg.

— Ach! Pani hrabina. Proszę, niech pani spocznie.

Podsunał jej krzesło i przyglądał się jej z uwagą.

Hrabina, kobieta w wieku balzakowskim, nie sprawiała wrażenia arystokratki, a raczej podobna była do eks-primadonny operetkowej. Ruchy miała sztuczne i zagadkowy błysk w pięknych, trochę przygastych oczach.

Usiadła, niepewna siebie, lecz prędko odzyskała równowagę, starając się uwydatnić dystygowane maniery, właściwe arystokratom.

— Pan komisarz wezwał mnie tutaj. Jestem ciekawa, w jakiej to sprawie — wymówiła rosyjskim językiem.

— Zapewne domyśla się pani, o co nam chodzi.

Hrabina wyprostowała się, poprawiła czarny welon, który uprzednio zakrywał jej twarz, i utkwiała bystry wzrok w twarzy komisarza. Ten od razu wyczuł, że ma do czynienia z kobietą, która przyzwyczajona jest rozkazywać, a nie słuchać.

— Nie wystarczy, że okradziono mnie, a jeszcze wzywają do urzędu — rzekła, udając obrażoną.

— Nic strasznego — odparł komisarz poważnie. — Rozumiem zdenerwowanie szanownej pani. Zawezwaliśmy panią we własnym interesie. Chcemy odnaleźć pieniądze zrabowane u pani hrabiny.

Hrabina zaszlochała.

— Taki majątek!... Zrujnowali mnie!...

— Płacz tu nic nie pomoże. Trzeba działać. Poproszę panią ściśle odpowiadać na moje pytania — dorzucił służbowo.

— Dajcie mi spokój!... Głowa mnie boli! Nie wiem, co się dzieje ze mną — wybuchnęła jeszcze większym płaczem.

Komisarz starał się uspokoić ją, używając wypróbowanych środków, jakimi dysponował; nalał do szklanki zimnej wody, podsunał jej miękką fotel, poczęstował nawet papierosem. Widząc, że uspakajające środki zawodzą — odezwał się grzecznie:

— Wobec tego jeszcze raz będę zmuszony fatygować panią hrabinę...

To poskutkowało. Hrabina natychmiast otarła łzy, sięgnęła nawet do torebki po lusterko i puderniczkę, by wyrównać uszczerbek, jakiego doznała jej mocno upudrowana twarz podczas płaczu.

— Proszę! Może pani hrabina powie mi, ile pieniędzy mogło być w kasie krytycznej nocy?

Hrabina patrzyła dłuższą chwilę na komisarza, nie odpowiadając wcale, jak gdyby nie rozumiała pytania.

Komisarz powtórzył pytanie, akcentując każde słowo.

— Panie komisarzu, skarb... bogactwo... Cały mój kapitał!

— Chciałbym znać cyfrę.

— Co za różnica, to na jedno wychodzi — odparła z rezygnacją.

Komisarz zrozumiał, że hrabinie zależy na tym, aby prasa nie rozpisała się o jej bogactwie. Przybrał współczujący wyraz twarzy i badał dalej.

— O której mniej więcej godzinie dokonano włamania?

— Obudziłam się już po północy.

— Kto panią zbudził?

— Gabinet, gdzie stoi kasa, mieści się obok sypialni. Zbudził mnie nagle ze snu silny huk. Niestety, było już za późno...

Tu poczęła znów manewrować chusteczką. Komisarz uspakajał ją grzecznie.

— Niech pani odpocznie. Proszę zebrać myśli i wszystko sobie przypomnieć. Dla nas najmniejszy szczegół ma wielką wagę i może naprowadzić na ślady przestępcy.

— Czy jest jakaś nadzieja? — ożywiła się hrabina.

— Owszem, jest.

— I pieniądze odzyskam?

— Wszystko jest możliwe — uśmiechnął się dobrodusznie komisarz. — Czy pani wie, że nam bardzo zależy na tym, aby wykryć morderstwo policjanta?

— A co to za morderstwo? — zawołała wystraszona.

Komisarz ostrożnie wyjaśnił.

— Czy pani posiada rewolwer?

— Owszem.

— Gdzie go pani przechowywała?

— Tym razem leżał w kasie i został zabrany wraz z pieniędzmi.

— Czy pani poznaje tę kulkę?

— Mój Boże!... To nabój z mojego rewolweru.

— Właśnie tym rewolwerem został zastrzelony stójkowy.

— Jakam ja nieszczęśliwa! — wybuchnęła znów płaczem hrabina. — Moje pieniądze przyczyniły się do zamordowania niewinnego człowieka!...

— Trudno! Proszę się uspokoić, to nie pani wina. Pani pozwoli, że wrócę jeszcze do tego huk, o którym pani wspomniała. Co to właściwie był za huk i skąd pochodził?

— Któryś ze złodziejów nogą, widać, zaczepił o marmurową figurę, którą przewrócił.

— Co zaszło dalej?

— Podniosłam krzyk. Widziałam z daleka, jak uciekali.

— Kto pierwszy przybył na pomoc?

— Andrzej, mój lokaj.

Komisarz zamyślił się, po czym zawołał:

— Pani hrabino, proszę mi z góry wybaczyć pytanie, które pani teraz zadam, ale spełniam tylko obowiązek. Może będę niedyskretny, ale to jest konieczne.

— Proszę bardzo.

— Z wielu osób składa się służba?

— Z siedmiu: czterech mężczyzn i trzech kobiet.

— Czy nie podejrzewa pani nikogo ze służby?

— Nie! Wykluczone! Ręczę za swoją służbę!

— Czy pani sama mieszka w pałacu?

— Przed trzema laty owdowiałam. Mieszkam z ośmioletnią córeczką.

— Ile pokoiów zajmuje pani?

— Niedużo. Pałac posiada dwadzieścia sześć pokoiów. Trzy pokoje zajmuje służba, resztę ja i córeczka. Zapomniałam zupełnie, że Rex ma też własny pokój.

Komisarz Żarski uśmiechnął się.

— Dziękuję bardzo, na dziś wystarczy. Jak zajdzie potrzeba, przyjdę do szanowanej pani.

Hrabina zupełnie już uspokojona podniosła się majestatycznie, z uśmiechem lekkiej kokieterii.

— Będzie pan mile widzianym gościem. Myślę, że to włamanie przysporzy panu jeszcze więcej sławy, jako genialnemu detektywowi — uśmiechnęła się. — Nie wątpię wcale, że uda się panu wykryć zbrodniarzy.

— Proszę tylko nie pokładać za dużo nadziei w moich zdolnościach. My, policjanci, jesteśmy zwykłymi ludźmi.

— Naturalnie — roześmiała się hrabina. — Ale od was można się spodziewać czegoś niezwykłego.

„Musiała być kiedyś bardzo piękna” — pomyślał komisarz. Ukłonił się szarmancko i odparł:

— Dziękuję za komplement.

— Nie przywykłam prawić komplementów. W dowód uznania proszę pana jutro do siebie na obiad.

— Bardzo dziękuję. Chętnie skorzystałbym z zaproszenia, niestety jestem obecnie zajęty.

Hrabina utkwiała w komisarzu hipnotyczny wzrok, od którego ciarki przeszły mu po całym ciele.

— Więc jutro o czwartej oczekuję pana komisarza u siebie.

Nie czekając wcale na odpowiedź, skinęła mu głową na pożegnanie i opuściła pokój.

ROZDZIAŁ V

Zimowy, mroźny dzień.

W kilku punktach Warszawy umieszczone były żelazne piecyki. Ogień buzował wesoło na powitanie tych, którzy przystawali, by rozgrzać zmarznięte członki.

Przy jednym z takich piecyków, gdzie zgrupowało się więcej ludzi, znalazł się Klawy Janek .

Upłynęło już kilka dni od krytycznej nocy. Klawy Janek błąkał się po uliczkach, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Nawet nocami nie zaznawał spokoju. Dłużej ponad godzinę nie mógł usiedzieć na jednym miejscu. Strach i trwoga opanowały go, gnając jak zwierzę uporczywie tropione przez myśliwych.

Zmienił się nie do poznania. Policja, która go tropiła, zwątpiłaby na pewno, czy ma przed sobą groźnego Janka, o pochwyceniu którego marzył niejeden policjant.

Stał teraz przy jednym z ulicznych piecyków i trząśł się z zimna. Nie dlatego, że brakło mu ciepłego przyodziewku. Miał wszak do dyspozycji kilka drogich futer i parę tuzinów ubrań. Ale pragnął jak najmniej być podobnym do siebie, do owego niebezpiecznego przestępcy, którego policja знаła jako eleganta. Miał na sobie zniszczone ubranie robocze. Stare, wytarte futerko z podniesionym kołnierzem upodobniło go do parobka wiejskiego. Podarta maciejówka¹⁵ i zabłocone chłopskie buty uzupełniały jego strój.

Błąkał się od jednego dworca do drugiego, z jednego przystanku tramwajowego do drugiego. Zatrzymywał się tylko tam, gdzie grupowało się więcej ludzi. Nie gościł długo przy jednym piecyku. Nie chciał po prostu rzucać się w oczy.

Czuł się tak zmęczony, że chwilami wolałby znaleźć się w celi więziennej. Zatęsknił do celi więziennej i trwałego punktu oparcia. Zgiełk i ruch uliczny doprowadzały go do wściekłości. Głośniejsze okrzyki przechodniów trwogą odbijały się o jego uszy. Zdawało mu się, że każdy napotkany człowiek ściga go i lada chwila bransoletki¹⁶ zatrzasną mu się na rękach.

W zbolalej głowie wciąż kołatała jedna i ta sama myśl. Myśl, która może doprowadzić do samobójstwa.

„Co powiem moim współnikom?... Mieć w rękę taki skarb i postradać go w tak głupi sposób! Mnie... Klawemu Jankowi żeby coś podobnego się przytrafiło... Wspólnicy nigdy nie uwierzą, że zgubiłem tekę”.

Chętnie naplułby sobie we własną gębę. Zapragnął jak najsurowiej siebie ukarać. Miał chęć zgłosić się osobiście na policję i otwarcie powiedzieć:

— Macie tego niedołęgę... Zróbcie z idiotą, co wam się żywnie podoba...

Jedynie myśl, że nie ujrzałby odtąd ukochanej, powstrzymała go od szalonego kroku.

Najbardziej gnębiło go zabójstwo policjanta. Czytając o tym w gazecie, nie dowierzał własnym oczom. Jak opętany pobiegł na miejsce wypadku, aby przekonać się, czy rzeczywiście coś podobnego zaszło.

Był bliski obłędu, gdy przekonał się, że wszystko jest prawdą. Przejęty zgrozą i strachem stał dłuższą chwilę pomiędzy gapiami ulicznymi, przyglądając się trupowi. Rosły policjant, który rozpędzał zbiegowisko, zmusił go do odejścia.

„Komu zależało na tym, aby dokonać tego ohydneho mordu na moje konto?” — zapytywał siebie w myśli, błędząc błędnymi oczami wokoło.

Pewny był, że zabity jest tym samym policjantem, któremu sprzątnął karabin. Ten sam znalazł zapewne tekę.

Dłuższy czas medytował, przemyślając po raz setny znane mu triki złodziejskie.

— Kto mógł być zabójcą? Gdzie się podziała zrabowana teka z forszą?

¹⁵maciejówka — męska czapka wykonana z sukna, ze sztywnym daszkiem. [przypis edytorski]

¹⁶bransoletki — tu: kajdanki. [przypis edytorski]

Daremnie próbował podejrzewać o to współników, że oni to zauważyli policjanta z teką i zamordowali go. Myśl ta nie znalazła jednak potwierdzenia w jego mózgu.

Zupełnie wyczerpany rozmyślaniami, nie dbał o posiłek. Gdyby nie stary przyjaciel Bajgele, który zmusza go do jedzenia, rozchorowałby się z głodu.

Zaprzysiął sobie w duchu, że na własną rękę musi odnaleźć zabójcę. Z całej duszy gardził „mokrą” robotą. Bandytów i innych nożowców chorobliwie omijał; był gorącym zwolennikiem operacji „na cicho”.

Sam się nie orientował, kiedy i jak znalazł się na schodach domu, który zamieszkiwała Aniela. Jak zahipnotyzowany wszedł na górę. Pragnął usprawiedliwić się przed nią, upaść jej do nóg i przysiąc, że nie jest zabójcą. Chciał po raz ostatni zajrzeć w jej piękne oczy i dowiedzieć się, czy nie pogardza nim. Stracić Anielę uważał za cios boleśniejszy od utraty wypchanej teczki.

Zrozumiał dobrze, że policja poszukuje sprawców włamania i zbrodni. Wierzył zabo- Zbrodnia
bonnie, że przelana krew woła o pomstę do nieba. Zabójca musi otrzymać zasłużoną karę. Tak czy owak, musi się znaleźć „ofiara”, aby zaspokoić opinię publiczną i udowodnić, że coś się robi...

Bez trudności otworzył wytrychem drzwi z korytarza prowadzącego do pokoju Anieli. Po cichu wślizgnął się do wewnątrz i upadł zmęczony na fotel.

Słyszał wyraźnie zdenerwowane kroki ukochanej dziewczyny i basowy głos ojca.

— Nieprawda! — wołała Aniela. — Janek nie ma nic wspólnego z mordercą policjanta.

Janek zerwał się i wytyczył słuch. Zrozumiał, że są sami w pokoju. Podслуchał spór między ojcem a córką.

— Dziwi mnie to, ojczu, że ty, który tyle wycierpiałeś, zabraniasz mi podać rękę nieszczęśliwemu Jankowi.

— Lepiej znam tych ludzi niż ty — odparł „Lipa”. — Przez te kilka tygodni prze-
bywania między nimi niczego dowiedzieć się nie mogłaś. Nasz świat to jedna wielka, niezbadana tajemnica. My sami siebie nie znamy...

— Więc dobrze... Powiedz ojczu, jacy są ci ludzie? Co za rolę ty odgrywasz wśród nich? Wszystko, co mnie otacza, jest tajemnicą. Powiedz mi wszystko... Na pamięć mojej matki zaklinam cię, ojczu...

— Tylko nie na pamięć matki. Nie wspominaj mi tej podłej kobiety...

— Ty jesteś podły, a nie moja matka! — krzyknęła w uniesieniu Aniela.

Janek słuchał z napięciem, by nie uronić ani słówka z tej rozmowy. Wiedział, co prawda, coś nie coś o przeszłości Lipy, ale teraz miał okazję usłyszeć coś, co dotyczyło jego ukochanej Anieli.

Na dłuższą chwilę rozmowa jak gdyby się urwała, po czym usłyszał smutny głos Lipy:

— Tak!... Tak!... Masz rację, mówiąc, że jestem podły. Ona nie... Tylko ja... Całe życie starałem się wychować cię z dala od mojego środowiska. Czy wiesz, że matka twoja zostawiła cię, gdy miałeś dwa latka, by uciec z kochankiem? Tak, moja córeczko, masz zupełną rację. Jestem złodziejem, wyrzutkiem społeczeństwa, ale jedno wiem, że nie z mojej winy... Moi rodzice byli już tacy i mnie tego przeklętego „fachu” nauczyli. Gardzę nimi, gardzę sobą... Gardzę całym światem i ludźmi, których zmuszają tkwić nadal w tym bagnie. Tak, kochane dziecko, twój ojciec jest urodzonym złodziejem... Tylko jedno pamiętaj! Złodziej także może być dobrym ojcem... Przekonałaś się sama, że nie chciałem wychować cię w atmosferze, którą sam oddychałem.

Strzegłem swojej tajemnicy przez długie lata, nie chciałem sprawiać ci bólu, bo po prostu wstydzilem się i czułem się winny wobec ciebie. Wpojono we mnie w młodo-
ści żal i wstręt do wszelkich oskarżycieli i moralistów. Widziałem w tobie przyszłego prokuratora, który pewnego pięknego poranka zawoła: „Oskarżam cię, ojczu”...

Lata mijały, a ty rosłaś, rozwijałaś się fizycznie i umysłowo. Żyłem w strachu i oba-
wiałem się tej chwili, kiedy przejrysz moją grę; zobaczysz innego ojca, niepodobnego do tego, któremu ufałaś jako dziecko.

Krytyczna chwila nastąpiła, gdy stałaś się pełnoletnia. Czułem, że dłużej już nie będę mógł ukrywać przed tobą swej tragedii. Ojcowskie serce nie mogło jednak zdecydować się na sprawienie ci takiego bólu. Milczałem i odkładałem wyznanie z dnia na dzień. Później nawet, gdy się już zdecydowałem odkryć karty, nie mogłem ci wyznać wszystkiego... Te-

Złodziej, Ojciec

raz, czego nie dopowiedziałem, sama się już domyślasz... Na pewno zrozumiesz, dlaczego nigdy się nie zgodzę, aby moja Aniela poślubiła złodzieja.

Janek słuchał i lzy ścisnęły go za gardło. Przyznawał w duchu rację staremu Lipie. Czuł, że gdyby on sam był ojcem takiej córki, nie zezwoliłby nigdy na taki związek. Chciał wynieść się po cichu i wyrwać Anielę na zawsze ze swego zbrodniczego serca, zapomnieć zupełnie o jej istnieniu. Widać takie kobiety nie są stworzone dla zbrodniarzy — im pozostają tylko „kontrolne” i „z amatorstwa”. Głos Anieli przykuwał go jednak do miejsca i słuchał dalej.

— Podziwiam cię, ojcze, skąd do ciebie¹⁷ takie piękne myśli. Mówisz do mnie i rozumiesz jak najuczciwszy człowiek pod słońcem, a jednak...

— Wszyscy tacy jesteśmy... Złe i dobre myśli ścierają się w nas przez całe życie, tylko zawsze zło ostatecznie zwycięża.

— Teraz, kiedy już wszystko wiem o moim ojcu, powiedz mi, kim była moja matka i gdzie ona teraz jest. Czy w ogóle żyje?...

— Żyje. A jakże, jeszcze jak żyje... Jest bogata, przystojna, zdrowa, ładna i mieszka w pałacu. Ale wiedz, że ona ciebie nigdy nie ujrzy...

Janek słuchał, jak Lipa biega po pokoju tam i z powrotem. Chciał wejść i powiedzieć otwarcie, że zniknie raz na zawsze, nie będzie mu więcej psuł szyków nędzną osobą; bał się jednak stanąć oko w oko z tym groźnym człowiekiem, którego dobrze znał. Wiedział, że Lipa nigdy nie uwierzy w jego szczerłość.

— A jednak kochałeś matkę, ojcze — usłyszał znów głos Aniela. — Więc dlaczego nie możesz być na tyle wspaniałomyślny, by jej przebaczyć? Rozumiem, nie chciała żyć w brudach.

— Ha, ha, ha, — gorzko roześmiał się Lipa. — Uciec z kochankiem i porzucić dziecko to nie brud? Ona jedna zdolna była wyciągnąć mnie z tego błota, wołała jednak pozostawić mnie własnemu losowi. Nienawidzę jej!...

— Nie przeżyję tego wszystkiego — zapłakała zrozpaczona Aniela. — Wyjadę z powrotem za granicę i poświęcę się studiom, by zapomnieć o wszystkim.

Janka zakłuło coś w sercu. „Więc ona chce mnie opuścić. Nie kocha mnie więcej!...”

Postanowił się z nią rozmówić po raz ostatni, zapominając już o współczuciu dla ojca.

— Nie zostawisz mnie samego — usłyszał znów głos Lipy. — Bez ciebie żyć bym nie potrafił. Pokładałem w tobie nadzieję, że wyrwiesz mnie raz na zawsze z tego bagna. Ach, żebyś ty wiedziała, jak tęskniłem za tobą... W murach więziennych nie przestawałem myśleć o tobie, moje dziecko. Gdyby nie ta jedyna nadzieja, że kiedyś w przyszłości będę mógł przytulić cię do mego serca ojcowskiego, dawno już skończyłbym ze sobą w tych murach nędznych. Całe życie kradłem, by ci nie zbywało na niczym. Dbałem o twoje wygody na wolności, nawet wtedy, gdy mi głód kiszki skręcał w więzieniu. Tak, kochana córeczko, żyłem tylko dla ciebie i dla ciebie żyję do dziś dnia. Czy można nieszczęśliwemu ojcu odwdzięczać się w taki sposób?...

— Nie mogę już żyć tak dłużej!

— *Zabastuję!* Przysięgam, że *zabastuję!*...

Janek, na ten wykrzyknik, uśmiechnął się pod nosem. „My wszyscy *bastujemy*” — pomyślał.

— Nie wierzę ci, ojcze. Nie mogę ci ufać, a dłużej nie mogę tu pozostać. Czuję wstręt do tego świata. Muszę uciekać, gdzie mnie oczy poniosą...

— Do Klawego Janka, co?!

— Może. Moja miłość go nawróci.

— Wybij go sobie z głowy. Mam narzeczonego dla ciebie. Moja córka musi mieć przyzwoitego męża, a nie Klawego Janka.

Janek jeszcze bardziej przywarł głową do drzwi. Chciał usłyszeć odpowiedź Aniela.

— Dziwny ten wasz świat — usłyszał gorzki śmiech. — Jeden drugim pogardza. Dziękuję za wybór, pozostaw go mnie.

— Jestem twoim ojcem i pragnę wydać cię za mąż.

Aniela zaśmiała się głośno.

¹⁷skąd do ciebie takie piękne myśli — popr.: skąd u ciebie (...). [przypis edytorski]

— Jeżeli obowiązek ojca polega na tym, by wydać córkę za mąż, to twoją misję dawno już spełniłeś.

— Zastanów się, córko. Powiem ci jeszcze coś, czego nie domyślasz się nawet. Wiedz o tym, że ten twój wybrany chodził na *mokre* roboty...

Janek dłużej już nie mógł wytrzymać za drzwiami. Ten zarzut był dla niego obelgą. Chciał już pchnąć drzwi; opanował się jednak i słuchał dalej.

— Co to znaczy? Nie rozumiem.

— *Mokra robota* to po naszymu morderstwo.

— Kłamiesz! Do tego nigdy nie był zdolny.

— Jesteś za uczciwa, córko. Ale w złodziejskim „fachu” różnie bywa.

— Tak nisko nie upadł. Nie uwierzę! On nie wygląda na mordercę!

— Pozory myślą. Ja też nie wyglądam!

— A zamordowałeś?... Gardzę tobą, ojczule!

— Milcz, bo cię!...

— Można się wszystkiego spodziewać po takim „pięknym” ojcu.

— Twój kochanek musi wisieć... Uduśzę! Uduśzę, zanim będziesz jego żoną!...

Nagle drzwi się otwały i Janek wkroczył zdecydowany do pokoju.

Lipa był tak zaskoczony tym zjawiskiem, że ręce, którymi przed chwilą wygrażał Anieli, opadły mu bezwładnie.

Oboje padli sobie w objęcia, nie zwracając wcale uwagi na skamieniałego Lipę.

— Jesteś, kochany?... Jesteś wolny, Janku?

Lipa, zgorzony tym widokiem, zasłonił oczy lewą ręką, prawą zaś szukał czegoś w tylnej kieszeni. Janek nie spostrzegł nawet podejrzanych ruchów Lipy.

— Jak widzę, nie krępujecie się już wcale moją obecnością. Ochłodzę was zaraz z ognia miłości! — krzyknął, grożąc im rewolwerem.

— Może byś tak nie przeszkadzał? — odparł Janek cynicznie.

— Co?... Jak ty śmiesz! Jestem jej ojcem czy nie?

— Skąd ona ma o tym wiedzieć? — odparł z lekceważeniem Janek, tuląc do siebie mocniej przeleknioną Anielę.

Lipa skakał groźnie wokoło nich, wymachując rewolwerem. Aniela wyrwała się z objęć Janka i zasłaniając go sobą, wołała:

— Ojczule, wpierw mnie zabijesz!

— Starczy ołowi dla was obojga!

Janek siedział flegmatycznie, jakby mu nic nie groziło. Uśmiechał się szyderczo i obojętnie odparł:

— Nie wrzeszcz tak głośno. Zapominasz, że już noc zapadła.

— Bandyto!... Ty morderco!...

— Ha, ha, ha... Stara odwieczna historia; czym człowiek sam jest, tym innych tytułuje.

— Daję ci trzy minuty czasu, byś się stąd wyniósł. Jeśli nie, to...

— Zabijesz mnie — ironizował Janek. — Schowaj lepiej *spluwę*. Zagalopowałeś się, brachu. Nie przyszedłeś na „stój”, abyś straszyl frajera minutami.

— Nie drażnij, bo cię zastrzelę. Nigdy moim zięciem nie będziesz!...

Janek zapalił obojętnie papierosa i odparł:

— Myślę jednak, że „Klawy Janek” i Stasiak „Lipa” nie powinni sobą pogardzać. Obaj jesteśmy dobrze urodzeni. Czyż może być lepiej dobrana para?

— Przestań — wtrąciła się Aniela. — Po co prowokujesz ojca?

— Ja go zastrzelę jak psa!

— Doprawdy, umiesz strzelać?

Lipa skierował na niego lufę rewolweru. Aniela stanęła między ojcem a Jankiem, krzyżując:

— Zlituj się nade mną, ojczule, nie przeżyję tego!

Lipa odepchnął córkę i wrzasnął:

— Myślisz, że nie wiem o tym policjancie, które go *ochłodziłeś*? Będziesz wisiał!

To poskutkowało. Janek zerwał się i chwycił Lipę za kołnierz.

— Stary *kapuś*! Jeszcze jedno słówko powiesz, to cię!...

Aniela znów stanęła między nimi. Lipa wycelował w kierunku głowy Janka. Ten zręcznym ruchem wybił mu rewolwer z ręki, podniósł broń i wyjął naboje, rzucając pusty browning na biurko. Usiadł spokojnie z powrotem na krześle i patrzył pobłażliwie na miotającego się Lipę.

— Nigdy jeszcze nie miałem krwi na sumieniu i nie chcę jej mieć — wycedził przez zęby. — Czuję wstręt do *mokrej roboty*. Bezpodstawnie mnie oskarżasz.

— Mówiłam ci, ojcze, że to nie on zamordował tego policjanta — zawołała Aniela uradowana.

— Co za różnica którego — uśmiechnął się Lipa.

— Słuchaj, stary, uspokój się — zawołał już poważnie Janek. — Czy chcesz krzykiem sprowadzić tu ludzi? Myślę, że tobie nie będzie bardzo przyjemnie, kiedy *hinty* się dowiedzą, że jesteś Stasiak „Lipa”.

— Cicho! — zawołał Lipa.

— Po co policja ma wiedzieć, że mieszkasz w Warszawie na „lewe” nazwisko — uśmiechnął się Janek. — Jesteś nie mniej znany niż ja.

Lipa poprawił się na krześle, ciężko oddychając. Ocierał pot z czoła, patrząc na córkę. Aniela poczuła litość i zbliżyła się do ojca.

— Tato, uspokój się.

Janek podniósł się i podszedł do Lipy.

— Słuchaj, Stasiak, czy mogę z tobą pomówić bez krzyku i hałasu, jak swój ze swoim, a nie jak przyszyły zięć z teściem?...

— Nie mamy nic do gadania na ten temat. — Uspokoił się Lipa.

— A jednak muszę z tobą pomówić. W Warszawie nie mogę dłużej pozostać. „Tajniaki” depczą mi po piętach.

— Uciekłeś z więzienia? Gdzie spędziłeś te kilka dni? — zawołała podejrzliwie Aniela.

— Na razie jeszcze nie byłem aresztowany.

— Ojciec mówił, że siedzisz.

— Ojcu wszystko wolno, nawet i kłamać — odparł Janek filozoficznie.

Lipa wpatrywał się dłuższy czas w jeden punkt sufitu, po czym złamanym głosem wyszeptał:

— Jestem jej ojcem, serce mnie boli...

Złapał się prawą ręką za serce, spuszczać oczy, w których zabłyśły łzy.

— Przebac — zawołał Janek. — Ale powiedz szczerze, dlaczego nie chcesz mnie za zięcia? Przeszkadzasz naszemu szczęściu.

Lipa głaskał córkę pieścizłiwie po włosach, wdychał, spluwał i mruczał coś pod nosem.

— Nie chcę widzieć własnego nieszczęścia. Wy oboje to dwa różne światy, które się nawzajem nie rozumieją. Ona jest za uczciwa, aby mogła patrzeć na twoje podłości, a ty jesteś zanadto zdemoralizowany, abyś mógł ocenić jej uczciwość. Nie mogę własnymi rękami przyczynić się do unieszczęśliwienia mojej córki. Sam jestem *blatniakiem*¹⁸ i wiem doskonale, co za przeklęty los czeka żonę takiego jak ty czy ja. Nie chcę, aby moja córka chodziła z „wałówkami”¹⁹ pod więzienie.

Janek posmutniał, zwiesiwszy beznadziejnie głowę. Patrzył przez chwilę na Anielę i jej ojca, po czym trzasnął nagle pięścią w stół.

— Przysięgam na pamięć mojej matki, którą kochałem, że od dziś będę uczciwym człowiekiem.

— Ha, ha, ha... — roześmiał się Lipa. — Odwieczna nasza piosenka. Nie tak łatwo przekreśla się przeszłość... O nie! I ja nieraz próbowałem.

— Aniela będzie moim bożyszczem. Dla niej wszelkie trudności przewyciężę. Muszę zasłużyć na jej uczciwą miłość.

— Uczynisz to, Janku? — zawołała teraz Aniela. — Obiecujesz? Wydzwignę cię z bagna! Sam, ojcze, mówiłeś przed chwilą, że matka mogłaby ci dopomóc w tym. Dlaczegoż ja nie mam naprawić błędów matki i obu was wyrwać z podziemnego świata?

¹⁸*blatniak* — tu: złodziej. [przypis edytorski]

¹⁹*wałówka* (daw.) — prowiant, jedzenie. [przypis edytorski]

— Tak! Klnę się na twoją czystą miłość, w którą wierzę, że gotów jestem wszystko uczynić. Rozkazuj, a nawet w ogień skoczę, gdy tego zażadasz!

Lipa przyglądał się przez dłuższą chwilę Jankowi ze współczuciem, po czym rzekł:

— Proszę cię, nie praw mi tylko tutaj frajerskich kawałów. Nie poznaję ciebie: stajesz się sentymentalny i tracisz na wartości. Miłość to pusty frazes. Jej matka też mnie kochała. Niechże się spali cała miłość.

— Nie wszystkie kobiety potrafią naprawdę kochać — odparła dumnie Aniela.

— Ale kogo?... Kogo pokochała?... „Klawego Janka”, króla włamywaczy? — szydził Lipa.

— Wierz mi, brachu kochany, że gdybym wiedział na początku naszej znajomości, że ona jest twoją córką, nigdy bym jej nie pokochał. Znam dobrze etykę złodziejską — odparł Klawy Janek.

— „Odkochasz” się, jak to nieraz u naszych chłopaków bywało. *Trajluj* frajerów, ale nie mnie. Wiele razy byłeś tak zakochany?

— Zmienię charakter.

— Garnitur i rękawiczki można zmienić, ale nie charakter naszego chłopaka. Po co zawracasz gitarę? Złodziej pozostanie złodziejem, a frajer frajerem do końca życia.

— Co ty, brachu, wygadujesz? Że żaden nasz brat nie może się już nawrócić?...

— Może i tak, ale niezupełnie.

— Mylisz się — wtrąciła Aniela. — Nauka dowodzi, że nikt nie rodzi się przestępcą. Dziedziczności nie ma pod tym względem.

— Głupstwo — odparł z przekonaniem Lipa. — Mój ojciec i matka byli złodziejami, więc i ja nim jestem.

— Tato, nie mów tak, przerażasz mnie!

— Ale ja pochodzę z uczciwego domu! — oświadczył Janek. — Mój ojciec był znanym krawcem damskim; miał największy magazyn w Odessie.

— To na jedno wychodzi. Zresztą twój dziadek albo pradziadek był oficjalnym złodziejem, bo nieoficjalnych jest bardzo dużo.

— No, a twoja córka?... Czy nie jest wzorem uczciwości?

Lipa uśmiechnął się ironicznie.

— Czy nie zakochała się w tobie, złodzieju?...

Janek posmutniał. Musiał w duchu przyznać Lipie rację. Szukał słów na usprawiedliwienie i odparł:

— Może i masz rację. Przekonany jestem, że gdyby mnie nie prześladowano, wziąłbym się za uczciwą pracę.

— Bujać to my, a nie nas — uśmiechnął się Lipa. — Któż by się bawił po kabaretach? Kto piłby szampana, nosił eleganckie futra, jedwabną bieliznę i brylantowe pierścienie, gdyby podobni tobie chcieli pracować uczciwie?...

— Częściej cierpiełem głód i nędzę, niż opływałem w bogactwie. Nie warto być złodziejem.

— Masz rację. Prawda, Janku, że więcej nie będziesz? — Zaglądała mu badawczo w oczy Aniela.

— Nabroił już i tak dosyć, wystarczy. Dwadzieścia lat więzienia mało by było na uregulowanie długów, jakie zaciągnął wobec sprawiedliwości. Za późno, panie Janku — rzekł z szyderstwem Lipa.

— Lepiej później niż nigdy. Zresztą urządzę się tak jak ty: będę mieszkał „na lipę” — odciął się Janek.

— Możesz sobie mieszkać, na jakie nazwisko chcesz, ale bez mojej córki.

— Po co ta gadanina — zawołał stanowczym głosem Janek. — Co począć, gdy się kochamy.

— Nie, Janku, ty nie kochasz Anieli...

Janek zaprzeczył ruchem głowy. Lipa skinął ręką, aby milczał, i ciągnął dalej:

— Gdybyś Anielę kochał naprawdę, uciekłybyś od niej jak najdalej. My obaj wiemy najlepiej, że ziemia pali ci się pod nogami. A po tym...

Janek począł biegać nerwowo po pokoju. Aniela wodziła oczami za Jankiem, rzucając równocześnie spojrzenia na smutnego ojca. Nagle Janek zatrzymał się przed Lipą i ujął go za kłapy marynarki; popatrzył mu prosto w oczy:

— Lipa, stary przyjacielu. Pomówmy ze sobą wreszcie jak *blatny z blatniakiem*. Po co te frajerskie wykręty?

— Słuchaj, Janek — zawołał Lipa uroczyście. — Jeżeli wyznasz przed Anielą szczerą prawdę, a po tym wszystkim zechce ona zostać twoją żoną, nie będę wam przeszkadzał.

— Prawdę?... Prawdę, z którą całe życie byłem na bakier?...

W pokoju zapanowała cisza, która silniej podziałała na nerwy niż najgłośniejszy hałas. Cała trójka zagłębiła się w rozmyślaniach: Lipa i Klawy Janek o smutnej przeszłości, Anieli o swoim nieznanym losie.

— Kto jak kto — odezwał się pierwszy Lipa, widząc, że trafił w słabą stronę Janka — ale ty, brachu, wiesz, że złodziejowi nie wolno unieszczęśliwiać córki złodzieja. Czy brak córek frajerskich?...

Aniela uśmiechała się smutno do ojca. Była przejęta do głębi sposobem rozumowania tych ludzi i ze współczuciem zawołała:

— Jesteś dobrym ojcem.

— Ale ty nie jesteś dobrą córką, moja kochana — odparł smutno Lipa.

Janek zatrzymał się nagle przy Anieli. Błede elektryczne światło jeszcze bardziej uwydatniało jego wzruszenie.

— Aniolo! Postanowiłem wypowiadać się przed tobą.

— Właśnie tego chcę — zawołał triumfalnie Lipa. — Jestem pewien, że gdy usłyszysz prawdę, dowiesz się, czym zalatujesz, nie tylko się „odkocha”, ale poczuje wstręt do ciebie. Jeszcze ci coś powiem, czego nawet jej nigdy nie powiedziałem. Gdyby Anieli wiedziała wszystko o przeszłości ojca... Często zapytuję siebie samego, skąd do mnie²⁰, Staśka „Lipy”, i jego przewrotnej żony taka uczciwa córka.

Aniela wybuchła płaczem. „Lipa” starał się ją uspokoić.

— Powiedz mi, Janku — zawołała przez łzy — czy masz krew ludzką na sumieniu... — Wzdrygnęła się ze wstrętem na dźwięk słowa „krew”. Janek pochylił głowę i zawzięcie milczał. Wyglądał jak skazaniec. Chciał zaprzeczyć, ale nie mógł wydobyć głosu. Czuł, że jego wyznanie podziała na Anielę jak trucizna.

Poczuł wyrzuty sumienia. Wiedział, że Aniola jest za czysta, aby mogła te brudy wysłuchać. Bał się tego wyznania, a zarazem kochał ją i nie chciał przed nią nic ukrywać.

Przed jego oczami przesunęły się dokonane przestępstwa. Widział siebie od pierwszej kradzieży do dnia dzisiejszego. Wszystko kolejno wlokło się długim szeregiem, poczynając od groszowych „robótek”, aż po grube tysiące. Błede twarze okradzionych proletariuszy i spaśne kołduny bankierów. Pod koniec widział niewyraźnie tych, którzy po obrabowaniu odebrali sobie życie. Mrowie przeszło mu po ciele. Widział, jak gdyby ręce jakiegoś wyciągnięte do jego szyi. Zrobił krok w tył, a zimny pot wystąpił mu na zmęczone czoło.

Otrząsnął się cały, jakby chciał zrzucić z siebie olbrzymi ciężar, który go przygniatał i dusił.

W miejsce poprzednich koszmarów przyszły teraz dawno zapomniane epizody, fakty z lat dziecięcych — twarze o wiele sympatyczniejsze od oglądanych w ostatnich latach.

Widzi przed sobą jak na dłoni ojca i matkę — ludzi, z których Bóg i ludzie są zadowoleni; widzi siebie jako małego pędraka w szkole, potem w gimnazjum, gdzie był wzorowym uczniem. Minione szczęśliwe i wesołe dni młodości. A teraz...

Podniósł głowę, wyteżając wzrok, jakby chciał lepiej przyjrzeć się zapomnianym i miłym twarzom. Wszystko uciekło jednak, wstydząc się zapewne zajrzeć mu w oczy.

— Za nisko upadłeś. — Słyszysz głos oskarżycielski, pełen wyrzutu.

Serce rwie się ze wstydu. Przeciera oczy, jakby przebudzony z letargu. Spojrzenie jego krzyżuje się z przenikliwym wzrokiem Anieli.

— Co się z tobą dzieje? Chciałeś mi przecież coś wyznać... Powiedz, wyznaj wszystko, co ci leży na sumieniu. Prawdą, Janku, że nie zamordowałeś tego policjanta?

Janek zrobił krok, jakby chciał wybiec z pokoju. Aniola chwyciła go za rękę.

— Mów! — Utkwiła w nim podejrzliwy wzrok.

— Czego chcesz ode mnie? Dlaczego mnie męczysz? — zwrócił się do niej z wyrzutem. — Policjanta nie zamordowałem!

Złodziej, Ojciec, Córka

Złodziej, Wyrzuty sumienia

²⁰skąd do mnie — popr.: skąd u mnie. [przypis edytorski]

— Ani jednego człowieka — uśmiechnął się Lipa.
Janek milczał.
Aniela zerwała się z miejsca, chwytając go za ramię.
— Czemu milczysz? — krzyknęła z rozpaczą. W oczach jej zabłyśły ogniki obłędu.
— Co tu dużo gadać. On milczy, więc ja ci powiem. Janek jest zawodowym złodziejem, królem kasiarzy. Najgorsze jest to, że policja poszukuje go za stare grzechy. W Argentynie zamordował rywala. Powiedz teraz, czy chcesz zostać jego żoną?
— Dosyć! — krzyknęła Aniela, chcąc wybiec z pokoju.
Lipa zastąpił jej drogę.
— Tu zostań! Powiedz teraz, czy kochasz go jeszcze? Jeżeli tak, natychmiast udzielam wam swego błogosławieństwa.
Aniela przystąpiła do Janka.
— Więc masz krew ludzką na sumieniu? — zapytała.
— Nie pamiętam.
— On nie pamięta, ilu ludzi „ochłodził” — uśmiechnął się Lipa. — W naszym życiu różnie bywa.
Janek zapalił papierosa i nasłuchiwał.
— Wszystko w porządku. W moim domu jesteś zupełnie bezpieczny, radzę ci jednak wynieść się stąd. Diabeł nigdy nie śpi — rzekł Lipa.
— Masz rację, muszę już iść. Prawda, Anielo? — dodał, uśmiechając się gorzko.
— Tak, możesz iść. Sądziłam, że tak nisko jeszcze nie upadłeś. Jestem za słaba, by cię z tego bagna wydzwignąć.
Janek uśmiechnął się, puszczając dym nosem.
— Jak, wy, kobiety, prędko zmieniacie swoje zdanie. Moja ostatnia godzina miłości, szczęścia i wolności już wybiła. Nie chcę, aby mnie tutaj aresztowano.
— I ja nie chcę.
— Masz rację, brachu. Aniela nie jest dla „Klawego”...
— Nie upadaj jednak na duchu, bracie — odparł współczująco Lipa. — Forsa zarobiona u hrabiny umożliwi ci wyjazd za granicę; tam będziesz mógł żyć wygodnie. Postaram się o „lewy gryps” dla ciebie. Pojedziesz sobie, gdzie zechcesz i zapomnisz o wszystkim. Mnie zostawisz tylko tysiąc dolarów. Już wiesz na co... Możliwe, żeś ty nie zamordował posterunkowego. Faktem jednak jest, że mord ten przypisują temu, kto opróżnił kasę hrabiny.
— Nie mam forsy... — odmruknął Janek.
— Co? Gdzieś ją podział? — zerwał się Lipa jak rażony piorunem.
— Zgubiłem, uciekając, tekę z forszą.
— Tylko proszę cię, nie zalewaj. Zgrywasz ze mnie.
— Wiedziałem, że nikt mi nie uwierzy — uśmiechnął się Janek gorzko.
— Nie udawaj głupiego. Antek i Felek szukają cię po całej Warszawie. Uważają, żeś drapnął, zabierając „dole”.
— Niech i tak myślą, mnie tam już wszystko jedno — odparł smutno. — Zwariuję z tego wszystkiego. Pech mnie prześladowa jak nigdy. Uciekając, przesadziłem plot i w tym momencie upuściłem tekę. Chciałem się zawrócić, tylko myśl, że mogę się natknąć na policjanta, który mnie ścigał, a którego musiałbym „sprzątnąć”, powstrzymała mnie. Po prostu nie chciałem go „ochłodzić”. Nie rozumiem tylko tego, kto mógł znaleźć tekę i zamordować policjanta.
— Ja także nie rozumiem — uśmiechnął się Lipa. — Ciekaw jestem jednak, czemuś tak od razu stchórzył. Mnie się zdaje, że niejednego policjanta masz na sumieniu.
— Co? — krzyknęła przerażona Aniela. — Zamordowałeś już kiedyś policjanta?
— A jak tak, to co? — zawołał w uniesieniu Janek.
Aniela zasłoniła sobie twarz rękami i krzyknęła:
— Podły morderco! Gardzę tobą!
— Tak! Raz zabiłem, ale tylko we własnej obronie. Zawsze pogardzałem „mokrą robotą”. Nigdy nie zabiłem w celu rabunkowym.
— Co za różnica, w jakich okolicznościach zabiłeś! Fakt, że jesteś mordercą!!
Janek uśmiechnął się gorzko.
— Gdy porządni ludzie mordują się nawzajem na wojnie, czy nie są mordercami?

Morderstwo

— Znam dobrze wasze wykręty. Między nami wszystko skończone. Łudziłam się, że ty, którego pokochałam, przypadkowo znalazłeś się w światku występku, widzę jednak, że pomyliłam się. Zanadto zabrnąłeś w błoto, abym cię mogła oczyścić. Zbyt wiele grzechów masz na sumieniu i policja cię zbyt energicznie prześladowuje, abym mogła moją miłością wyrwać cię z rąk przeznaczenia.

— Nie kochasz mnie już? — wykrztusił.

— Lituje się tylko nad tobą, nieszczęsny... Moje serce nigdy nie będzie należało do innego, ale żoną twoją być nie mogę!

Lipa wzruszony słowami córki zawołał uradowany:

— Cieszy mnie to, że wreszcie przejrzałaś. Zlikwiduję moje interesy i wyjeżdżamy za granicę.

Aniela dłuższą chwilę przyglądała się ojcu i odparła:

— Masz rację, ojczy, przejrzałam i właśnie dlatego jadę, ale bez ciebie.

Lipa opadł bezwładnie na krzesło.

— Chcesz unieszczęśliwić starego ojca?

— Trudno. Ciebie ciągnie do świata podziemnego, a mnie do porządných ludzi.

— W obu tych światach nie brak podłości.

— To ty, ojczy, tak sądzisz. Dziękuję ci za to, żeś mnie wydał na świat w tak miłe środowisko. Opuszczam twój dom. Nie mogę już więcej... — wybuchnęła głośnym płaczem.

Lipa siedział błąd jak ściana. Dobrze znał córkę i wiedział, że gdy coś postanowi, wykona. Podziwiał nieraz jej żelazną wolę w dążeniu do dobrego, która przemogła nawet jego skłonności w złym kierunku.

Załował już w duchu, że namówił Janka do „roboty” u hrabiny, by go w ten sposób „splawić”. Był pewien, że jest to „robota” niewykonalna i że padnie ofiarą, jak inni „fachowcy” przed nim. Nie miał ochoty rozstawać się z córką.

— Dziecko moje! — błagał. — Wiesz, czym jesteś dla mnie. Nie chcesz przecież, aby twój ojciec gnął na starość w więzieniu. Jeśli mnie opuścisz, nie mam już nic do stracenia. Zlituj się nad twoim nieszczęśliwym ojcem.

— Tak postanowiłam, ojczy.

Tu zwróciła się do Janka:

— A ty uciekaj za granicę. Nie życzę ci wpaść za kraty. O mnie zapomnij!

— Gdy ciebie stracę, mogę stracić i wolność — odparł złamanym głosem. — Niech raz skończy się to piekielne życie. Dość już strachu i niepewności... Niech się dzieje wola Boska.

— Boga wzywasz — uśmiechnęła się smutnie Aniela, podając mu rękę na pożegnanie. — Do Niego zwrócić się nigdy nie jest za późno.

Janek pokrył jej ręce gorącymi pocałunkami, zraszając je łzami.

— Żegnaj, Anielo. Nie myśl źle o mnie. Zgrzeszyłem przeciwko całemu światu, ale tobie nigdy bym nie uczynił nic złego, bo cię szczerze kocham. Żegnaj! Postaram się nigdy więcej nie wchodzić ci w drogę.

Zwrócił swe zapłakane oczy w stronę Lipy.

— Żegnaj, brachu, i przebac... Gdybym był ojcem tak pięknej i uczciwej córki, za żadną cenę nie chciałbym „Klawego Janka” za zięcia.

Rozpłakał się szczerze, po raz pierwszy w życiu złodziejskim. Otarł łzy, jakby się wstydział chwili słabości. Prędkim krokiem skierował się ku drzwiom. Aniela instynktownie uczyniła gest, jakby chciała go zatrzymać. Lipa wyciągnął prawą rękę, gotów do przytrzymania córki.

ROZDZIAŁ VI

Ulica Nalewki wraz z przyległymi ulicami: Bielańską, Franciszkańską, Gęsią i Muranowską — to centrum handlu stolicy.

Od wczesnego ranka do późnego wieczoru panuje ożywiony ruch i zgiełk uliczny.

Wszyscy śpieszą się, by nie stracić sekundy drogiego czasu. Kupcy z prowincji pragną wykorzystać jak najlepiej pobyt w stolicy.

Handel, Miasto, Warszawa

Starzy i młodzi, gołeni i brodaci atakują się nawzajem, „obrabiając” różne interesy na chodniku.

Uczciwi kupcy i spekulanci, zawodowi podpisowcy weksli i dyskonterzy, kombinatorzy różnego typu, którzy żerują na naiwnych kupcach małomiasteczkowych. Wszystko to razem ugania się, by zabezpieczyć sobie chleb powszedni.

Tramwaje pędzą z hałasem, alarmując głośnie dzwonekami; wypływają z siebie na przystankach coraz to nowe zastępy ludzi. Sprawiają wrażenie, jakby naumyślnie powiększały hałas na tym jarmarku ludzkim.

Śpieszą dorożki, podskakują na wybojach auta. Ciężko naładowane wozy wydają dźwięki zbliżone do jęków ludzkich.

Walka o byt występuje tu o wiele dobitniej niż gdzie indziej. Nie ma wolnego skrawka ulicy, którego by fala ludzka nie dosięgła. Przechodnie, sterroryzowani tłokiem naturalnym i sztucznym, wysypują się na jezdnię.

Domy po obu stronach ulicy obwieszane są i oblepione reklamami różnego rodzaju. Każda cegła domu reklamuje swoją zawartość. Nawet okna i drzwi nie są pozbawione krzykliwych reklam i zwracają uwagę przechodnia.

Na parterach domów — sklepy, na piętrach olbrzymie magazyny, naładowane towarem pod sam dach. W podwórkach również sklepy. Piwnice służą tu za dodatkowe składownice.

Nie brak też fabryk, warsztatów, kantorów, restauracji i hoteli. Nie zapomniano też o domach modlitwy, miejscach ukojenia dla zboliałych dusz, gdzie można znaleźć pociechę Jehowy.

Wśród tej ciżby ludzkiej grasują różne typy świata przestępczego. Wiedzą z doświadczenia, że gdzie nie brak pieniędzy i rzeczy wartościowych, tam i oni mogą się obłowić. Wiedzą z praktyki, że tylko w tłoku mogą działać bezkarnie. Przyjezdnych, których dziś okradną, jutro tu nie będzie, a na ich miejsce przybędą inne frajery.

Małe złodziejaski, tak zwane „koniki”, „potokarze” i „doliniarze” czują się tutaj jak ryby w wodzie. Prowincjonalny frajer jakby sam wskazywał kieszeń, gdzie ma ukryte pieniądze, jakby sam zwabił tę zgraję, macając się co chwila po schowku.

Prowincjał jest wygodniejszym obiektem zainteresowania dla złodziei niż warszawskie *cwaniaki*, które już znają dobrze triki złodziejskie.

Całe bandy operują tu na różne sposoby. Każda „branża” według swojego najnowszego systemu. Starają się wypróbować wynalazki na najmniej uświadomionych frajerach z prowincji.

Nie brak tu i policji. Niepostrzeżenie obserwują tę ciżbę i wylapują znane sobie „twarze”. Mimo to jednak nie ma dnia, by nie znalazło się kilka ofiar talentu specjalistów, którzy zawsze potrafią zmylić czujne oko policjanta.

Jeden z większych sklepów manufaktury na Nalewkach był tego dnia przepelniony kupcami z prowincji. Każdy z klientów przygotowywał się do sezonu wiosennego, przywożąc ze sobą znaczne sumy pieniędzy.

Subiekci obsługiwali klientów, pracując wzorowo. Różne gatunki towaru w rozmaitych odcieniach leżały rozłożone na olbrzymich dębowych stołach, przemawiając do kieszeni kupujących. Stosy pieniędzy i weksli przewędrowały z kieszeni kupujących do kasy firmy.

W oczy rzucił się pewien starszy jegomość. Wciąż zamawiał i rozkazywał, zwracając na siebie zazdrosne oczy mniej zamożnych kupców.

Przebierał w najdroższych towarach i prędko decydował się na kupno. Subiekci skakali wokół niego „na łapkach”. Nie targował się wcale o cenę, prosił tylko, aby liczono mu niedrogo, płaci bowiem za wszystko gotówką.

Szef firmy zaprosił, aby się przysiadł do niego i jął go wypytować o zdrowie rodziny, podsuwając z respektem rachunek na wielką sumę.

Kupiec przejrzał pobieżnie rachunek i zadowolony sięgnął prawą ręką po pieniądze. Porozpinał kilka kapot, grzebiąc nerwowo ręką dłuższą chwilę za pazuchą. Nagle zdrowa jego i czerstwa twarz pobladła, a głośny jęk wydobył się z jego ust:

— Moje pieniądze!...

— Co się stało? — krzyknął zaskoczony szef firmy.

— Okradli mnie! — wykrztusił i osunął się zemdlony na podłogę.
Został otoczony przez obecnych, którzy pośpiesznie się obmacywali na wpeł przestraszeni.

— Wody! — wołał ktoś.

— Po doktora! — krzyczał drugi.

Powiększył się hałas, gdy jeden z subiektów zawołał na głos:

— Sztuka drogiego jedwabiu zginęła.

— Złodziej musi tu być! — krzyczał brodaty kupiec.

— Pozamykać drzwi! — rozkazał szef.

Okradziony kupiec znów uprzytomnił sobie, co zaszło, i powtórzył rozpaczliwie:

— Mój cały majątek! — Po czym znów zemdłał.

— I mnie okradli! — krzyknął piskliwym głosem drugi kupiec. — Jestem zgubiony.

— I mnie! — zawołał trzeci.

Szef ścisnął nerwowo słuchawkę i telefonował po policję. Rozkazał też, by nikogo nie wypuszczać ani wypuszczać z interesu, póki nie przybędzie policja.

— Tu na podłodze leży jedwab! — krzyknął jeden z kupców.

— Złodziej podrzucił! — dodał drugi.

— Jest między nami! — alarmował subiekt. — Szukałem przedtem i nie było.

— Kim może być ten złodziej? — zapytywali się jeden drugiego, mierząc się nawzajem podejrzliwymi spojrzzeniami.

Zaden z obecnych nie wyglądał jednak na złodzieja, przeważnie byli to ludzie o przyzwyczajonych twarzach.

Przybyła policja. Komisarz, jeszcze na progu będąc, zapytał, kto jest właścicielem firmy.

Szef firmy spokojnie wyłożył w krótkich słowach, co zaszło.

Teraz komisarz zwrócił się do okradzionych, wypytując dokładnie o szczegóły dotyczące kradzieży, otrzymywał jednak nic niemówiące odpowiedzi.

— Dużo pieniędzy zginęło? — zapytał.

— Przeszło pięć tysięcy rubli — odparł pierwszy.

— Niczego sobie — mruknął pod nosem komisarz i zwrócił się do drugiego: — A panu ile?

— Wszystko, panie komisarzu. Zrujnowali mnie złodzieje.

— Mnie skradziono weksle, panie komisarzu — wyrzucił z zadowoleniem trzeci okradziony. — Do pieniędzy się na szczęście nie dobrali.

Komisarz oglądał kieszenie, fachowo podcięte żyłką.

— Tak! Jedna ręka „reperowała” wszystkie trzy kieszenie — zawołał komisarz głosem rzeczoznawcy. — Proszę mi powiedzieć, czy jesteście pewni, panowie, że przychodząc do sklepu, mieliście jeszcze portfele przy sobie?

— Tak! — odparli wszyscy naraz.

— Czy nie zauważyliście obcych ludzi wywołujących ścisk wśród was?

— Jeden Bóg to wie — odparł jeden z kupców.

Komisarz uśmiechnął się zagadkowo, zwracając się następnie do szefa firmy.

— Czy pan może mi powiedzieć, którego z tych kupców zna pan osobiście?

— Owszem, wielu z nich znam.

— Proszę mi ich wskazać.

Szef wraz z subiektami wysortowali starych klientów, którym komisarz kazał ustawić się po jednej stronie. Pozostałe pięć osób, których nikt nie znał, kazał policjantom odprowadzić do komisariatu. Daremnie protestowali zatrzymani, tłumacząc, że są uczciwymi kupcami. Komisarz grzecznie wyjaśnił, że spełnia tylko swój obowiązek.

Dwaj policjanci odprowadzili aresztowanych, przetrzymanych do czasu wyświetlenia sprawy. Komisarz pozostał jeszcze w interesie, wypytując o najdrobniejsze okoliczności towarzyszące kradzieży, po czym poprosił poszkodowanych, aby stawili się w komisariacie w celu spisania protokołu. Obrzucił jeszcze wzrokiem subiektów i wraz ze starszym przodownikiem opuścił sklep.

— Wolkow, jakiego zdania jesteś o tym wszystkim? — zapytał komisarz pomocnika.
— Czy aresztowani są winni?

— Uważam, że nie — odparł Wołkow. — Złodziej zdążył się usunąć w porę. To robota „fachowca”, a taki nie czekał na pewno, aż się połapią i „zakatrupią”.

— I ja tak myślę — przytaknął komisarz. — Ostatnio mamy do czynienia z tajemniczymi wypadkami, kradzieżami i mordami. Od wczoraj oka jeszcze nie zmrużyłem. Musimy się wziąć do intensywnej pracy. Wczoraj ograbiono jubilera. Banda dysponuje już wielkimi sumami. Hrabina, jubiler, dzisiejsza kradzież. Kto wie, jaki kawał mogą jutro komu wyrządzić? Najgorzej schwytać przestępcę-kapitalistę — roześmiał się komisarz.

— Słusznie, panie komisarzu — przybąknął służalczo Wołkow.

Komisarz ciągnął dalej w zamyśleniu:

— Jestem zaproszony do hrabiny. Warto byłoby bliżej zapoznać się z jej osobą. Ona mi się też niezwykle podoba.

— Tak jest, panie komisarzu.

— W ostatnich czasach — mówił dalej komisarz — namnożyło się w Warszawie podejrzanej arystokracji. Diabli wiedzą, kto im nadał te różne hrabiowskie tytuły. Był szarlatan każe się mianować tytułem arystokratycznym.

— Racja, panie komisarzu — przytaknął Wołkow z uszanowaniem.

Dłuższą chwilę kroczyli jeden obok drugiego, każdy zajęty myślami. Wołkow był dumny, że komisarz Żarski pyta o jego zdanie.

— Powiedz no, Wołkow. — Zwolnił kroku komisarz. — Kto twoim zdaniem mógł zamordować stójkowego?

Wołkow uśmiechnął się i odparł prędko:

— Uważam, że zatrzymany złodziej zastrzelił go.

— Prawdopodobnie — odparł komisarz w zamyśleniu. — Więc twoim zdaniem złodziej zabrał karabin. Czy tak?

— Naturalnie, że tak.

— Więc po co strzelał z damskiego rewolweru, mając do dyspozycji karabin?

— Złodziejski trik, panie komisarzu.

— O, nie, to wszystko pachnie zagadką.

— Najlepszym dowodem, że tak jest — ciągnął dalej Wołkow zdecydowanym głosem — że policjant został zastrzelony z rewolweru pochodzącego z kasy hrabiny.

— Wszystkie te dowody dają mi jednak dużo do myślenia.

— Pan komisarz lubi zawsze wszystko dokładnie przemyśleć — pochlebił Wołkow. — Złodzieje nie darmo nazywają pana filozofem.

— Co za filozof ze mnie — roześmiał się komisarz — skoro do dziś dnia nie mam całej bandy pod kluczem. Jak uważasz, Wołkow, czy policjanci porzostawiani na rogach ulic, blisko zaułka, gdzie dokonany został mord, słyszeli strzały?

— Zapewne.

— Dlaczego nikt o tym nie zameldował?

— Myślę, że żaden nie chciał być wmieszany w tę całą aferę. Jeżeli nawet który słyszał strzały, to też przemilczał całą historię.

— Masz rację. Ja także tak myślałem.

Wołkow, uradowany, że komisarz wysłuchuje jego wywodów, zawołał śmieiej:

— Sam znalazłem się krytycznej nocy blisko tej dzielnicy. Strzałów pochodzących z damskiego rewolweru nie słysząc było jednak tak daleko.

Komisarz nie wyrzekł już ani słowa. Zatopiony w myślach szedł wraz z Wołkowem wąską uliczką do *ssysknowo oddezenia*.

Wołkow rozmyślał teraz nie mniej niż komisarz. Jego myśli były skierowane w przeciwnym kierunku. Zerkał ukradkiem na komisarza, pragnął widać, aby zazwyczaj mało-mówny komisarz zapoczątkowaną rozmowę prowadził dalej; nie śmiał jednak pierwszy odezwać się.

Przy samym wejściu do wydziału śledczego komisarz przystanął.

— Słuchaj, Wołkow. — Położył mu przy tym prawą rękę przyjaźnie na ramieniu. — Chcesz awansować?

— Kto by tego nie chciał, panie komisarzu. — Zsalutował Wołkow.

Komisarz wyciągnął zegarek i wyrzucił:

— Dziś o ósmej wieczorem zameldujesz się u mnie. Mam z tobą coś poufnego do omówienia.

— Rozkaz, panie komisarzu! — Wyprężył się Wołkow, a serce nieomal nie wyskoczyło mu ze strachu i radości zarazem.

ROZDZIAŁ VII

Wydział śledczy był przepelniony ludźmi. Wrzało tam jak w ulu. Areszt był naszpikowany świeżym zapasem aresztowanych z obławy dokonanej na „lepszych” ulicach Warszawy. Nie leniwiono się nawet zaglądać do pierwszorzędných lokali. Połów tym razem był jeszcze obfitszy niż poprzednio.

Nie brakło między aresztowanymi asów świata podziemnego Warszawy. Panowie i panie ubrane elegancko, ale nie krzykliwe. Brylantowe kolczyki i pierścienie błyskały kokieteryjnie w przyćmionym pokoju. Złote zegarki i drogie papierośnice coraz to migwały w elegancko utrzymanych palcach. Palili papierosy dla spędzenia czasu i półszepem rozmawiali ze sobą.

Stali stłoczeni jeden przy drugim i wesoło dowcipkowali z damulkami. Zawierali nowe znajomości. Wypytywali się o znajomych i przeklinali na swój sposób cały porządek społeczny, który wymyślił więzienia i policję.

Drzwi otworzyły się szeroko. Komisarz Żarski w otoczeniu podwładnych przestąpił energicznie próg, lustrując z góry całe zbiorowisko. Eleganci klaniali się z pobłażliwym uśmiechem. Komisarz, jakby z czegoś niezadowolony, mruknął coś pod nosem i chciał zawrócić, gdy jeden z aresztowanych wyrzucił:

— Panie komisarzu, co to ma znaczyć?

Komisarz zmierzył go od góry do dołu, przyglądając mu się z uwagą.

— Kogo ja tu widzę?... Doprawdy jesteście tu gościem u nas. Wróciliście jednak do kraju?

— Zatęskniłem za swoją ojczyzną — odparł zagadnięty, szczerząc przy tym gębę pełną platynowych zębów.

— Jak tam udały się gościnne występy za granicą? — uśmiechnął się komisarz. — Jak się domyślam, macie zamiar teraz u nas próbować szczęścia, co?

— Na razie odpoczywam — odparł cynicznie. — Nie rozumiem, dlaczego mnie dzisiaj aresztowano.

— Dlatego, żebys dłużej odpoczywał — roześmiał się komisarz. — W każdym bądź razie przydasz się nam. Już od dawna nie widzieliśmy twojej milej twarzyczki. Zmieniłeś się nie do poznania. Nie jesteś wcale podobny do tej fotografii, którą posiadamy. Wyglądasz elegancko, jakbyś odmłodził o dziesięć lat. Pozujesz, jak widzę, na angielskiego gentlemana-włamywacza — uśmiechnął się komisarz.

— Pan komisarz także odmłodził. Uważam, że najlepiej, abyśmy się w ogóle nie spotykali. Po co wam mój „cyferblat”, panie komisarzu. Przrzekam, że w Polsce nie będę pracował.

— Wierzę. Ale dla pewności odpoczniesz trochę u nas; jesteś mile widzianym gościem.

Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Kilku zagadnęło komisarza:

— A z nami co będzie, panie komisarzu?

— Nic takiego, moi panowie i panie. Tylko spokojnie... Poproszę każdego na małą pogawędkę i nic więcej...

Wołkow, który był obecny, szepnął coś komisarzowi do ucha.

Wszyscy zwrócili wzrok na młodą dziewczynę, która siedziała odosobniona w kącie, przyciśnięta do ściany, jakby chciała ująć uwagi obecnych. Komisarz zbliżył się do niej i przypatrywał się jej dłuższą chwilę z uwagą.

— Jak pani się nazywa?

Dziewczyna podniosła się ze swego miejsca i parą dużych przenikliwych oczu ukłula komisarza. Wielu aresztowanych spoglądało teraz ze zdziwieniem na młodą dziewczynę, jakby ją rozpoznawało.

Komisarz nie mógł oczu oderwać od tej niezwykle pięknej dziewczyny. Była młoda, przystojna, wysmukła, cudownie zbudowana, o inteligentnym wyrazie twarzy. Złote włosy i para przeźroczytych niebieskich oczu upiękślały dumnie podniesioną głowę. Twarz tylko była za blada i jak gdyby bardzo cierpiąca, co nie szpeciło tej klasycznej piękności.

Na jej widok komisarz zastanowił się:

„Gdzie i kiedy widziałem już te oczy?”

Daremnie siłował się ze swoją pamięcią, nie mógł jednak przypomnieć sobie tej twarzy.

— Skąd pani tutaj?

— Sama nie wiem — odparła zawstydzona.

Żarski znów objął ją badawczym wzrokiem, po czym zwrócił się do Wołkowa.

— Wszystkich znajomych wybadać. Resztę zarejestrować i zdjąć *pacyki*.

— Rozkaz, panie komisarzu.

Komisarz wykręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Gdy drzwi zamknęły się, kilku z obecnych otoczyło dziewczynę.

— Aniello, gdzie cię aresztowano?

Aniela milczała.

— Mów. Tu wszyscy swoi — zawołał ten, który rozmawiał z komisarzem.

— Odejdź! — zawołał inny. — *Skety* mogą jeszcze *sporutować*. Dla niej lepiej, aby nikt nie wiedział, że my ją znamy.

Aniela siedziała w kącie, zakrywając sobie kołnierzem głowę, jakby nie chciała widzieć, gdzie się znajduje i co się wokoło niej dzieje. Wyglądała na zmęczoną i złamaną na duchu, wywołując współczucie obecnych, którzy nieraz bawili się w lokalu jej ojca.

— Panienska pozwoli! — otworzyły się nagle drzwi.

Aniela stanęła przed komisarzem, który bardzo grzecznie podsunął jej krzesło. Przyglądał jej się znów z natężeniem, jakby chciał uświadomić sobie, skąd zna te oczy. Wtem podskoczył na krześle uradowany.

„Hrabiny oczy”.

Komisarz był zachwycony jej pięknnością. Chciał badać, pytać, natężył całego siebie, nie mógł jednak ust otworzyć. Dziewczyna wyglądała tak uczciwie i niewinnie w jego oczach, że nie mógł się zdobyć na żadne podejrzliwe pytanie.

Aniela siedziała na wprost komisarza. Oczy jej wyrażały tyle cierpienia, że dopraszały się same litości i pomocy. Serce srogiego komisarza stopniało jak wosk pod wpływem tych łagodnych, rozbijających oczu. Przeląkł się samego siebie i swojej słabości, której czuł, że ulega. Podniósł się raptownie ze swojego fotela i stanął przy oknie. Po chwili zawołał:

— Panienska jest wolna!

Wyrzucił te słowa, nie patrząc wcale na Anielę, która podniosła się i ze wzruszeniem odparła:

— Dziękuję.

Opuściła dumnie wydział śledczy, odprowadzona pożądanymi spojrzeniami obecnych na korytarzu policjantów.

Komisarz Żarski przesłuchiwał aresztowanych i kolejno zwolnił.

Mała ilość²¹ została zatrzymana za stare grzechy, a między nimi znalazł się również elegant z platynowymi zębami. Okazało się, że zdążył dokonać tylko siedmiu włamań.

Pięciu kupców aresztowanych na Nalewkach także szybko zwolniono. Byli to kupcy z prowincji, którzy nie mieli nawet najmniejszego pojęcia, co to jest „doliniarz”. Sami podziwiali taki „cud”, aby można było przeciąć komuś kieszeń, by ten wcale nie czuł.

Okradzionym kupcom nie spodobał się żaden z policyjnych albumów, gdzie są umieszczone fotografie „doliniarzy”. Musieli się zadowolić kilometrowymi protokołami, które spisano. Z ciężkim sercem i próżnymi kieszeniami zmuszeni byli opuścić syssknoje odcienienie.

Komisarz i tym razem nie był zachwycony rezultatem obławy. Co prawda policja pokazała, co potrafi. Najlepszych i najgroźniejszych kasiarzy „przycupnęła” tej nocy. Komisarz był jednak przekonany, że nie ma wśród nich tego, który ograbił hrabinę i zamordował policjanta.

Zbyt długie lata praktyki miał za sobą, aby wierzył, że zbrodniarz bawi jeszcze w Warszawie. Był niemal pewny, że cała banda znajduje się już daleko poza granica-

²¹ilość — popr.: liczba (chodzi o ludzi, a więc obiekty policzalne). [przypis edytorski]

mi Warszawy, a nawet i Polski. „Tylko przypadek — myślał — może przyczynić się do wykrycia tych *cwanych* zbrodniarzy”.

Świeża kradzież dokonana na Nalewkach dała mu jednak do zrozumienia, że grasująca z powodzeniem banda „rozpruwaczy” nie zadowala się okradaniem kas. Domyślał się, nie wiedząc zresztą dlaczego, czyja to robota. Nie wątpił wcale, że większe roboty w ostatnich czasach zostały dokonane pod czujnym kierownictwem „Klawego Janka”.

— Wstyd... Hańba — wyrzucał sobie — aby opryszki tak długo hulają bezkarnie. Po co my tu jesteśmy w *sysknom otdelenii*, kiedy pod nosem robią, co im się żywnie podoba.

Przypomniał sobie zaproszenie hrabiny i piękne oczy dziewczyny, którą przed chwilą zwolnił. Nie rozumiał, dlaczego łączy w myślach obie te kobiety. Wiedział dobrze, że nie brak ludzi podobnych do siebie. Hrabina to wszak bogata kobieta, a dziewczyna zapewne pochodzi z proletariatu.

„Nasunęła się przypadkowo policjantom pod rękę, więc ją zaarrestowali” — rozmyślał w duchu.

Machnął ręką w powietrzu, jakby chciał od siebie odpędzić myśli, które uważał za niedorzeczne. Mimo woli myślał dalej o tej dziewczynie, a jej smutna twarz ciągle ukazywała mu się w wyobraźni.

Rozpoczął wędrówkę po pokoju. Widział ją teraz tak wyraźnie, że w pewnej chwili rozejrzał się dokoła. Wydawało mu się, że jest ona tak blisko, że czuje miły zapach jej pięknych, sfalowanych złotych włosów. Czuł, że traci zmysły.

„Kto to jest?” — myślał uparcie. Każde jej poruszenie tchnęło tajemnicą. Tylko jednego był pewien, że nie należy ona do rzędu podejrzanych osób.

Przeciwnie, wyglądała w jego oczach tak anielsko, że dziwił się wprost, jak policjanci mogli ją zatrzymać.

„A może jestem zakochany? — Uśmiechnął się gorzko. — Ty stary idioto — strofował siebie. — Jeszcze tego zachciewa ci się na starość?...”

Żałował już w duchu, że pośpieszył się z jej zwolnieniem. Nie pamiętał nawet jej nazwiska. Był zły na siebie, że nie wypytał ją o szczegóły jej życia, do czego miał zupełne prawo.

„A może — zabłysła mu niewyraźna myśl — ta dziewczyna z niewinną twarzyczką była tylko wyrafinowaną kokotą, która doskonale zna sztukę udawania?”

— Nie! Nigdy! — usprawiedliwiał ją przed sobą. — Intuicja mnie nigdy jeszcze nie zawiodła.

Uczepił się myśli, że tak uczciwy człowiek jak Aniela nigdy jeszcze nie przekroczył progu jego gabinetu. Przekonywał siebie, że dziewczyna ta była chodzącą cnotą.

Filozoficzne, na wpół logiczne rozmyślania komisarza przerwało dyskretne pukanie do drzwi. Zły, że mu przeszkodzono w tym momencie, a zarazem zadowolony, że zapomni na chwilę o obiekcie rozmyślań, zawołał:

— Proszę.

Drzwi szeroko się otworzyły, stanął w nich Wołkow i zameldował:

— Czekam na rozkazy, panie komisarzu!

Komisarz zmierzył go wzrokiem, jakby nie rozumiał, po co się tu wdarł. Ogarnęła go złość i chęć spoliczkowania tej czerwonej, kacapskiej mordy, która jakby sama się o to napraszała. Nie mógłby wytłumaczyć, dlaczego rewirowy działa nań teraz tak odpychająco jak nigdy przedtem.

— Czego sobie życzysz?

— Pan komisarz raczył mnie wezwać tutaj w ważnej sprawie — odparł Wołkow trochę zbity z tropu.

— Ach tak! Proszę siadać.

Wołkow usiadł przy biurku. Skulił olbrzymią postać, chcąc wydać się jak najskromniejszy. Świdrował małymi oczkami po rozrzuconych na obszernym biurku papierach.

— Co słychać, Wołkow? — zagadnął go komisarz, przybierając ton poufny.

— Będzie dobrze, panie komisarzu.

— Wierzę — uśmiechnął się komisarz. — Skoro posiadamy takich zdolnych policjantów jak Wołkow, musi być dobrze. Przyznam ci, że zauważyłem już dawno, że masz

specjalne zdolności detektywistyczne. Teraz już najwyższy czas, abys udowodnił, że się nie mylę.

— Tak jest, panie komisarzu. Jestem zawsze do usług... Ostatnią kroplę krwi gotów jestem oddać za pana komisarza.

— Nie wymagam tego dla siebie — przerwał mu komisarz. — Zrób to dla społeczeństwa, dla ojczyzny — wyrzucił z naciskiem, patrząc mu prosto w oczy.

Wółkow zmieszał się trochę pod wpływem bystrego spojrzenia Żarskiego. Przykra myśl przeszła mu przez głowę.

„Czego ten filozof chce ode mnie? Kto wie, jakie nowe wariackie pomysły powstały w jego przebiegłej głowie o mojej osobie?”

Po chwili ciszy odparł nieśmiało:

— Nie spocznę, póki nie wykryję zbrodniarzy.

— To już zostaw dla mnie — odparł komisarz ironicznie. — Masz spełniać to, co ci rozkażę.

— Rozkaz, panie komisarzu! — wyrzucił jednym tchem Wółkow.

— Siadaj, Wółkow, i słuchaj dobrze, co ci powiem. Sam cię przedstawię do awansu.

— Dziękuję panie komisarzu, już jestem gotów zabrać się do roboty.

— Wółkow. Zawezwałem cię tutaj, ponieważ nikt tak nie zna dobrze świata podziemnego Warszawy jak ty. Wiem też, że znasz wszystkie meliny, restauracje kryjówek i miejsca zabaw, gdzie zbiera się elita złodziejska. Pamiętaj, że szukać należy „Klawego Janka” i jego współników. Jednego tylko nie mogę zrozumieć — zniżył głos komisarz. — Jak „Klawy Janek”, którego upodobania znam dobrze, mógł wykonać „mokłą robotę”?

— Wołał „mokłą robotę” i zwiac niż więzienie. — Zaryzykował Wółkow.

— Możliwe. — Uśmiechnął się komisarz. — Ale pamiętaj, że tym razem musimy być bardzo ostrożni. „Klawy Janek” to cwany lis. Muszę go przychwycić, choćby dlatego, by się przekonać, czy on jest mordercą. Nie wątpię, że „obróbka” kasy u hrabiny jest jego robotą. Została ona rozpruta nowym systemem, który jest jego wynalazkiem. Ja także chcę zastosować w stosunku do niego nową metodę wykrywania przestępców.

Wółkow patrzył zachwycony na komisarza. Zdawałoby się, że zachwyca go każde słowo. W rzeczywistości był zbyt zarozumiały, aby się tym przejmować.

Żarski podniósł się nerwowo. Wółkow instynktownie uczynił to samo.

— Chyba znasz dobrze ulicę Wilczą, dom numer X, w którym mieści się na piątym piętrze podejrzany lokal?

Wółkow dyskretnie uśmiechnął się.

— Znam.

— To gorzej — nachmurzył się komisarz.

Wółkow zmieszał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Zawsze wiecie o wszystkim. Czekać, aby was pytano, a nigdy nie meldujecie w porę. Znam was dobrze.

Wółkow przybladł trochę i odparł:

— Wiedziałem, panie komisarzu, że tam istnieje bogaty lokal. Byłem pewny, że przychodzą tam ludzie z towarzystwa, niemający nic wspólnego ze światem podziemnym. Kilkakrotnie tam byłem, ale nic podejrzanego nie zauważyłem.

— Właściciel lokalu musi dobrze dbać o to, abyście nic nie spostrzegli. Bardzo bogaty lokal, co?

Wółkow rozumiał, co komisarz ma na myśli. Ale nie zmieszał się, odparł tylko:

— Pan komisarz obraża mnie. Wółkow nigdy nie da się przekupić.

— Żartowałem — odrzekł Żarski. — Gdybym wiedział, że można cię przekupić, nie wzywałbym cię do współpracy ze mną. Wiem, że jesteś uczciwy, za uczciwy. — Poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

Wółkowi przebiegły podejrzanego myśli.

„Naigrywa się ze mnie. Może podejrzewa o coś i bawi się mną jak kot myszką”.

Naprawdę zsumował w duchu grzechy i grzeszki, z powodu których nigdy nie doznał wyrzutów sumienia.

Komisarz Żarski obserwował uporczywie Wółkova, który coraz bardziej zmieniał się na twarzy.

— Słuchaj, Wołkow. Czuję się dzisiaj trochę zmęczony i dlatego przystąpimy już do omówienia sprawy. Przez dwa dni masz obserwować gości wspomnianego lokalu przy ulicy Wilczej. Należy to uczynić tak, aby inwigilowani nie spostrzegli się, że są szpiegowani. Dowiesz się, gdzie każdy z nich mieszka i czym się trudni. Jestem pewien, że właściciel lokalu także nie jest zupełnie w porządku. Nigdy nikogo nie atakuję, póki nie mam namacalnych dowodów w ręku.

— Tak jest, panie komisarzu!

Wołkow zanotował sobie coś w notesiku i zrobił krok naprzód, jakby się szykował do wyjścia. Komisarz położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Nie śpiesz się. Zanotuj sobie dobrze w pamięci, co ci jeszcze powiem.

— Rozkaz.

— Było to przed dwoma tygodniami — ciągnął dalej w zamyśleniu Żarski — jak obciąłem spacerek właśnie na ulicę Wilczą. Zauważyłem między innymi dwóch eleganckich osobników wychodzących z lokalu, o którym wspominałem. Chciałem lepiej im się przyjrzeć, padający jednak gęsto śnieg nie pozwolił mi na to, bowiem mieli podniesione kołnierze i zsunięte kapelusze na oczy. Chciałem uchwycić choć jedno słówko z rozmowy, którą prowadzili, by się zorientować, co za jedni, lecz nie udało mi się. Później podsłuchiwałem, krocząc niepostrzeżenie za nimi, i stwierdziłem, że rozmawiają o kobietach i wyżerce. Mówili po polsku z akcentem rosyjskim, jeden był ładnie zbudowany i wynioskował z jego męskiego głosu, że należy do ludzi energicznego pokroju. Miałem co prawda chęć ich obserwować, ale zainteresowałem się innym obiektem, który wydał mi się ciekawszy... Pamiętaj wobec tego, co masz uczynić. Zgłosisz się za trzy dni i zdasz mi sprawę z obserwacji. Ufam ci, że misję spełnisz bez zarzutu.

— Postaram się, panie komisarzu! — uśmiechnął się Wołkow, pewny siebie i zdecydowany, od czego zacząć.

Wołkow był osobliwym typem policjanta rosyjskiego; typem, którego świat podziemny nie znosi i przeżywa pogardliwie *fetniakiem*.

Taki *fetniak* nie pogardza łapówką, a z drugiej strony uchodzi przed władzą za wzorowego stróża bezpieczeństwa. Nie gardzi wspólnym kieliszkiem ze złodziejami, a przy pierwszej lepszej okazji nasyla drugiego *hinta*, aby zaaresztował tych, od których brał łapówkę i z którymi razem się bawił. Takich policjantów nie brak było za czasów Rosji przedwojennej²². Świat podziemny dobrze o tym wiedział i niechętnym okiem patrzył na takiego kompana.

Wołkow miał dużo znajomych w świecie podziemnym. Patrzył przez palce na czyny jednych, aby móc dowiedzieć się o wyczynach innych. Trzymał się zasady, aby i wilk był syty, i owca cała... U wyższej władzy był wzorowym policjantem, a w świecie podziemnym przyjaciele...

Silnie zbudowany, o gładkim języczku i węchu policyjnym, zapewnił sobie powodzenie w szeregach policji. W krótkim czasie zaawansował na rewirowego.

Nie tracił nadziei dalszego awansowania. Był ambitny i dążył do celu, nie przebieając w środkach. Znał na wylot świat podziemny Warszawy, ale i ludzie tego świata jego znali.

Był to okres tuż przed wojną, kiedy świat podziemny przechodził w imperium rosyjskim okres prosperity; wzrastały szeregi kombinatorów, alfonsów i innych wyrzutków społeczeństwa. Wołkow od razu wyróżnił się jako zdolny detektyw. Czuwał dniem i nocą, węszył, zawierał „znajomości”; zaglądał do trzeciorzędnych restauracji, hotelików, kawiarenek, herbaciarni i melin. Dbał zawsze o dobry wynik poszukiwań, przede wszystkim dbał o własną kieszeń, a później — o interes władz.

Zadowolony, że nadarza mu się okazja do działania na własną rękę, uklonił się z respektem i opuścił gabinet naczelnika.

ROZDZIAŁ VIII

Szary zimowy poranek. Chłopskie wozy i platformy wielkowiejskie, przeładowane towarami, wlokły się ospale po moście Kierbedzia z Pragi do Warszawy.

Miasto, Warszawa

²²za czasów Rosji przedwojennej — chodzi o cesarstwo rosyjskie sprzed I wojny światowej. [przypis edytorski]

Wielkie miasto budzi się do codziennej pracy i walki o byt. Tramwaje, taksówki i do-
rożki mijają się w pośpiechu, jakby chodziło o wygranie zakładu, kto pierwszy zdąży na
miejsce przeznaczenia.

Człowiek ubrany w lachmany snuje się tam i z powrotem przy barierze mostu. Staje
co chwila, spoglądając na Wisłę, która uparcie tkwiła jeszcze w swych zimowych leżach.
Szuka, widać, wygodnego miejsca, gdzie najlepiej będzie mógł urzeczywistnić postano-
wienie, by położyć kres niecnej wędrówce na ziemi.

Stójkowy zdążył go już zaobserwować. Zrozumiał, że ma do czynienia z desperatem.

— Czego tam zagłądacie? — zagadnął go. — Marsz stąd. Radzę wybrać lepszy sposób
od skoku do Wisły. Woda za zimna jeszcze — roześmiał się dobrodusznie.

Człowiek spojrział na wpeł przytomnie, zawrócił, nie odpowiadając słowem. Począł się
prędko oddalać, co bardziej wzmocniło podejrzenie policjanta. Chciał już krzyknąć „stój”,
kiedy nieznajomy wskoczył do przejeżdżającego tramwaju i znikł.

Na Krakowskim Przedmieściu przesiadł się do innego tramwaju. Na rogu Gęsiej
i Smoczej wysiadł i pośpiesznie wszedł do podwórka jednego z odrapanych domów.

Zatrzymał na chwilę wzrok na długiej, wąskiej posesji. Wszystko wyglądało tu jak za-
marłe. Nie słychać było najmniejszego szmeru. Tylko firanki w oknach świadczyły o tym,
że oficyny są zamieszkiwane przez ludzi. Po schodach dostał się na ciemny korytarz, obsa-
dzony z obu stron wąskimi drzwiami pokojów pojedynczych. Nagle natknął się na rosłego
osobnika, który zaświecił mu latarką elektryczną w oczy.

— Kto?

— Ja.

— Co za ja? Kogo szukasz? — zawołał podejrzliwym głosem, zastępując mu drogę.

— Szukam tego, który jest mi potrzebny — odparł człowiek pewny siebie, odpychając
przeszkodę.

— Stój! — zawołał tamten ostrzegawczo. — Kim jesteś?

Człowiek wyrzucił jedno tylko słówko.

— „Rozpruwacz”.

Osobnik odskoczył momentalnie na bok i przyświecając lampką, poprowadził przy-
byłego z respektem na czwarte piętro, pod strych.

Tutaj uderzył porozumiewawczo kilkakrotnie w drzwi, które natychmiast otworzyły
się. Człowiek przekroczył próg i wyrzekł to samo hasło.

— „Rozpruwacz”.

— „Radab” — padła odpowiedź.

Mały pokój był wypchany ludźmi. Ciemno tu było, choć na ulicy już świtało. Naf-
towa lampka rzuciła słabe światło na bladą twarz wchodzącego. Obecni dopiero teraz
zauważyli, jakiego mają gościa. Kilku z nich krzyknęło na głos:

— „Klawy Janek”!...

— Tak, to ja — odparł przybyły i zrobił krok naprzód.

Pokój był tak ciasny, że Janek już u wejścia natknął się na łóżko. Kilka złamanych
krzesel i wykrzywiona komoda uzupełniały umeblowanie. Pułap czarny od dymu był tuż
nad głową. Stęchłe powietrze nigdy niewietrzonego pokoju było wprost nie do zniesienia.

Kilkanaście osób różnego wieku i rozmaicie ubranych stało wokoło połamanego że-
laznego łóżka, na którym leżał owinięty w brudną kołdrę garbaty staruszek. Czerwony
nos i kwadratowa łysa głowa upstrzona kilkoma sterczącymi siwymi włosami tworzyły
iście komiczną postać.

Twarz żółta jak pergamin była tak ściągnięta, tak pełna zmarszczek, że czyniła go wię-
cej podobnym do mumii niż do żywego człowieka. Małe, hipnotyzujące oczki świdrowały
Klawego Janka przez dłuższą chwilę, po czym starcza twarz skrzywiła się, co oznaczało
uśmiech, pokazując przy tym jedyne dwa zgniłe, czarne zęby.

— Kogo widzę? — syknął przez zęby. — Wszystkiego się spodziewałem, ale ciebie,
Janku, tu, u mnie, nigdy.

Garbus wyrzucił te parę słów ze zdziwieniem. Język miał jeszcze dość ruchliwy, choć
ciało było już na wpeł sparaliżowane.

— Chodź bliżej, brachu. Siadaj, o tu, na łóżku. Musiało zajść coś ważnego, że zde-
cydowałeś się znowu do nas zawitać. Wiem... Wszystko wiem. — Kiwał współczująco
głową.

Janek zbliżył się i nie bez obrzydzenia usiadł na brzegu łózka.

Stary to zauważył.

— Co?... Brzydzisz się mego legowiska... Jak doczekasz się, brachu, mojego wieku i przejdziesz tyle kolejek w życiu co ja, to kto wie, czy nie będziesz gorzej wyglądał.

Starzec zamyślił się i po chwili ciągnął dalej:

— Dla siebie już dawno umarłem, brachu. Tylko dla was, dzieci, żyję i wegetuję na tym marnym świecie. Tak, tylko dla was... Nie istnieje już dawny „Herszele Rozpruwacz”, przed którym drżeli kapitaliści i bankierzy. Teraz jedynym moim celem jest opieka nad członkami naszego zgromadzenia. Pragnę i dążę do tego, jak głosi nasz program, aby każdy z was nawrócił się. Bóg nie odpycha największego nawet grzesznika od siebie. Każdy z nas musi pamiętać: „Lepiej później niż nigdy”...

Obecni słuchali uważnie. Garbusek umiał zainteresować pupilów proroczymi wywodami. W mig zrozumiał, dlaczego Janek rzuca niepewne spojrzenia wokoło siebie, i zawołał:

— Same swoje „rozpruwacze”, brachu. Przygotowuję ich do nowego życia. Forsy mają dość i najwyższy czas „bastować”. „Kapusiów” między nami nie znajdziesz. Każdego pouczam, że grunt złożyć losy w rękę Boga.

Janek machnął lekceważąco ręką.

Garbusek wyprostował się na barłogu i groźnie zawołał:

— Łajdak jesteś! Należysz do zakonu „Rozpruwaczy” i przeszło rok czasu nie przychodziłeś. U naszego brata grunt to wiara! Słyszysz, wiara!...

— Głupstwa. Mam z tobą, stary, coś ważnego do omówienia.

— Nie chcę cię znać. Nie wart jesteś tego, by być naszym członkiem. Wykreślę...

— Słuchaj! Jak widzę, zidiociałeś już do reszty. Powołujesz się stale na Boga. Jesteśmy przecież złodziejami i robimy wszystko na przekór temu, co Bóg przykazał.

— Precz stąd!... Zginiesz marnie bez wiary. Kiedyś też byłem takim „cwaniakiem”, dziś jednak wierzę w istnienie Boga, który za grzechy karze, a dobre uczynki wynagradza. Każdy w życiu może zbłądzić, ale trzeba być człowiekiem. Ten, co nie wierzy, nie jest człowiekiem. Właśnie ta wiara odróżnia nas od zwierząt.

Janek przyglądał mu się bacznie i uśmiechał zagadkowo. „Herszele-Rozpruwacz” kazał obecnym wynieść się z pokoiku.

— Słuchaj, stary, przyszedłem po radę, a nie wysłuchiwać morałów.

— Jak przyszedłeś do mnie, to musisz mnie słuchać. Należysz do naszego zakonu czy nie?...

— Należę i potrzebuję teraz jak nigdy twojej rady. Jest źle ze mną. Bardzo źle... Pragnę szczerze zerwać z dawnym życiem...

— Nawróć się, a przekonasz się, że lżej ci będzie żyć na świecie. Będziesz jak nowo narodzony. Bóg ci pomoże. — Stary jeszcze bardziej się uniósł i zawołał: — Trzeba wierzyć, a nie próbować.

— Dobra, dobra — odparł już poważnie Janek, patrząc uważnie na Herszka, który szeptał coś nabożnie, robiąc przy tym różne grymasy. Janka chwycił strach zabobny; bał się spojrzeć w oczy garbuska, które żarzyły się chorobliwym, tajemniczym blaskiem.

— Źle być złodziejem, co?... — zagadnął go staruszek znienacka.

— Źle! Bardzo źle!... Ratuj!...

Herszele przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i odezwał się po ojcowsku:

— Zbyt daleko zabrnąłeś, mój synu. Radziłem ci wszak, abyś porzucił chleb złodziejski. Nie posłuchałeś mojej rady. Teraz, jak tkwisz już w błocie po szyję, przychodzisz tutaj. Wyznaj wszystko, może znajdę wyjście z sytuacji.

— Jestem zgubiony — wybuchnął Janek. — Nie widzę ratunku. Policja depcze mi po piętach. Pozostało mi tylko strzelić sobie kulę w łeb albo pozwolić się wychłać i zaprowadzić za kratki, a może i na *dyndówkę*.

— Głupstwa pleciesz! Śmierć nigdy nie zmywa grzechów. Myślisz, że jak sobie życie odbierzesz albo pójdziesz *kiwać* za kratkami, wszystkie grzechy okupisz? Jaką korzyść da komu twoja śmierć albo cierpienie?... Moim zdaniem winienesz teraz dokonać tyle dobrego, wiele²³ złego już uczyniłeś w życiu. Tylko w ten sposób możesz naprawić błędy

²³wiele — tu: ile. [przypis edytorski]

młodości. By dokonać tego, musisz jednakże być na wolności. W więzieniu będziesz tylko żywym trupem, który już nie może czynić ani źle, ani dobrze...

— Nie widzę dla siebie ratunku, nie widzę — powtarzał Janek w rozpaczy.

Stary uśmiechnął się pogardliwie i zagadnął.

— Słuchaj, „Klawy”, czy czasem sukienka nie weszła ci w paradę?... Hm?... Wyglądasz mi na zakochanego.

Janek zawstydzony opuścił głowę.

— Zgadłem więc! — triumfował stary.

— Tak...

— Ha, ha, ha... Zakochany jesteś... Ty, „Klawy Janek” i miłość... Zawsze uważałem cię za wielkiego grzesznika, ale nigdy za głupca...

— Miłość uchodzi za głupstwo dla starych niedołęgów — odparł Janek.

Stary roześmiał się na głos. Janek nie wiedział, co ma robić ze sobą; rozglądał się po pokoju, jakby chciał zwiać. Stary spostrzegł jego zamiary i rzekł już poważnie:

— Byłem i ja kiedyś młody. Kochałem i cierpiałem. Bo miłość to jeden wielki łańcuch cierpienia. Nigdy jednak nie byłem tak złamany na duchu jak ty. Nie narzekałem nawet wtedy, kiedy przestrelono mi kręgosłup i stałem się niedołącznym kaleką na całe życie. Bóg mnie skarzał za moje grzechy, mówiłem sobie. Wybij sobie z głowy twoją głupią miłość. Mówię ci to z dobrego serca.

Janek doznawał różnych uczuć. Czuł się bardzo głupio, że on, młody, zdrowy mężczyzna, zwraca się o pomoc do schorzałego dziwaka. Zadrwił w duchu ze swego tchórzostwa.

Zerwał się z miejsca i zrobił krok ku drzwiom. Stary jakby wyczuł jego myśli i zawołał:

— Uciekasz? Nie wierzysz w skuteczność rad zidiociałego starca, za jakiego mnie uważasz? Ale wiedz o tym, że siła fizyczna nie zawsze świadczy o hartie ducha.

Janek stał ze spuszczoną głową i zawstydzony odparł:

— Zwątpiłem już w siebie, zwątpiłem w Boga i ludzi. Nie mam zaufania do nikogo z mego otoczenia. Zły jestem na słońce i księżyc, które świecą mi w oczy. Mam wrażenie, że chcą mnie zdradzić i oddać w ręce policji.

— Jak widzę, stałeś się też i filozofem, Janku — uśmiechnął się stary. — Tak, brachu. My, wykołajnicy, musimy patrzeć na życie ze strony filozoficznej. Inaczej biada nam.

Dłuższą chwilę spoglądali na siebie, jakby jeden chciał wyczytać myśli drugiego. Stary pierwszy się odezwał.

— Zbytecznie narzekasz... Dolary hrabiny mogą ci ułatwić życie. Teraz najwyższy czas „zabastować”.

— Niestety. Niech diabli porwą tego, co wymyślił forszę. Gdyby nie pieniądze, nie byłoby na świecie „Klawych Janków” i innych podobnych draniów. Pieniądze ma kto inny, nie ja...

— Nie rozumiem...

— Ja także nie — odparł Janek, opowiadając przy tym o zajściach pamiętnej nocy.

Herszele kiwał niedowierzająco głową.

— Tobie żeby się to wydarzyło?... Teraz już rozumiem, dlaczego wspólnicy szukali ciebie w moim domu. Trudno brachu, w życiu wszystko bywa. Mnie przydarzyło się w Paryżu coś podobnego. Było to... Zaraz, zaraz. — Uderzył się prawą ręką w czoło. — O ile się nie mylę, miało to miejsce w 1897 roku. Złote czasy były wtedy dla naszych chłopaków. Nie było jeszcze takiej konkurencji jak dziś...

Twarz Herszka zmieniła się nie do poznania. Błady uśmieszek zaigrał na jego wynędzniałej twarzy na wspomnienie dawnych, lepszych czasów. Uśmieszek ten znikł jednak naraz, a jego twarz przybrała znów poprzedni, surowy wygląd ascetyczny.

— Strata pieniędzy, uważam, nie powinna cię martwić — dodał.

— Stratę wcale się nie martwię — odparł dumnie Janek. — „Frajerom” nie brak forsy. Boli mnie to, że na moje konto zamordowany został policjant.

— Tak, tak — zamyślił się stary. — Najgorzej jest, kiedy się ma ludzką krew na sumieniu... Brr... Dużo nabroiłem w swoim podłym życiu, ale „mokrą robotą” brzydziłem się. A ty, Janku?

Janek machnął ręką, spluwając ze wstrętem raz po raz na podłogę.

— Poradź lepiej, co robić. Policja prześladowuje mnie. Wspólnicy także. Nigdy przecież nie uwierzę, że zgubiłem forszę. Na domiar złego jestem zakochany...

— To jest najgorsze. Wszędzie kobiety. Przekonany jestem, że gdyby nie kobiety i forsa, nie byłoby przestępstw na świecie — zdecydował staruszek. — Ach, te kobiety...

Pogroził niewidzialnym wrogom wychudłymi palcami w powietrzu. Obrazy przeszłości przesunęły mu się przed oczami. Trząsł się na wspomnienie minionych lat i zawodów w życiu doznanych przez kobietę. Janek również myślał o Anieli, ale w jakże odmienny sposób.

— No, co radzisz? — Zerwał się jak ze snu. — Zwariuję chyba.

— Słuchaj, Janek. — Staruszek poprawił się na barłogu. — Odpowiedz mi na trzy pytania, które ci zadam, a potem zdecyduję, co masz robić.

Głos kaleki był silny i energiczny w przeciwieństwie do jego wyglądu chorobliwego. Barczysty Janek wyglądał teraz jak najslabsze stworzenie, zdane na łaskę innych.

— Pierwsze i najważniejsze, co muszę wiedzieć — pytał garbus, świdrując go oczami — czy dysponujesz większą sumą pieniędzy? Po drugie, czy myślisz tym razem szczerze wypełnić zobowiązania względem zakonu i więcej nie kraść? Po trzecie, co to za kobieta, którą pokochałeś?

— Forsy mam bardzo niewiele, ale posiadam kilkadziesiąt karatów *blitwodów*, które można spieniężyć. Przyznam się też, że teraz „zabastować” na gołego nie mam wielkiej ochoty. Po jaką cholereę ryzykowałem tyle lat i cierpiałem, żeby teraz „zabastować” bez forsy. Uważam, że muszę się teraz postarać o dużo pieniędzy. Z forszą będzie mi łatwiej unikać sidła, które policja nastawiła na mnie. Chcę być na wolności, a do tego potrzebna jest forsa. Muszę mieć co wsunąć w łapę i dysponować lewymi grypsami, za które trzeba drogo płacić. Muszę być elegancko ubrany i mieszkać wśród takich ludzi, żeby policja nie „sporutowała”, kim jestem. Pewny jestem, że posiadając pieniądze, nie będę „kiwał”. Biada mi, jeżeli będę goły. Raz-dwa i „wtrynią” mnie za kratę... Kobieta, którą pokochałem, jest córką złodzieja — zakończył Janek spowiedź.

— Aha... Rozumiem. Złodziej nie chce złodzieja za zięcia. Po złodziejsku tak właśnie być powinno. Ja także nie zgodziłbym się na coś podobnego. Czy można wiedzieć, jak się nazywa jej ojciec?

— Owszem, Stasiek „Lipa”.

— Stasiek „Lipa”? Nie mylisz się? Czy to ten, który mieszkał w Odessie?

— Tak, ten sam. Mieszka obecnie w Warszawie i ma urodziwą córkę, Anielę.

— Jak pragniesz wolności: powiedziałeś prawdę?

— Tak. Na honor złodziejski, że to prawda.

— Ty draniu... — irytował się stary. — Córkę złodzieja ci się zachciewa?! Mało ludzi unieszczęśliwiłeś, chcesz swego pograć w nieszczęście?! Znam dobrze Staśka „Lipę”. Jego trzeba szanować... Możesz zapomnieć o jego córce. Zapewniam cię, że jego zięciem nie będziesz. Trafiła kosa na kamień, mój brachu...

Janek nie spodziewał się sprzeciwu z tej strony. Ba, wierzył raczej, że stary się wstawi za niego u „Lipy”, aby ten zgodził się na małżeństwo z Anielą. Stary tak się rozżłościł, że przez dłuższą chwilę nie mógł słowa wymówić i mierzył go tylko pogardliwym wzrokiem.

— Ja także jestem ojcem! — wołał. — Wychowałem w ten sposób córkę, że nie wiedziała, kim jest jej ojciec. Wyszła w Paryżu za inżyniera, a sama jest doktorem filozofii. Tak złodziej powinien wychowywać swoje potomstwo. Słyszysz, łajdaku jeden!...

— Słyszę, słyszę — obraził się Janek. — Nie przyszedłem po morały, a po radę.

— Idź na złamanie karku! — krzyczał coraz głośniejszy stary. — zdechniesz złodziejem!... Jazda z mego domu!

„Kławy Janek” nie wiedział, co robić ze sobą. Spodziewał się innych wskazówek na swoją korzyść, a tu zastał zgorzkniałego starca, który prawi mu morały i zabrania nawet kochać córkę złodzieja.

Chciał wyśmiać jego poglądy i skreślić go z listy „Rozpruwaczy”, których ten stary idiota, jak go nazwał teraz w duchu, był przewodniczącym. Ale magnetyczne spojrzenie starca przykuwało go do miejsca.

— Nie wiem, czemu się tak unosisz, nie rozumiem twój gniewu.

— Jak mam się nie gniewać, kiedy przychodzisz po radę i opowiadasz o nowych przestępstwach, których masz zamiar dokonać, by zdobyć dużo forsy. Według statutu naszej organizacji, której poświęciłem resztki sił w życiu, udzielam rad tylko tym, którzy szczerze chcą się nawrócić. Członek może mieć tysiące przestępstw na sumieniu, nie obchodzi

Ojciec, Złodziej

mnie to wcale. Gardzę tylko tymi, którzy chodzili na „mokrą robotę”. Wyznaj mi zaraz, zamordowałeś policjanta?

— Przysięgam więc na grób mojej matki, którą kochałem, że nie zabiłem.

Herszele odetchnął, jakby mu stukilowy ciężar zdjęto z garbu i uspokojony zawołał stanowczo:

— Więc słuchaj, Janek! Moja rada jest taka: masz natychmiast spieniężyć rzeczy wartościowe, które pochodzą z kradzieży albo zostały nabyte za kradzione pieniądze. Połowę tej sumy oddasz dla biednych rodzin więźniów, co gniją po więzieniach, a za resztę pieniędzy postaram się o „lewy gryps” zagraniczny. W obcym kraju znajdziesz uczciwą pracę. Pozostałe pieniądze zapewnią ci przez jakiś czas egzystencję. Masz jakiś fach w ręku?

— Tak — uśmiechnął się Janek.

— Nie o ten fach chodzi — odparł stary również z uśmiechem. — Uczciwy fach mam na myśli.

— W cywilu... jestem damskim krawcem. Moi rodzice byli właścicielami „domu mód” w Odessie i tam się tego fachu nauczyłem.

Stary podrapał się zakłopotany w głowę i odparł:

— Niezły fach. Ale najgorsze, że trzeba mieć do czynienia z kobietami. Tacy goście jak ty powini się trzymać jak najdalej od tego szkodliwego rodzaju ludzkiego. Ten fach nie dla ciebie, brachu.

— Innego frajerskiego fachu nie znam.

— Zostaniesz kupcem. Mogłeś być złodziejem, potrafisz być kupcem...

— I to wszystko? — ironizował Janek.

— Nie wszystko, brachu — odparł, nie zważając na urągliwy uśmiech Janka. — Musisz sobie wybić z głowy córkę „Lipy”. Ja ci to rozkazuję!... Nie brak córek frajerskich albo prostytutek, co chętnie zabawią się z tobą. Po co unieszczęśliwiać uczciwą córkę złodzieja?

Janek wybuchnął głośnym śmiechem i zawołał cynicznie:

— Stary idioto! Gwiżdżę na twój związek i twoje przekonania. Aniela musi być moja!

Zanim stary zorientował się, co zaszło, Janek trzasnął drzwiami i wyszedł.

„Herszele-Rozpruwacz” został sam w pokoju. Słychać było tylko miarowe tykanie starego zegara i ciężkie westchnienie chorego gospodarza. Zmęczony był przydługą rozmową z „Klawym Jankiem”.

Plakał teraz ze złości, że nie może dopędzić łobuza i spoliczkować.

„Taki cham śmiał mnie obrazić — myślał. — Niech tylko przyjdą moi ludzie... Wytoczę mu *dintojrę*... Nauczę go, jak trzeba szanować *rebe*go. Złodziejskiej córki mu się zachciewa...”

Kipiał ze złości, rzucając się konwulsyjnie na barłogu. Zsunął się nawet z łóżka, by zapukać do drzwi na wiernego „sługę”, tego samego, który wprowadził nieokiełznanego Janka.

Ambicja jednak nie pozwoliła mu poniżyć się w oczach sługi. Złodziejski „rebe” znał dobrze psychologię zwolenników i wiedział, że gdy dowiedzą się, że został wyśmiany przez Klawego Janka, zmniejszy to autorytet w ich oczach. Wiedział, że zwolennicy szanują Klawego Janka, może nie mniej niż jego samego. Uważają go nawet za ewentualnego „następcę”.

„HERSZELE-ROZPRUWACZ”

Herszele był dobrze znany „ludziom nocy” całego świata pod przydomkiem „Rozpruwacza”. Oryginalne przydomko zawdzięczał znajomości „fachu”, w którym po prostu dokonywał cudów. Był niekoronowanym królem kasiarzy.

Bardzo charakterystyczne były okoliczności, które wprowadziły go do świata podziemnego. Przeżył wielką tragedię w życiu, zanim stał się wykolejencem, a wreszcie nawróconym pokutnikiem.

Urodzony w małym miasteczku nad Donem, jako dziecko zamożnych, inteligentnych rodziców, już za młodu wykazywał wielkie zdolności w matematyce. Rodzice umieli wykorzystać zamiłowanie dziecka i kształcili go w tym kierunku. W dziesiątym roku życia budował skomplikowane zabawki dzieciinne. Wykazał już wtedy wielki spryt i zacięcie konstruktorskie.

Kobieta, Mizoginia

Handel, Pieniądz, Złodziej

Skończył gimnazjum ze złotym medalem, po czym wstąpił na politechnikę, a po jej ukończeniu na uniwersytet. Otrzymał dyplom inżyniera mechanika i doktora filozofii.

Stał u progu wielkiej kariery naukowej. Los jednak płatał mu jedną niespodziankę po drugiej.

Wkrótce po otrzymaniu obu dyplomów zmarł mu ojciec. Matka, która nie mogła przeboleć tego ciosu, poszła wkrótce w ślady ojca.

Herszele ukończył wówczas trzydziesty rok życia. Był jedynakiem i odziedziczył po rodzicach pokaźny majątek. Przystąpił do spółki akcjonariuszy zarządzających wielką fabryką kas ogniotrwałych i innych przeszkód dla złodziei. Został też wkrótce naczelnym dyrektorem towarzystwa akcyjnego. Zakochał się w jednej z zatrudnionych w tej fabryce dziewcząt. Nic nie stało mu na przeszkodzie i nie potrzebował nikogo pytać o zezwolenie na poślubienie wybranki swego serca. Dziewczyna, też sierota, zapewniała go o swojej gorącej miłości. Poślubił ją i czuł się szczęśliwy.

Szczęście małżeńskie spotęgowało się z chwilą, gdy żona urodziła mu piękną córeczkę. Był dumny, że dziecko jest udane, choć sam nie zaliczał się do „przystojniaków”.

Wkrótce jednak przekonał się, że szczęście jego w małżeństwie było iluzoryczne. W jego życiu nastąpił przewrót.

Był to piękny wieczór majowy. Elegancka willa na Krymie, którą zamieszkał, tonęła po prostu w zieleni i kwiatach. Zmęczony nadmiarem pracy w fabryce wstąpił przed wejściem do domu do ogrodu, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Usiadł na jednej z ławek, zatopiony w nowych planach dotyczących wynalazku udoskonalonej kasy. W pewnej chwili głośne pocałunki odbiły się²⁴ o jego uszy.

„Pewnie nasza Sońka flirtuje z naszym kozakiem” — pomyślał.

Kilka kroków zaledwie dzieliło go od wejścia do domu, kiedy stanął nagle jak wryty. Wśród zarośli spostrzegł sylwetkę żony, która biegła do tylnej werandy.

W pierwszej chwili podejrzane myśli przebiegły mu przez głowę. Po chwili zastanowienia wyśmiał samego siebie, dochodząc do wniosku, że uległ halucynacji. Był pewien, że myśląc o Marusi, wywołał jej zjawę. Mógłby nawet przysiąc, że jest niewinna.

Gdy wszedł do domu i zastał żonę w pokoju dziecinnym, przy córce, poczuł się tak szczęśliwy, że obsypał ją pocałunkami. Doznał po prostu wyrzutów sumienia, że mógł posądzać żonę o zdradę. Nazajutrz przyniósł jej w prezencie brylant, jakby tym chciał wynagrodzić krzywdę, którą mimo woli jej wyrządził.

Głęboko jednak, gdzieś w duszy, czaiła się od tego pamiętnego wieczora pewna nieufność. Unikał często żony i wstydił spojrzeć się jej w oczy. Dziwne myśli prześladowały go. Zmienił się nie do poznania, schudł i zaniedbywał interesy, żona wydawała się już nie ta sama. W nocy zrywał się często ze snu i kontrolował, czy jest obecna w domu. Począł ją też ukradkiem szpiegować.

Wyrzucał sobie nieraz, dlaczego ją szpieguje, kiedy nie ma żadnych poszlak w rękę. Myśl, że owe pocałunki pochodziły ze słodkich ust jego Marusi, doprowadzała go do szału. Robak zazdrości toczył go tym silniej, gdy dowiedział się od służącej, że to nie ona była wtedy w ogrodzie.

Nieprzeznaczone mu było zbyt długo się łudzić. Pewnego dnia ujrzał to, czego się obawiał. Został uderzony jak obuchem w głowę.

Zdarzyło się pewnego razu, kiedy po obiedzie szedł do fabryki, by pracować, jak zwykle, do późnej nocy, że poczuł się nagle niedobrze i zawrócił do domu.

W drzwiach natknął się na biegnącą służącą, która udawała, że go nie widzi i pędziła do dalszych pokojów.

Krew uderzyła mu do głowy. Zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Popędził za służącą i zatrzymał się przy drzwiach wiodących do pokoju żony, które zatrzasnęły się przed jego nosem. Począł się gwałtownie dobijać.

Dopiero po dłuższej chwili żona otworzyła mu drzwi ze słodkim uśmiechem na ustach i zagadnęła zdziwiona:

— Skąd się tu wzięłeś, mój drogi?... Myślałam, że jesteś w fabryce...

— Kto tu był u ciebie? — krzyknął zirytowany.

— Co to ma znaczyć? — odparła niewinnie. — Nie poznaję cię wcale.

²⁴odbiły się o jego uszy — popr.: obity mu się o uszy lub dotarły do jego uszu. [przypis edytorski]

— Zaraz mnie poznasz — odparł i brutalnie odsunawszy żonę, wpadł jak bomba do sypialnego pokoju. Oczy jego natknęły się na otwarte okno: na parapecie stały w nieładzie rozsunięte wazon.

— Kto wyskoczył oknem? — zawołał.

— Nikt — wykrztusiła i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Trzasnął drzwiami i wpadł do kuchni. Nie wiedząc, co robi, chwycił służącą za gardło.

— Mów mi zaraz, kto był u pani!... Tyś ich ostrzegła. Gadaj, bo cię uduszę...

— Puść pan!... Puść!... Wszystko powiem!

Puścił służącą, oddychając ciężko. Ciemno mu się zrobiło w oczach, że musiał oprzeć się o ścianę.

— Kozak był u pani — wyrzuciła służąca ironicznie.

— Co?... Wasil?... Mów!...

— Tak. Kozak Wasil, co zawsze przychodzi.

— Ale do kogo?...

— Do mnie nie!... — zadrwiła służąca.

Wiedział już wszystko... Krew uderzyła mu do głowy. Nie wiedząc sam, co robi, wpadł do gabinetu, a stamtąd do pokoju wiarołomnej żony...

Dwa strzały, jeden za drugim, przerwały jej szlochanie. Kariera jego była skończona.

*

Pięć lat katongi zapoznało go z różnymi przestępcami. Po opuszczeniu więzienia, pełen nienawiści do świata i ludzi, przystąpił do szajki. Jako inżynier konstruktor kas ogniotrwałych łatwo wyróżnił się jako „specjalista”. Stał się głośnym „rozpruwaczem”, przed którym świat finansowy drżał.

Wyższe wykształcenie i znajomość języków obcych dopomogły mu dostać się tam, gdzie jego koledzy nigdy by wstępu nie mieli. Złoto płynęło ze wszystkich stron na jego konta w zagranicznych bankach.

Omijał tylko kobiety i nigdy nie przebywał w ich otoczeniu. Był zawsze gotów pomóc biednym. Większą część zarobków wydawał na utrzymanie dzieci, których rodzice przebywali w więzieniach.

Jedyną córeczkę wychowywał w pierwszorzędnym internacie w Paryżu. Dbał o nią za pośrednictwem swego adwokata, aby nie zbywało jej na niczym. Córka nigdy nie dowiedziała się, jaka tragedia rozegrała się między rodzicami, pozostało też dla niej tajemnicą wykolejenie ojca.

Równie prędko, jak został przestępcą, opamiętał się i chciał zawrócić z błędnej drogi. Powrotna droga okazała się jednak bardziej oporna²⁵, niż mu się wydawało.

Płynęły lata, a staczał się coraz niżej i niżej. Krytyczny moment nastąpił w 1908 roku.

Po odsiedzeniu dwuletniej kary udał się wraz ze współnikami na „pewną” robotę do Berlina.

Policja otoczyła bank, który miał zostać ograbiany. Policja przestrelała mu podczas pościgu kręgosłup i tylko dzięki wiernym współnikom został przy życiu. Na plecach, ryzykując życiem, unieśli go ze sobą i oddali pod opiekę słynnego chirurga. Niedołężnym kaleką pozostał już na zawsze.

Doktor, pod którego opieką odbył kurację, zainteresował się jego przeszłością. Leczył nie tylko jego ciało, ale i duszę.

Czas spędzał godzinami przy jego łóżku. Prowadzili ze sobą długie filozoficzne rozmowy. Za jego namową „Herszele” postanowił rozpocząć nowe życie.

Po wyjściu ze szpitala, złamany fizycznie i moralnie, zakomunikował swoim kolegom, że kategorycznie zrywa raz na zawsze z tym wszystkim, co pachnie złem i krzywdą bliźniego.

Towarzysze daremnie próbowali go przekonać, że nie warto... Szkoda było im rozstać się z takim *remiechą*, jakim był Herszele. Proponowali mu równą „dole” z łupu, aby wydawał tylko rozkazy i uczył „fachu”, nie biorąc osobiście żadnego udziału w „robotach”. Pozostał jednak nieubłagany.

²⁵oporna — popr.: trudna. [przypis edytorski]

Pierwszą rzeczą, której dokonał na drodze uczciwej, była sprzedaż biżuterii i kosztowności swoich i rozdzielenie pieniędzy wśród ubogich. Sobie zostawił najgorszy garnitur i trochę tylko gotówki, tyle akurat, aby wystarczyło urządzić się w ciasnym pokoiku na Smoczej ulicy w Warszawie.

Świat podziemny ogłosił go „świętym”. Ze wszystkich stron zwracano się do niego z prośbami o poradę. Niejednego odwrócił mądrymi wywodami od złego.

Największe asy świata występku szanowały go i z respektem wymawiały jego imię. Nie przyjmował żadnego wsparcia od byłych kolegów, utrzymywał się wyłącznie z pieniędzy, które otrzymywał od córki z Paryża.

Największą przyjemnością dla niego było wygłaszanie moralów. Kiedy był sam, czytał książki naukowe w kilku językach, których miał kilka skrzyń pod łóżkiem.

Pisywał dla biednych prośby do władz, szczególnie dla żon aresztowanych. Niejeden raz prośba taka odnosiła pożądany rezultat. Ministerstwo, prokuratorowie i sędziowie głowili się nieraz nad tym, kto jest autorem tych przemawiających do serca prośb, którym nie można odmówić.

Siedział teraz „Herszele-Rozpruwacz” na barłogu i dumał nad swoim upadkiem. Bolała go obraza, której doznał przed chwilą od Klawego Janka. Złość zmieniła się powoli w litość do tego zdrowego, zakochanego mężczyzny, który może błędzi tak samo jak on kiedyś, będąc w jego wieku.

Jak przez mgłę widział teraz siebie jako dziecko przy rodzicach: widział uczelnie, na których studiował, fabrykę, gdzie pracował, piękną willę wśród kwiatów i pamiętny wieczór, kiedy wbiegł do pokoju żony z rewolwerem w rękę. Lata katorgi i poniżenia: różne typy przestępców. Nad tym wszystkim górowała postać urodziwego kozaka.

„Herszele-Rozpruwacz” naciąga brudny koc na głowę, jakby chciał zasłonić się przed koszmarem. Daremny wysiłek. Zjawy stają się jeszcze wyrazistsze i zimny pot spływa mu z rozgrzaskanego czoła.

Siada raptownie na łóżku, rozglądając się po brudnym pokoju. Wyrzuty sumienia występują, jak gdyby morderstwa żony dokonał dopiero wczoraj...

— Jak ja, który byłem zawsze rozsądny i logicznie myślący — wyrzucał sobie — mogłem popełnić takie głupstwo?... Dlaczego nie zrozumiałem od razu, że ta piękna kobieta nie mogła pokochać naprawdę takiej karykatury, jaką ja byłem. Dlaczego nie zastanowiłem się nad tym, że zaimponowałem biednej dziewczynie raczej bogactwem i stanowiskiem niż męskością...

Rzucał się na swoim barłogu i jęczał z bólu. Krzyczał, wyrzucając sobie na głos:

— Byłem wielkim egoistą... Chciałem biedną dziewczynę otumanić tytułem inżyniera. Biedna Marusia... — krzyczał. — Zamordowałem cię... Siebie unieszczęśliwiłem.... Jaka głupia jest miłość.

Był tak zajęty myślami, że nie usłyszał, jak drzwi się otworzyły.

— Tak... Tak... Bardzo głupia miłość — potwierdził wchodzący.

Stary Herszele zawstydział się, gdy zauważył przybyłego. Zawołał:

— „Lipa”!...

— Tak, ten sam. Jak żyjesz, brachu?...

— Dzięki Bogu, nieźle. A ty?

Dłuższą chwilę spoglądali na siebie przyjaźnie, po czym „Lipa” zawołał:

— Jak długo nie widzieliśmy się już?

— O, już od dawna. Ale chodź no bliżej, siadaj na łóżku.

Znów zmierzili się wzrokiem.

— Źle wyglądasz. Gdyby nie twoje duże, czarne oczy, nie poznałbym cię, „Lipa”.

„Lipa” usiadł i rozglądał się po pokoju. Stary uśmiechnął się smutno.

— Jak podoba ci się mój pałac?... Mieszkam jak w raj. Patrz, nawet kraty kazałem wmurować sobie w małe okienko.

— Po co ci to?

— Tak sobie. Z tego świata już nie chcę korzystać.

— Źle robisz jednak, że tak zaniedbujesz się. Wyglądasz strasznie, przyjacielu.

— Dobrze mi tak, jak jest. Długo już i tak nie wytrzymam. „Zakituję” lada dzień i chcę się przyzwyczaić do grobu.

- Ten sam filozof z ciebie co dawniej — zauważył „Lipa”.
- Tak. Tylko w innym kierunku, przyjacielu.
- „Lipa” pokiwał współczująco głową. Stary zauważył to i zawołał:
- Tylko nie lituj się, proszę, nade mną. Żyję, jak chcę, i nikomu nic do tego. Człowiek, który złego nie czynił, nie potrafi odróżnić dobrego od złego. Dobre uczynki może spełniać tylko taki człowiek, który wpierw czynił źle. Ja dwojako już próbowałem, dlatego jestem zadowolony z mojego losu i nie narzekam.
- To ci dobrze, jeżeli tak się zapatrujesz na życie.
- A tobie źle?
- Bardzo źle... — odparł smutno „Lipa”.
- Stary przytaknął głową i rzekł:
- Słyszałem... „Klawy Janek” chce cię uhonorować i zostać twoim zięciem. Wszystkiemu sam jesteś winien, stary grzeszniku. Najwyższy czas, abyś zupełnie zerwał z dawnym życiem. Po co ci ten kabaret? Nie rozumiem, dlaczego utrzymujesz jeszcze kontakt.
- A ty? — uśmiechnął się „Lipa”. — Też nie możesz całkowicie zerwać z tym życiem.
- Ja? — krzyknął stary. — Muszę życie zakończyć między tymi ludźmi. Moim zdaniem są to najnieszczęśliwsi z nieszczęśliwych. Kto będzie im służył radą w dobrym kierunku, jak nie stary Herszek. Nasz chłopak nigdy nie będzie miał tyle zaufania do frajera, by szczerze wyznać wszystko, co mu dolega. Ale ty to co innego. Sam niby to nie grzeszysz, a czerpiesz zyski z grzechów innych.
- „Lipa” zawstydzony opuścił głowę.
- Masz rację, stary przyjacielu. Przyszedłem po radę. Chcę teraz zakończyć swoją karierę. Dość mam tego.
- Dobra, dobra. Bardzo mnie to cieszy — zachęcał stary, prostując się na swoim barłogu.
- Poradź, przyjacielu, co robić. Policja, zdaje się, wpadła już na mój trop; może już zdemaskowała moją „lipę”. Córka uciekła ode mnie... Jednym słowem nieszczęścia zwały się na mnie ze wszystkich stron naraz.
- Co, uciekła? Z „Klawym”? — Zerwał się stary z posłania.
- A skąd ty wiesz o tym?
- Janek był przed chwilą u mnie.
- U ciebie? Po co?
- Jest przecież „Rozpruwaczem”, jak i ty.
- Tego łobuza też przyjąłeś do zakonu? Ja występuję.
- On już jest skreślony z listy członków. Trzeba wyrwać twoją córkę z jego łap.
- Jesteś w błędzie, brachu. Moja córka nie uciekła z „Klawym”. Wstydzi się już własnego ojca, opuściła mnie z własnej woli.
- Stary uspokojony pokiwał głową i odezwał się z zadowoleniem:
- Ładna córka! Życzę wszystkim złodziejom takie przyzwoite dzieci.²⁶
- Ale od własnego ojca uciekać! — krzyknął „Lipa”.
- Od takiego ojca jak ty, to nie szkodzi.
- Zwariowałeś!
- Na razie nie. Jak widzę, masz porządną córkę. Ręczę, że jeżeli nie zepsuła się w twoim otoczeniu, to gdzie indziej na pewno się to nie stanie.
- Ale piękna i młoda dziewczyna osamotniona, bez opieki?
- Kto nie ma złych skłonności, nie potrzebuje opieki nad sobą, ale złemu i opieka nie pomoże.
- Jak tak rozumiesz, to się już nie dogadamy — obraził się „Lipa”.
- Porozumiemy się, brachu; nie jest jeszcze tak źle. Moja rada jest taka: zmykaj z Warszawy póki czas, a córka, jak zobaczy, że zerwałeś z tym światem, sama wróci do ciebie.
- Już kilka dni upłynęło, jak jej nie ma. Oszaleję chyba. Bez niej życie nie przedstawia dla mnie żadnej wartości.
- Forsy dużo miała ze sobą?

²⁶Życzę wszystkim złodziejom takie przyzwoite dzieci. — dziś popr.: (...) takich przyzwoitych dzieci. [przypis edytorski]

— Właśnie o to chodzi, że nie miała ani grosza. Nie rozumiem, jak można sobie poradzić, nie mając wcale gotówki.

— Uczciwi ludzie nigdy nie mają forszy, a jednak żyją — odparł Herszek.

— Dowiedziałem się nawet poufną drogą, że została aresztowana podczas obławy i co mnie najbardziej dziwi, została natychmiast zwolniona.

— Bardzo proste. Nie zareklamowała się jako twoja córka, więc ją zaraz puścili.

— Obawiam się, żeby nie popełniła samobójstwa — zawołał zrozpaczony Stasiek.

— Głupstwo. Obawiasz się raczej, żeby nie wpadła w szpony „Klawego”.

— Do tego na pewno nie dojdzie. „Klawy” wygłupił się swoją spowiedzią przed nią. Ona teraz czuje do niego prędzej wstręt niż jakieś uczucie.

Stary „rebe” roześmiał się i odparł:

— Oj, „Lipa”, i ty to mówisz. Małą nauczkę dała ci twoja własna żona... Moim zdaniem kobieta im bardziej gardzi, tym bardziej trzeba się obawiać, żeby nie pokochała. Pamiętaj, że u nich od nienawiści do miłości, i na odwrót, tylko jeden krok.

— Nie znasz mojej córki, a po drugie sami współnicy go „ochłodzą”. Klawego Janka najmniej się boję.

— Twardy chłop z niego. Podziwiam jego energię. Daleko zajdzie; jak nie na „dyn-dówkę”, to w każdym razie wysoko.

— Prędzej na to pierwsze — zdecydował „Lipa”.

— Kto wie. On się zawsze potrafi wykręcić. „Remiecha” z niego pierwszorzędnym. Ty wiesz, on miał wyrok na osiem lat katorgi, a już po trzech miesiącach zwał.

— W jaki sposób? — zainteresował się „Lipa”.

— Bardzo prosto. Piękny chłop jest z niego. Naczelnik więzienia poszukiwał wśród aresztowanych damskiego krawca i trafił oczywiście na Janka. Uszył dla pani naczelnikowej kilka sukien, a nawet palto. Naczelnik rad, że wyelegantował mu tak żonę, wziął go za „dieńszczyka”²⁷ do swego domu. Baba, jak to baba, tylko czekała na to. Sprawiała sobie coraz to nowe gałganki, aby tylko Janek brał miarę. Mierzył, dopasowywał... Tak długo, aż pewnego pięknego poranka małżonek nie zastał ani żony, ani „Klawego”.

— No i co dalej?... — zainteresował się „Lipa”.

— Nic. Włókł ją ze sobą przez dwa tygodnie i zostawił w podrzędnym hoteliku w Tomskiej guberni z „żywą pamiątką”... Cwany łobuz.

— Ale tym razem trafiła kosa na kamień. Nie „skantuje” córki Staśka „Lipy”.

— Kto wie? Nie wierzę w uczciwość bab...

„Lipa” słuchał cały czas uważnie, lecz w duchu myślał: „Herszek już całkiem znikował. Już nie można traktować go poważnie. Szkoda. Idąc do niego, byłem pewien, że będzie z kim gadać, ale on już do niczego. Prawi morały jak prawdziwy rebe...”

Pomacał się po kieszeniach. Stary zrozumiał, o co mu chodzi.

— Obrażasz mnie, Stasiek. Nic od nikogo nie przyjmuję, nawet od takiego przyjaciela jak ty. Najlepszą nagrodą dla mnie będzie wypełnienie przez ciebie zobowiązania względem naszego zakonu i zerwanie raz na zawsze z tym życiem.

„Lipa” objął oczami nędzny pokoik i ironiczny grymas wykrzywił jego usta. Stary zauważył to i rzekł:

— Nie lituj się nade mną. Jesteś ze swoim bogactwem bardziej godny pożałowania ode mnie. Nie mam nic, nie potrzebuję nic. Byłbym zupełnie zabezpieczony. Rano dostaję szklankę mleka z bułką, obiad jadam wieczorem, ale bez mięsa; kolacja dla mnie nie istnieje. Co pierwszego córka przysłała mi, ile mi potrzeba, a od życia bardzo mało wymagam. Jałmużny jeszcze „Herszele Rozpruwacz” nie przyjął w swoim życiu i na pewno nie przyjmie, choćby miał zdechnąć z głodu pod płotem.

„Lipa” wyciągnął do niego rękę.

— Żegnam cię wobec tego.

— Już uciekasz? Nie chcesz ze mną „pokrakać” o dawnych czasach. Kiedyś prędzej „zarabialiśmy” rubla, niż cesarz go wybił. Pamiętasz ten *kaber*, który razem rozpruiliśmy w Moskwie?

— Owszem, pamiętam. To wszystko było dawniej.

²⁷ *dieńszczyk* (ros. *денщик*) — służa, lokaj. [przypis edytorski]

— Tak, tak, dawniej, bardzo dawno... A czym jestem dziś? Żywym trupem. Ale wiesz co, „Lipa”, żałuję z całego serca, że zostałem przestępcą. Nie opłacało się...

— Jak dla kogo — uśmiechnął się „Lipa”.

— Dla nikogo — uniósł się stary, przybierając kaznodziejski ton. — Wszystko zło należy wykorzenić ze świata. Na pierwszy ogień trzeba wziąć tych, którzy dostali się na wysokie stanowiska społeczne i zmuszali innych do popełniania przestępstw.

— Kogo masz na myśli? — zawołał „Lipa”.

— Jeszcze się nie domyślasz? Wszystkich pasibrzuchów, kapitalistów i fabrykantów. Oni są winni, że istnieją bezrobotni, złodzieje, przestępcy i więzienia. Kto, jak nie oni, fabrykuje armaty, karabiny, bomby i gazy trujące? Kto wywołuje wojny i inne nieszczęścia? Kto szczuje jednych na drugich, by się mordowali nawzajem, podczas gdy oni opływają w rozkosze? Wierz mi, „Lipa”, gdyby nie ci wszyscy kombinatorzy, istny raj byłby na ziemi.

„Lipa”, widząc, że zanosi się na dłuższą rozmowę, wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Bywaj zdrow, przyjacielu, muszę już iść.

Stary niechętnie podał mu wychudłą rękę; w oczach jego zabłyśły łzy.

— Idź z Bogiem. Tylko jedną prośbę mam do ciebie, przyjacielu: jak się spotkamy na tamtym świecie, nie „przypuczuj” się, że byłeś moim kolegą... — roześmiał się z goryczą i dodał: — A wiesz dlaczego, kochany brachu? Dlatego, że ci wszyscy, co na tym świecie uchodzą za wielkich „chojraków”, tam będą tacy jak ja dziś.

„Lipa” przyglądał mu się przez dłuższą chwilę ze współczuciem, po czym jeszcze bardziej złamany na duchu, niż przed tym, opuścił pokój.

„Kławy Janek”

„Kławy Janek” był sierotą. Gdyby nie przedwczesna śmierć matki, kto wie, czy Janek nie zostałby porządnym i użytecznym obywatelem. Młoda macocha, z którą ojciec się ożenił, była złą kobietą. W rok po ślubie wytransportowała na tamten świat zakochanego męża; nie zapomniała wpłynąć na niego, aby przed śmiercią jej przepisał całą schedę.

Janek miał wówczas czternaście lat. Czuli opiekę macochy dała mu do zrozumienia, że życia nie będzie miał wysłany kwiatami.

Cierpiał głód i nędzę. Nie dlatego, że macocha nie dbała o niego, przeciwnie, wykazywała mu więcej uczucia i zainteresowania niż ojciec. Młoda, niedoświadczona dusza chłopca nie była jeszcze na tyle zepsuta, aby zrozumieć, czego ona właściwie chce od niego...

Unikał jej poządlivych spojrzeń. Czuł żal do niej, że pozbawiła go ojca. Jej przypisywał winę, że w czternastym roku życia został sierotą oraz że potem musiał opuścić dom rodzinny.

Głód zmusił go do wyciągnięcia ręki do straganów, chłopskich wozów i sklepików. Zaawansował wkrótce, gdy nawiązał kontakt ze światem przestępczym. Koledzy poznali się na jego „zdolnościach”. Odwaga i „szczęście”, które towarzyszyło mu w wyprawach, wysunęło go na czoło odesskiego świata podziemnego.

Kroczył coraz wyżej i wyżej. Mając dwadzieścia lat życia, był już sławnym „rozpruwaczem”. „Branża” poważnie go traktowała.

Męski, energiczny wygląd utorował mu dostęp do kobiet. Elegancki, uprzejmy w obejściu, nawiązywał łatwo znajomości z kobietami z towarzystwa. Zawsze znajdował odpowiedni moment, kiedy trafić do ich serca i biżuterii...

Był zawsze żywy, wesoły, pełen humoru i taktu. Lubił ryzykować i nie spoglądał na „latarnię”. Był urodzonym graczem i traktował swój zawód jako sport. To właśnie było przyczyną, że przeważano go „Klawym Jankiem”.

Kobiety zamieniał jak rękawiczki. Wiele z nich kochało go, ale on — żadnej.

Były tylko dwie kobiety, które pozostawiły po sobie niezatarte wspomnienia. Okoliczności, które były związane z tymi romansami, przyczyniły się, by przypomnieli je sobie.

Jedną z tych kobiet była właśnie żoną naczelnika. Niebrzydka „sybiraczka”, której zawdzięczał wolność, dała mu odczuć w wiecznie nienasyconych ramionach gorsze więzienie niż to, z którego dopomogła mu uciec.

Z drugą kobietą zetknął się zupełnie przypadkowo. Poznanie to było tak romantyczne, że warto o tym wspomnieć.

Zło, Pozycja społeczna,
Władza, Bieda

Wypadek ten miał miejsce, kiedy pewnego razu musiał wiać z Belgii do Berlina. Był wówczas goły jak święty turecki. Toteż nie mając innego wyjścia, postanowił jeszcze tej nocy zrobić „początek”. Wolał sam zaryzykować, niż zdać się na łaskę swoich niepewnych współników.

Willę, która mu wtedy wpadła w oko, postanowił za wszelką cenę „zrobić”. Cały jego majątek składał się z kilku precyzyjnych przyborów marnego „klawisznika”.

Przekonany, że „pana nie ma w domu”, przystąpił bez namysłu do dzieła. Rozpoczął już śmiało badać obiekt swego zainteresowania.

Silny mróz popędzał go i naglił, by nie próżnował. „Łysy” jakby na złość oświetlał willę i kłuł promieniami prosto w twarz. Postanowił jednak dłużej nie czekać, aż go „łysy” „zakapuje”. Zręcznym ruchem „skluczył” drzwi prowadzące do długiego korytarza.

Chwila niepewności, po czym wsunął się śmiało po schodach na górę. Przydał się teraz księżyc, który wylał z kryjówki i oświetlił ciemny korytarz. Elektrycznej lampki, bez której ludzie nocy nie mogą się obejść, nie miał tym razem do dyspozycji. Po omacku pchnął pierwsze drzwi wiodące do jednego z pokoi.

Stał od razu jak wryty. Młoda dziewczyna siedziała w pozycji półleżącej na łóżku, czytając książkę. Wybałuszyła parę zdziwionych oczu i miękko rzekła:

— Pan się widać pomylił.

Janek momentalnie zorientował się w sytuacji.

— Owszem, pomyliłem się. Bardzo przepraszam, że przeszkodziłem; mieszkam w drugim pokoju.

Tym się sam zasypał: przez ścianę mieszkała koleżanka dziewczyny. Dom ten mieścił internat dla niezamożnych studentek.

Studentka odrzuciła książkę i skoczyła na równe nogi.

— Co pan za jeden?...

— Ja, ja... — wybełkotał Janek, pokazując jej palcem usta, by milczała.

Dziewczyna stała przestraszona i zdziwiona zarazem. Jego przedziwne zachowanie się odniosło ten skutek, że pary z ust nie wypuściła. Janek, wykorzystując ten moment, cofał się w tył²⁸. Pewny uśmiezek uwodziciela igrał na jego ustach. Po chwili jednak zrobił krok naprzód, by ująć śmiałą dziewczynę za rękę. Zdziwił się, gdy na jego odruch nie zareagowała.

— Kim pan jest?... Czego pan tu chce?... — szepnęła przerażona, patrząc mu prosto w oczy.

— Cicho sza... Jestem włamywaczem, zwyczajnym złodziejem, moja piękna dziewczynko... Jednak nic złego pani nie uczynię. Już zmykam, tylko proszę nie krzyczeć!... Błagam o to...

Słowa te wywarły niespodziewany dla niego skutek. Dziewczyna nie tylko, że nie krzyczała, ale zaprosiła go, by siadł, przysmykając drzwi na klucz.

Dłuższą chwilę przyglądali się sobie, po czym dziewczyna odważnie zawołała:

— Niestety, nie będzie pan mógł u mnie korzystać ze swego talentu. Nie ma po prostu co kraść — roześmiała się dobrodusznie.

Janek już pewniejszy siebie, widząc, że trafił na wyrozumiałą kobietę, odparł:

— Zabłądziłem tu przypadkowo. Już od dłuższego czasu mam pecha. Podziwiam odwagę pani. Inna na miejscu pani narobiłaby hałasu, by zwabić policję.

— Skąd ta pewność, że tego nie uczynię? Niech no pan spróbuje tylko źle się zachować — uśmiechnęła się.

— Dla pięknych pań zawsze żywię uczucie szacunku — odparł zuchwale.

— Bez komplementów, proszę. Nie udało się panu okraść mieszkania, próbuje pan szczęścia w innym kierunku.

— Niestety, mam już taki zwyczaj — uśmiechnął się z łobuzerską. — Kiedy jestem w obcym mieszkaniu i nie udaje mi się czegoś zabrać, doznaję wrażeń, jakbym tam coś swego zostawił...

Dowcip tak się spodobał naiwnej studentce, że usiadła swobodnie, zarzuciwszy nóżkę na nóżkę. Janek nabrał odwagi i zaatakował ją z miejsca.

Dopiero nad ranem opuścił jej pokój...

²⁸cofał się w tył — błąd logiczny; popr.: cofał się. [przypis edytorski]

Wkrótce po tym wypadku udało mu się ograbić bank. Od razu się odreperował i studentkę, która przeniosła się za jego namową z internatu do hotelu, ubrał w drogie suknie i brylanty. Koledzy zazdrościli mu pięknej frajerki. Ich „ataki” skierowane do niej okazały się bezskuteczne; zapewniała, że tylko Janka kocha.

Niedługo jednak trwała sielanka zakochanych. Janek powędrował do więzienia, a ecentryczna studentka powędrowała do rąk wiernych kolegów... Nie obeszło się przy tym bez bijatyk i *dintojry*.

Zdecydowała się wreszcie pożegnać na zawsze kochliwych towarzyszy Janka. Oddała się pod opiekę pięknego fordansera, którego poznała w jednym z najwytworniejszych kabaretów Berlina.

Piękny berlińczyk okazał się handlarzem żywym towarem: wytransportował ją do Buenos-Aires...

Jankowi udało się i tym razem zwać z więzienia. Przede wszystkim przystąpił do odszukania kochanki. Podążył za nią do Argentyny, by wyrwać ją z rąk bezczelnych alfonsów. Zastał ją w jednej „kwadrze”, dokąd przybył w charakterze „gościa”.

Tego samego dnia dwaj rywale zetknęli się ze sobą. Janek, mszcząc się na uwodzicielu, wbił mu nóż pod samo żebro. Był też pewny, że odzyska teraz kochankę i zabierze ze sobą do Europy.

Rozczarował się jednak. Nie tylko, że nie chciała opuścić „kwadry”, gdzie „pracowała”, ale nawet usiłowała go zdemaskować przed policją. Zabójstwo to było jedyne w jego burzliwym życiu i sam nie uważał tego za „mokrą robotę”.

Świat argentyńskich alfonsów szukał zemsty za zamordowanie kolegi. Jankowi jednak udało się czmychnąć do Europy.

*

Kiedy Janek opuścił mieszkanie starego „Herszele-Rozpruwacza”, przemyślał każdy szczegół wspomnianego romansu ze studentką.

— Tamta też była studentką, jak i Aniela, jednak co ze mną zrobiła... Pojechałem na drugi koniec świata, aby ją ratować, a ona, wredna, wyśmiała mnie i chciała oddać w ręce policji. Oj, kobiety! Kobiety! — krzyknął Janek na głos. — Może i stary „rebe” ma rację, kiedy nakazuje zwolennikom swoim omijać kobiety. Kto wie, czy Aniela, o którą walczę, nie okaże się taką samą naiwną berlińską studentką.

Doznał jednak zaraz wyrzutów sumienia za to porównanie.

— Nie... Nigdy! Aniela jest inna niż wszystkie kobiety, które dotychczas znałem.

Ogarnęło go desperackie uczucie i popadał z każdą chwilą w większą rozpacz. Chciał nawet podejść do pierwszego lepszego napotkanego policjanta i zawołać:

— Jestem „Kławy Janek”. Zamordowałem policjanta... Mam setki innych przestępstw na sumieniu. Biercie mnie i róbcie ze mną, co się wam podoba...

Wariackie myśli opanowały go. Sunął bezwładnie chodnikami ulic, nie mając odwagi urzeczywistnić żadnej z myśli. Doznawał przykrego wrażenia, jakby zapadł w koszmarny sen, z którego trudno się obudzić.

Wszystko jednak, co zaszło, było realne, smutne — było przykrą rzeczywistością.

Daremnie silił się wyrwać Anielkę ze swego serca. Zapragnął choć raz jeszcze ją ujrzeć.

Odrzucił jednak prędko tę myśl.

— Komu jestem potrzebny i kto się mną interesuje?... Jedyne może agenci z urzędu śledczego, chętnie by zainteresowali się moją nędzną osobą.

Gorzko uśmiechnął się.

Przed jego oczami przesuwaly się jak na ekranie spędzone w celach więziennych lata. Zdawało mu się, że słyszy wyraźnie dźwięki więziennych dzwonów nawołujących do różnych czynności związanych z bezdusznym życiem więźnia.

Zadrżał cały i chwycił się rękami za uszy, chcąc zagłuszyć te znieprawdzone odgłosy. Nie mniej dokuczal mu zegar więzienny wydzwaniający kwadranse, godziny i odmierzający małymi dawkami czas.

Nie znosił jego punktualności w długie zimowe godziny i jeszcze dłuższe piękne słoneczne lata. Nienawidził mechanizmów, które każą więźniowi zaglądać w oczy rzeczy-

wistości. Nieraz wyczekiwał uderzenia więziennego dzwonu, aby raczył dać sygnał na rozdanie *salamachy* wygłodniałym żołądkom.

Paniczny strach przejął go do szpiku kości od tych przykrych myśli.

— Kto wie, czy dziś albo jutro nie będę zmuszony wściekać się pod opieką tych bezdusznych potworów?

— Nie! Nigdy! — odpowiedział sobie w duchu.

— Lepiej śmierć niż powrót tam...

Kilku przechodniów zatrzymało się na chodniku, przyglądając mu się uważnie.

— Co panu jest? Dlaczego pan tak wykrzykuje? — zagadnął go podejrzliwie starszy jegomość.

„Klawy Janek” od razu oprzytomniał. Rozejrzał się dokoła i zawołał:

— Zmykaj frajerze!... Kur... twoja...

Uczył duży krok naprzód. Starszy jegomość nie zdążył się jeszcze zorientować, z kim właściwie ma honor, gdy Janek wskoczył do pędzącego tramwaju, pokazując mu język...

ROZDZIAŁ IX

Także Aniela błędziła całymi dniami ulicami i uliczkami. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Wyrzuty sumienia dokuczały wrażliwej duszy dziewczyny. Wyrzucała sobie, że źle postąpiła wobec ojca.

Miłości do „Klawego Janika” także nie mogła zagłuszyć w sobie. Kiedy go pożegnała, była pewna, że go zapomni, wyrwie ze swego serca, była jednak za uczciwa, aby mogła zapomnieć tego, którego pokochała. Należała do kobiet, które kochają raz w życiu. Właśnie z tego powodu więcej jeszcze cierpiała: bolało ją to, że swoją czystą miłością obdarzyła niegodziwego człowieka.

Postacie ojca i Janka ukazywały się jej raz po raz. Widziała rozpacz ojca i przygnębioną twarz Janka. Wyczuła swoim kobiecym instynktem, że Janek szalenie ją kocha.

Już wówczas, kiedy Janka pożegnała i uciekła z domu, pożałowała swego kroku.

Błąkając się alejami, wiele przemyślała. Nie była zdecydowana jeszcze, dokąd ma się udać; była atakowana przez różnych eleganckich panów. Poczula żal do tych panów, którzy na pewno nie należeli do świata „Klawych Janków”. Wiedziała, że mężczyźni ze świata podziemnego nie atakują z zasady nawet zawodowych prostytutek na ulicy.

Była bliska płaczu, kiedy w późnych godzinach wieczornych wstąpiła do pierwszorzędnej cukierni na szklankę herbaty. Oczy obecnych mężczyzn jak na komendę strzeliły w jej kierunku. Odważniejszy przysunął się nieznacznie do jej stolika i próbował różnymi sposobami nawiązać rozmowę.

Długo nie dali jej tam usiedzieć. Nie mogła znieść tych zwierzęcych zmysłowych oczu. Było już po północy, kiedy wyszła z lokalu i wpadła w oczy przechodzącego policjanta. Stróż bezpieczeństwa przekonawszy się, że z tą kobietą nic się nie da zrobić... zatrzymał i dołączył do aresztowanych z obławy.

Zwolniona przez komisarza Żarskiego chciała wrócić do domu. Jednak nogi poniosły ją w innym kierunku. Szukała Janka. Błądziła po różnych melinach. Daremnie dopytywała się o ukochanego. Janek wpadł niby kamień do wody.

Obawiała się zetknąć z ojcem. Wiedziała, że on ją poszukuje. Wstydziła się przed nim, że po tym wszystkim, co Janek jej wyznał, śmie go jeszcze poszukiwać.

Oszczędności, które bez wiedzy ojca posiadała, były na wyczerpaniu. Miała co prawda na palcu brylantowy pierścionek — dar imieninowy od ojca. Żal jej było spieniężyć ten upominek.

Najwięcej cierpiała z powodu prześladowań mężczyzn. Świdrowali ją taksującymi spojrzzeniami. Umizgali się do niej jak oswojone psy, które poczuły tłusty ochłap. Nawet w pierwszorzędnym hotelu, gdzie zamieszkała, nie doznawała spokoju. Zapraszali kolejno na kolację, spacer, na „pół czarnej”, do kina i teatru.

Poczula niepohamowany wstręt do tych wyfrakowanych mężczyzn. Podслуchała rozmowę portiera z jednym z najbardziej natrętnych wielbicieli.

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaje

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaje

— Jak ja panu mecenasowi mówię, to murowane. Dziś w nocy dostarczę ją panu. Dobrze znam te samotne kobiety. One specjalnie lokują się w drogim hotelu. Wiedzą o istnieniu u nas „tłustych” gości. Chcą zarobić, panie mecenasie...

Krew uderzyła jej do głowy, słuchając, jak kupczą jej osobą. Chciała otworzyć drzwi i napluć w nalaną twarz pana mecenasa i jego stręczyciela. Opanowała się jednak, myśląc z goryczą, jak ludzie mogą uważać ją za taką...

Zadała sobie pytanie:

— Czy rzeczywiście na taką wyglądam?

Po raz pierwszy w życiu poczęła patrzeć innymi oczami na ludzi z lepszego świata, do których tak tęskniła.

W innych hotelach, gdzie nocowała, było jeszcze gorzej. Wszędzie widziano w niej piękną kobietę, a nigdzie pięknego człowieka. Dziwiła się, że wszędzie ją traktują jak kobietę, która przyszła do hotelu, by zarobić...

Gdyby nie przejmujący chłód na ulicy, chętnie by przenocowała gdzieś w lesie, daleko od ludzi. Nie przyszło jej nawet na myśl, że tam dopiero mogliby się na nią rzucić różni erotomani, nie pytając wcale o jej zgodę.

Aniela, córka znanego złodzieja, była za uczciwa, by mogła wiedzieć, ile podłości i wstrętnych zasadzek czyha z każdego kąta na ładne kobiety, a do nich wszak ją zaliczano.

Krocząc Marszałkowską, zatopiona w rozmyśleniach, natknęła się przy przystanku tramwajowym na współników Janka.

Groźny Antek zrobił krok ku Anieli i zawołał:

— Wstyd! Porzucić własnego ojca i zmykać, diabli wiedzą po co i gdzie. Ojciec biega jak obłąkany po całej Warszawie za tobą!

Aniela udała, że nie słyszy i chciała oddalić się. Felek zastąpił jej drogę.

— Zlituj się nad ojcem! Wczoraj dostał ataku serca!

Aniela spuściła smutno oczy.

— Czemu milczysz? Mów, jedziesz z nami do domu czy nie? — zawołał groźnie Antek.

— Ma rację — dodał Felek. — Jazda, bierzemy dryndę i walimy do domu... Stary się ucieszy.

— Trafie i bez was, gdy zechcę.

— Nie! Musisz z nami jechać! I to już! Słyszysz! — Zagalopował się Antek, którego Felek nieznacznie pociągnął za ramię.

— Daj spokój... — szepnął.

Antek nie słuchał wcale i próbował ją przekonać.

— Masz już wrócić do domu... Jak nie...

Aniela wyprostowała się dumnie i odpowiedziała poważnie:

— Jakim prawem przemawiasz do mnie, łobuzie, takim tonem? Nie znam pana...

— Słyszysz, Felek?

Felek odchrząknął, splunął w stronę i zdjawszy czapkę, uklonił się.

— Bardzo panienkę przepraszam. Kolega jest zawsze pod gazem. Niech panienka ze mną pojedzie. Jak pragnę wolności, że stary się ucieszy...

Aniela nie słuchała już i wykręciła się bokiem.

— A ja mówię, że masz wrócić do domu! — krzyknął Antek, zastępując jej drogę.

— Odejdź pan, bo zwołam na policjanta!

— Co?... — ryknął Antek, nie wierząc własnym uszom. — Ty to mówisz?!

— To, co pan słyszy — odparła Aniela. — Proszę odejść.

— Niedobrze mi się robi... — zawołał Antek. — Córka Staśka „Lipy” grozi nam policjantem?!

— Nie zrobi tego — uspokoił go Felek.

— Więc panienka nie pojedzie do domu? — zniżył już ton Antek. — Ojciec na to nie zasłużył. Nie sypia po nocach. Interes zamknięty. Zagląda do butelki, a wszystko przez panienkę.

— Pewnie! — przytaknął Felek. — Niech panienka się namyśli!...

— Janka i tak diabli wzięli — zawołał Antek. — Nawalił nam forszę i zwiął za granicę. Nie ma za kim się uganiać, moja panno.

Aniela zrobiła krok naprzód, nie wiedząc, jak postąpić. Wtem nadjechał tramwaj. Kilku pasażerów wysiadło, a inni zajęli ich miejsca. Oczy Anieli utkwiły w jednym punkcie. Prędkim krokiem wsiadła do tramwaju, który ruszył z miejsca. Antek i Felek wskoczyli za nią.

Tramwaj był wypchany pasażerami. Antek i Felek obserwowali Anielę, która ze swej strony stała, jakby wpatrzona w kogoś. Skamieniali ze zdziwienia, gdy ujrzeli przed sobą Klawego Janka, czytającego gazetę.

Oczy wszystkich czworga wreszcie zetknęły się. Janek przywitał oczami Anielę. Wspólnicy zmieszani i zadowoleni zarazem, że nareszcie przycupnęli go, starali się nie stracić go z oka. Wiedzieli dobrze, że tu nie jest miejsce na porachunki.

Przy najbliższym przystanku pierwszy wysiadł Janek. Aniela zawahała się, jednak wysiadła ze współnikami, którzy podążyli pośpiesznie za Jankiem.

Janek zatrzymał się na rogu ulicy i oczekiwał na Anielę, która pierwsza wyciągnęła do niego rękę. Pocałował ją z uszanowaniem i dłuższą chwilę wzruszeni spoglądali na siebie milcząco. Tylko ich oczy przekomarzały się ze sobą.

Antek i Felek czuwali w odległości i nie śmieli przeszkodzić zakochanym. Nie mieli teraz odwagi przystąpić do herszta z pretensjami. Janek kroczył spokojnie obok Anieli i nie zwracał wcale uwagi na tropiących go kolegów.

— Czemu „nabziales”? — Szturchnął Felek Antka. — Zatrzymaj go!...

— A ty się go boisz?

— Ja przecież na niego nie wyjadalem — odparł Felek. — Wiedziałem, że „Klawy” nie nawali.

Antek spojrzał groźnie na Felka.

— Chcesz znowu dostać w nos?

Janek zauważył, jak współnicy kłócą się ze sobą; więc przystanął i zawołał:

— A wy, co się wleczenie za mną? Jeszcze żyję.

Obaj spojrzeli na siebie w milczeniu. Struchleli na widok bladej twarzy „prowidera”.

Janek głośno się roześmiał.

— Chodźcie no bliżej.

Groźny Antek pierwszy z uszanowaniem wyciągnął rękę. Felek to samo uczynił.

— Mam z wami coś ważnego do pomówienia.

— Właśnie — odparł nieśmiało Felek.

— Teraz idźcie do wielkiej cholery — zawołał Janek. — Gdzie chcecie się ze mną spotkać?

— A teraz nie można? — Nabrał odwagi Antek.

— Załatwimy teraz. — Przynal się bliżej Felek. — Szukamy cię już dość długo.

— Nie pali się — odparł Janek zdecydowanym głosem. — Dziś o dziewiątej wieczór, gdzie chcecie, abym się stawiał?

Wspólnicy zamienili ze sobą spojrzenia.

— Czy to prawda, co „Lipa” nam powiedział o zgubie forsy?

— Teraz na ulicy nic nie powiem — odparł Janek dumnie. — Mam teraz do omówienia ważniejszą sprawę — uśmiechnął się do Anieli, która udawała, że patrzy w wystawowe okno.

— Uparłeś się, to trudno — zawołał urażony Antek.

— Szkoda czasu! — zawołał Janek i zbliżył się do Anieli.

— Najlepiej będzie na Pradze — wołał za nim Antek. — Wiesz już u kogo...

— Dobra! — rzucił Janek, nie obejrawszy się za sobą. Ujął delikatnie Anielę pod rękę i skreślił w boczny ulicę.

— Dokąd mnie prowadzisz? — Przytuliła się do niego zawstydzona.

— Sam nie wiem — uśmiechnął się Janek.

— Nie boisz się wałęsać ulicami?

— Naumyślnie to robiłem. Życie moje nie ma wartości bez ciebie. Jakby na złość policja mnie nie dostrzega.

Aniela spojrzała mu badawczo w oczy.

— A teraz także chcesz wpaść w ich ręce?

— O nie! Chciałbym tylko być tak niewinny, jak ty jesteś, kochana.

Dłuższą chwilę kroczyli obok siebie w zamyśleniu. Aniela przystanęła i zawołała smutnym głosem:

— Co masz zamiar zrobić ze sobą?

— Chodź, droga, uciekniemy w świat, gdzie oczy poniosą. Urządzimy się tam, gdzie nikt nie zna mojej przeszłości. Zapomnimy, co było, i rozpoczniemy nowe życie. Będziemy razem szczęśliwi... bardzo szczęśliwi...

Aniela spuściła głowę, a dwie wielkie łzy stoczyły się po jej przybladłych policzkach. Janek zauważył to i zrozpaczony wybuchnął:

— Nie płacz! Nie mogę znieść twoich łez. Rzuć się pod pierwszy lepszy tramwaj.

— Jakam nieszczęśliwa — wybuchnęła Aniela płaczem, chwytając go za rękę.

— Ciszej. Ludzie patrzą na nas. Zapominasz, że znajdujemy się na ulicy.

Zatrzymał nadjeżdżającą taksówkę. Aniela zajrzała mu badawczo w oczy, kiedy niemal gwałtem wepchnął ją do taksówki.

Przytuliła się do niego w pełni zaufania, jak jeszcze nigdy. Wyczuła kobiecym instynktem, że prowokuje go; jednak zanadto go kochała, aby mogła się opanować.

— Tęskniłaś? — wyszeptał.

Aniela w odpowiedzi bardziej przytuliła się do niego i wyrzuciła jednym tchem:

— Sama nie wiedziałam, jak cię mocno kocham. Kiedy cię pożegnałam, byłam pewna, że zerwałam z tobą na zawsze. Omyliłam się. Nie doznałam spokoju i szukałam cię wszędzie. Nawet we wstrętnych melinach. Kocham cię... Jestem gotowa stanąć razem z tobą pod szubienicę — łkała.

Janek doznawał różnych uczuć, które wydusiły łzy z jego stalowych oczu. Zapłakał po raz pierwszy w życiu. Litował się nad młodą dziewczyną i rozumiał wreszcie, czym ona jest dla niego.

— Pozwól się pocałować, kochana.

Sama mu podsunęła policzek. Jednak nie mógł się opanować, by nie pocałować jej ust. Aniela odskoczyła zawstydzona.

Szofer, który zaobserwował to w lusterku, rozumiał, na co się zanoszą, więc krzyknął na głos:

— Dokąd?

Janek podał nazwę hotelu i znów zamierzał ją całować. Aniela wzdrygnęła się na dźwięk słowa „hotel” i od razu oprzytomniała.

— Do hotelu nie pojedę!

— Uspokój się, kochana. Widzisz sama, że musimy gdzieś pomówić ze sobą bez świadków.

Aniela zatopiła przenikliwy wzrok w Janku, jakby chciała wyczytać jego zamiary.

Janek uchwycił jej myśli i odparł:

— Możesz mi w zupełności zaufać. Takim podłym „Janek Klawy” nie jest.

Taksówka zatrzymała się przed wskazanym hotelem. Janek rzucił niedbale szoferowi banknot i wprowadził Anielę do swego pokoju.

— Zdejm płaszcz, kochanie...

Wyciągnął rękę, jakby chciał jej pomóc. Aniela cofnęła się w tył.

— Po co... Możemy i tak pomówić.

— Nie chcesz, to nie. Siadaj, proszę.

Aniela usiadła niepewna siebie. Twarz Jana nachmurzyła się. Przykre myśli przebiegły jego mózg:

„Teraz, kiedy z odzyskaniem Anieli wydaje się, że marzenia moje się spełniają, może wpaść lada chwila policja i położyć kres mojemu szczęściu. Zaprowadzą tam, gdzie miłość i wszelka radość należą do przeszłości...”

— Czemu nic nie mówisz? — zawołała Aniela bojaźliwie.

Obawiała się myśli Janka, które mogły być niekorzystne dla niej.

— Nie wart jestem twojej czystej miłości — wybuchnął nagle Janek, jakby chciał zagłuszyć przykre myśli. — Uważałem cię już za straconą dla mnie na zawsze. Jestem teraz najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Ty, Anielo, siedzisz teraz przy mnie. Zaklinam się na grób mojej matki, którą kochałem nad życie, że wolałbym gnąć za kratami, niż być na wolności bez ciebie, bez twych pięknych uczciwych oczu. Ach, jak cię kocham, Anielo!... Jak wściekły pies szukałem twoich śladów...

Wyciągnął ręce, jakby chciał ją objąć wpół. Aniela wysunęła się zgrabnie i usiadła na kozetce. Janek spoglądał na nią pożądliwie i podziwiał kobiecy czar, który bił z jej dziewczęcej sylwetki. Siedział na przeciwko niej i duma rozpieła jego piersi na myśl, że ta piękna kobieta należy do niego. Nie mógł oczu oderwać od jej kuszących warg...

Całą siłą woli opanował się, by nie popełnić głupstwa. Zbliżył się do okna. Zacerpnął powietrza.

Aniela, rozumiejąc dobrze, co dzieje się z Jankiem, zbliżyła się do niego i przytuliła rozgorączkowaną twarz do swojej twarzy.

— Przysięgnij na naszą miłość, że więcej w życiu kraść nie będziesz.

— Przysięgam! A ty, co masz zamiar robić ze sobą? Wróć do ojca.

— Będę szukała posady. Wszelką pracę gotowa jestem przyjąć, nawet zostać służącą, byleby uczciwie i z tobą razem.

— Tak, tak, uczciwie... To słowo brzmi dla mnie jak legenda.

— Ja uczynię cię najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Przysięgam, że moja miłość tego dokona. Zawsze będę tylko twoja...

Janek musnął jej włosy wargami i odparł filozoficznie:

— Nie przysięgaj, moja droga. Los jest od nas silniejszy. Najpotężniejszy z wszelkich uczuć ludzkich.

Przez na wpół zasłonięte okno wdzierало się do pokoju blade światło ulicznych lamp. Różowa bladeść padała na twarz Anieli, co dodało jej jeszcze więcej uroku. Oczy świeciły się jak dwa brylanty. To wszystko podniecało Janka.

— Zdejm płaszcz, proszę cię... — zawołał błagalnie, obejmując ją wpół.

Aniela delikatnie wyrwała się, ściągając brwi.

— Zapominasz się, Janku.

— Idź sobie! Idź! Nie męcz mnie!... Przystają panować nad sobą. Twoje spojrzenie pali mnie jak żarzący węgiel. Doprowadzasz mnie do oblędu.

— Opamiętaj się, Janku! Musisz przywyknąć do opanowywania złych skłonności. Będzie to dla mnie najpewniejszą gwarancją, że się nawrócisz.

Janek uśmiechnął się nieznacznie.

— Kochać także należy do złych skłonności?

Aniela odparła poważnie:

— Wszystko zależy jak, gdzie, kiedy i z kim...

Janek silnie podniecony zaczął biegać po pokoju. Zmagaly się w nim złe duchy. Po-dejrzał, że ona go prowokuje. W jego przestępczej głowie nie mogło pomieścić się, aby kobieta, która szczerze kocha, tak mogła się drożyć.

Zbliżył się do niej i siłą porwał w objęcia. Obsypywał jej twarz i oczy płomiennymi pocałunkami. Aniela jednak okazała się silniejsza, niż sobie wyobrażał. Pchnęła go tak silnie od siebie, że zatoczył się pod ścianę.

Janek stał dłuższą chwilę zmieszany i przyglądał się jej to z zachwytem, to ze zdziwieniem. Zrobił krok naprzód, chwycił karafkę z wodą i wylał całą jej zawartość sobie na głowę.

Aniela wybuchnęła śmiechem.

— Drwisz z mojej uczciwości? — zawołał urażony. — Nie graj mi na nerwach.

Aniela zbliżyła się do Janka. Wzięła jego głowę w swoje ręce i rzekła przytulnie:

— Co za duże, nieokiełznane dziecko! Niech się uspokoi.

— Ach, gdybyś nie była córką złodzieja...

— Co by wtedy było?...

— Gwałtem bym cię wziął!...

Aniela urażona zawołała:

— Nie życzę sobie, byś w taki sposób przemawiał do mnie. Zapominasz się, Janku.

— Daruj, kochana! Nie moja wina. Złodziejska zepsuta krew zagrała we mnie...

Na wpół uspokojony wziął delikatnie jej rękę w swoją dłoń i okrył pocałunkami.

— Masz rację. Moja wolność jest niepewna. Kto wie, czy nie czekają już za drzwiami, by mnie zakuć w kajdanki. Mały zaszczyt będzie dla ciebie zostać wdową po zbrodniarzu.

— Wydzwignę cię z brudu. Twoje ręce broiły, ale dusza twa zawsze była przeciwna temu.

Przysięga, Miłość,
Przemiana, Złodziej

Zbrodniarz, Kobieta

— Świetnie ujęłaś to — rzekł z zachwytem. — Jak pięknie rozumiałaś mnie. Wi-
dzisz, kochana, człowiek popełnia nieraz przestępstwo z różnych przyczyn i okoliczności,
które czyhają na każdym kroku. Nieraz samo życie kwalifikuje przestępców.

Aniela, gdy mówił, głaskała go z uczuciem macierzyńskim. Zauważyła po chwili:

— Twój sposób myślenia nie cechuje przestępcy. Jestem ciekawa poznać koleje twego
życia, zanim upadłeś tak nisko...

Janek zamyślił się; grzebał w swej przeszłości.

— Gdyby ludzie mieli więcej zrozumienia dla nas, zbrodniarzy, zaręczam, że więzienia
byłyby puste. Moje pierwsze przestępstwo to był kwaśny ogórek.

Aniela roześmiała się i zawołała ze szczerością:

— Chyba żartujesz. Czy z takiego, co kradnie kwaśny ogórek, może wyrosnąć „Klawy
Janek”, jak cię ukoronowali tam, w waszym świątku, król włamywaczy?

— Tak, tak, kochana. Nieraz w życiu kradzież ogórka lub bochenka chleba dla zaspo-
kojenia głodu jest większą zbrodnią niż wojna światowa, gdzie ludzie mordują się nawza-
jem, nie znając się zupełnie. Byłem sierotą. Cierpiałem głód i nędzę. Za kwaśny ogórek
powędrowałem do więzienia na trzy miesiące. Tam nauczono mnie już kraść i jeszcze coś
lepszego.

Aniela, przygnębiona jego wyznaniem i sposobem rozumowania, objęła go za szyję
i czule ucałowała.

— Żal mi ciebie, kochany. Dużo się nacierpiałeś w życiu... Pragnę być dla ciebie
matką, żoną, kochanką, przyjaciółką i doradczynią. Tylko taka kobieta potrafi cię podnieść
z brudu. Od dziś rozpoczynasz nowe życie.

Janek machnął beznadziejnie ręką i odparł:

— Czy dadzą? Ach, gdyby tak nastąpić miała ta chwila, kiedy mógłbym powiedzieć
wobec świata i ludzi: byłem, ale więcej nie będę...

Aniela siedziała przykuta do miejsca. Po chwili namysłu rzekła:

— Wiesz, zastanawiałam się nieraz nad tym, czy dziecko od ojca takiego jak ty mo-
że mieć złe skłonności. Ciekawi mnie, czy w ogóle istnieje dziedziczność. Mój ojciec
twierdzi, że jedynie dlatego został przestępcą, że rodzice nimi byli.

— Brednie. Głupstwa. Stare zardzewiałe przesady — unosił się Janek. — Ty jesteś
córką Staśka „Lipy”, zawodowego złodzieja, a czy może być uczciwsza kobieta od ciebie,
droga Anielo?...

Aniela zapatrzona przed siebie, odparła:

— Gdybym była uczciwa, nie uciekłabym z domu, nie zakochałabym się w „Klawym
Janku”. Kto wie, czy ja nie mam złych skłonności?...

— Nie smuć się, kochana. Udowodnię ci, że coś podobnego nie istnieje.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy. A teraz już czas pożegnać się, kochany. Muszę iść.

— Nie puszczę cię — zawołał. — Już nasyciłaś się moją obecnością?

Pociągnął Anielę w stronę kozetki. Usiadł przy niej i oparł głowę na kolanach. Aniela
czuła, że lada chwila znów wybuchnie jego namiętność.

— Muszę cię wytresować, Janku. — Odsunęła się od niego. — Niech ci się zdaje,
że masz przed sobą przyjaciela, siostrę, a nie kobietę...

Janek zerwał się z miejsca i zaczął jak opętany biegać po pokoju, tam i z powrotem.
Jego twarz przybierała wyraz potęgującego się niepokoju, buntu zmysłowego. Oczy były
nalane krwią i rozwarły szeroko, jakby straciły zmysły.

— Nie kochasz mnie! — wołał w kółko. — Gdybyś mnie naprawdę kochała, byłoby
już dawno po wszystkim...

Aniela uczyniła krok w kierunku drzwi.

— Znowu ta zepsuta krew uderzyła cię, Janku. O ile myślisz, że miłość tylko na tym
polega, to biada jej...

— Co mnie tam będziesz morały prawić?... — Skoczył do Anieli i objął ją silnie
wpół. — Niech się dzieje, co chce... Dłużej nie wytrzymam!!!

Daremnie Aniela walczyła z całych sił. Janek usiłował prawą ręką przekreślić kontakt,
a lewą przyciskał ją do siebie. Rzucił się na niej niby wygłodniały tygrys, dusząc nie-
mal w ramionach. Palce jego szarpały nerwowo jej odzież. Wtem nagle rozległo się ostre
pukanie do drzwi. Janek przelęknięty odskoczył od Anieli.

— Kto tam?

— Policja!!! — padła odpowiedź jak grom z jasnego nieba.
Aniela zsunęła się na podłogę zemdlnona...

ROZDZIAŁ X

Praga, najruchliwsze przedmieście Warszawy, hodowała wówczas w swoim łonie nie mniej melin i podejrzanych typów, niż sama Warszawa.

Świat podziemny stolicy nie zadowalał się ulubionymi wtedy kącikami, jak Smocza, Wola, Marymont, Czerniakowska, Mokotów i Starówka. Mniejsze złodziejzki szukały schronienia wzdłuż niezamieszkałych brzegów Wisły. Tam było im najwygodniej obserwować „niespodzianki”. Czuwali zawsze i ostrzegali jeden drugiego przed obławą, którą od czasu do czasu przeprowadzała policja.

Wielkie piaszczyste obszary uważali oni za najwygodniejsze miejsce do zagrzebania łupu. Nie mniej tchnienia do hulanki i zabaw pod gołym niebem. Rżnięto w karty, ogrywając się w stosa nawzajem. Opróżnione butelki po alkoholu nieraz rozbijano na własnych głowach. Wisła była często świadkiem wyuzdanych orgii i *dintojrów*. Nie skąpiła też nigdy wody do obmycia ran zadanych nożami więcej dla wprawy niż potrzeby.

Nie brakło tam restauracyjek i podrzędnych melin, gdzie można było się schronić, gdy policja deptała po piętach.

Warszawa nie powstydzi się Paryża ze swoimi apaszami i kawiarenkami. Typy świata podziemnego Warszawy są bardziej interesujące od apaszy paryskich z ich specyficznymi strojami. W wielu wypadkach przewyższają ich nawet sprytem, odwagą i miłostkami romantycznymi.

Warszawa

Apasze wyróżniają się tym, że żyją z hańby żon, kochanek i przyjaciółek. Rycerskość ich polega na tym, że walczą ze sobą o byle spódniczkę, od której mają zagarnąć zyski. Świat podziemny Warszawy żyje wyłącznie z pracy właśnie ich dziesięciu palców. Gardzą każdym, kto ciągnie zyski z hańby swych ofiar: alfonsa uważają za wyrzutka społeczeństwa.

Seks, Handel

Olbrzymie miasto Warszawa, może być dumne ze swoich ludzi nocy. Mają swoją etykę, moralność i nigdy nie wychodzą poza ramy zawodu.

Na jednej z mniejszych ulic Pragi znajdowała się lepsza melina, która była zwiedzana wyłącznie przez „arystokrację”. Niemal wygodnie było tam wygrzewać się na słońcu w piękne dni lata. Przecudna panorama Wisły dodawała na[stroju]. Właścicielem tej „Oazy” był sam Bajgele, znany pod tym przezwiskiem na całym świecie złodziejskim. Był to swego rodzaju oryginał.

Wybiła godzina szósta. Na dźwięk zegara, obecni w melinie zerwali się z miejsca, jak na komendę.

— Widzicie? — zawołał ktoś, wskazując palcem na zegar ścienny.

— Tak, tak... — potrząsali głowami inni. — Co to ma znaczyć?

Właściciel meliny powstał z miejsca, przeciągnął się leniwie, po czym zwrócił się do jednego z gości:

— No i co, Antek? — zaśmiał się głośno — gdzie twój „Klawy Janek”?

— Niech was o to głowa nie boli! — odezwał się Antek. — Skoro Janek przyrzekł, że przyjdzie, dotrzyma słowa.

— Już szósta godzina — zauważył Felek — pewnie zajęty jest swoją...

Nie dokończył. Antek mu przerwał, podsuwając pięść pod sam nos.

— Czekaj i milcz! Jest tylko człowiekiem, musiało mu się coś przydarzyć..

Na słowo „wydarzyć” wszystkich przeszły dreszcze. Zrozumieli, co Antek ma na myśli.

Właściciel spelunki zapalił grube cygare i leniwie przemierzał pokój tam i z powrotem, mrucząc coś pod nosem.

— Nie mógł do mnie przyjść z tą walutą?!... Czyż bym mu źle zapłacił?!...

— Z jaką walutą? — zapytał Antek.

— No, z walutą hrabiny — odparł z uśmiechem.

— Już ci powiedziałem, co mu się przydarzyło podczas tej ucieczki. Nie ma ani grosza z tej roboty.

Gospodarz meliny utkwił w nim małe, chytre oczki, przypierając go do ściany grubym brzuchem.

— Widzę, że jesteś prawdziwym frajerem.

— Obrażasz mnie — uniósł się Antek.

— Jesteś jeszcze czymś więcej od frajera. Babce możesz odpowiadać takie bujdy, ale nie mnie, Klawy Janek zgubiłby taki majątek, ha — ha — ha!!

— Widzisz, mówiłem ci od razu — tryumfował Felek, a tyś się na mnie jeszcze zamierzał.

— Wara wam — krzyknął Antek. — Nikt z was nie zna tak „Klawego Janka”, jak ja. To co mówi jest prawdą.

— Osio! — zawołał gospodarz meliny, rozpierając się wygodnie w fotelu.

— A widzisz, że nie przyszedł — rozpoczął Felek na nowo. — Już nic nie rozumiem. Cała sprawa wydaje mi się tajemnicza. On uciekał niby ścigany przez policjanta. W końcu policjant nie żyje i żaden z nich nie posiada pieniędzy...

— Może uciekł wraz ze swą narzeczoną za granicę? — dodał Felek.

— Stul pysk, powiadam ci! — zawołał Antek gniewnie. — Nie tobie mówić, o jego narzeczonej. Jest zbyt czysta, byś ją plugawił językiem.

— Patrzcie, jak ich broni — zawołał właściciel knajpy. — Po coście przyszli do mnie? Kłócić się? Poszukajcie sobie innego miejsca. Nie chcę tego słyszeć.

— Czekamy na Klawego Janka — odparł Felek.

— Daremne wasze czekanie — zauważył gospodarz meliny. — Byłby większym frajerem od was, gdy by tu przyszedł... Kto zapłaci za potrawy i trunki, które przygotowałem dla was?

— Myślisz tylko o jednym — wtrącił się inny, który dotąd nie odezwał się ani słowem. — Ty stary lisie! Przy każdej okazji szukasz tylko zarobku. Nieszczęście naszego brata nie wzrusza cię wcale.

— Mnie wzrusza tylko to — odparł meliniarz, klapiąc się po brzuchu i pakując do ust dalszą porcję czekoladek. — Cały świat z jego mieszkańcami to dla mnie ja i mój brzuch — roześmiał się cynicznie na głos.

— I jaki będzie koniec? — odparł Antek. — Zdechniesz i robactwo będzie miało prawdziwą przyjemność z twego brzucha....

— No, Józek, idziesz z nami?

— Mogę iść — odparł zapytany, który w świecie podziemnym znany był pod przezwiskiem „Józek Zalewacz”. — Już mogę iść, ten stary lis i mnie dziś ocyganił.

— A kogóż ja nie ocyganie? — przekomarzał się gospodarz meliny. — Kiedy byłem młodszy, musiałem kraść dla paserów, teraz musicie kraść dla mnie.

Trójka „hultajska” skierowała się do wyjścia. Gospodarz, chcąc zatrzeć przykre wrażenie, jakie wywołał swoimi urąganiem, odezwał się:

— Żartowałem. Znaście mnie przecież nie od dziś. Wiem, że jesteście spryciarzami. Kiedy się znów zobaczymy?

— Na Pawiaku²⁹ — roześmiał się — Józek Zalewacz.

— Tę przyjemność pozostawiam wam. Zaczekajcie, czemu się śpieszycie? Przyszła mi świetna myśl do głowy.

Wszyscy trzej obejrżeli się na rozmówcę.

— Czemu mi się tak przyglądacie? Siadajcie. Mam wam coś ważnego do zakomunikowania.

— Mów prędzej — odezwał się Józek Zalewacz.

— Jak widzę, chcesz nas znowu nabrać.

— Nie, tym razem nie — odparł gospodarz: — Przeciwnie, stawiam wszystko, co przygotowałem na dintojrę z Klawym Jankiem i nie żądam zapłaty ani grosza.

— Koń by się uśmieł — roześmiał się Józek Zalewacz. — Trzeba to zapisać na kominie, że stary Bajgele postanowił dać jeść i pić bez pieniędzy. Przyznaj się szczerze, jaką aferą zalatuje twój pomysł.

Antek przerwał rozmowę.

— Każ się wypchać z twoimi potrawami. Nie mam głowy do jedzenia. A ty, Felek?

²⁹ Pawiak — więzienie męskie mieszczące się na ulicy Pawiej w Warszawie. [przypis edytorski]

— Nie ma mowy. Tyle pieniędzy! Gdybyśmy nawet żyli jeszcze z tysiąc lat, taka robótka, jak u hrabiny, nie nadarzyłaby się nam po raz drugi.

— Jeżeli chcesz, zostań! — zwrócili się obaj do Józka Zalewacza. — Musimy najprzód ustalić, co się stało z Klawym Jankiem. Sprawa nie jest gładka.

Bajgełe postawił dobrą butelkę koniaku z zagrychą, usiłując tym zdobyć Józka, który miał ochotę zostać. Antek i Felek stali już we drzwiach.

— Dokąd was diabli niosą? — zawołał Bajgełe. — Mówiliście wszak, żeście się umówili ze Staśkiem Lipą u mnie.

— Właśnie! Zapomnieliśmy! — zawołali obaj, spoglądając jeden na drugiego.

— Teraz jestem już w stu procentach pewny, że musiało się coś Klawemu Jankowi przydarzyć — zawołał Antek. — „Lipa” byłby punktualny. Wyłaził ze skóry z oburzenia, kiedy opowiedzieliśmy mu, że Klawy Janek uprowadził Anielę. Przysiągł, że dziś jeszcze położy go trupem.

— Radzę wam, byście pozostali u mnie. Niebawem zejdzie się nasza gromada i dowiemy się, co słyhać na mieście — rzekł Bajgełe.

— Ma rację — przyznał Józek Zalewacz — Zaczynam wierzyć, że coś zaszło. Po „robocie” u hrabiny niebezpiecznie jest nos wysunąć na ulicę. Co dzień urządza się obławy, jedną po drugiej. Kto wie, czym się to skończy.

— Najgorzej, gdy się przy pracy popełnia morderstwo — zauważył Bajgełe — a wszak zastrzelony został policjant, ich człowiek. Nie uspokoją się, aż nie pochwycą sprawcy. Znam ich dobrze. Ktoś padnie ofiarą, najpewniej człowiek niewinny.

— Któż to mógł naprawdę zamordować policjanta? — rzucił Józek Zalewacz.

— Bóg raczy wiedzieć — odparł Antek. — Co prawda Jankowi śwędzi ręka na widok męty, ale co się tyczy zabójstwa policjanta jestem pewien, że to nie jego robota.

— Zdejmijcie płaszcze i siadajcie. Mówiłem już, że mam wam coś ważnego do zakomunikowania. Skoro się coś stało, to przepadło, na to nie ma rady. Nic nie poradzicie.

Felek i Antek pozostali. Od owej historycznej nocy nie zaznali spokoju. Wydawało im się ciągle, że są tropieni przez wywiadowców. Tym chętniej pozostali u Bajgełe, by uniknąć przebywania na mieście.

Bajgełe napełnił kieliszki koniakiem i wznosząc toast, zawołał:

— Pijemy za zdrowie złodziei, którzy gniją w więzieniach.

Wszyscy wypróżnili kieliszki, rzucili je na ziemię i zdruzgotali obcasami.

Bajgełe ciągnął dalej:

— Nie sądzicie, że jestem takim leserem, że kocham tylko siebie. Chętnie pomagam naszym braciom w potrzebie.

— Wiemy, wiemy — poklepał go „Zalewacz” ramieniem. — Z powodu twego grosza nikt nie wyciągnie kopyt.

— Rozumiecie — ciągnął dalej Bajgełe, popijając z butelki — w interesie trzeba być twardym; trzeba zarobić. Ale pomoc naszemu człowiekowi jestem zawsze gotów.

— Taki rok na ciebie — roześmiał się Józek Zalewacz.

Bajgełe udał, że nie słyszy tej uwagi i ciągnął dalej:

— Teraz, przyjaciele, wyjawię wam moją propozycję:

Jeszcze tej nocy trzeba dokonać *szłomu*³⁰. Nawinęła się klawa robota...

— To nie nasza specjalność — zawołali wszyscy trzej prawie jednocześnie. — Szukaj sobie lepszych frajerów, głupszych od nas.

— Mówiłem wam — odezwał się Józek Zalewacz — że on nas zalewa. Bajgełe to kombinator nie lada. Nie mrugnie nawet okiem, by na tym nie zarobić. Od razu domyśliłem się, że chce przy butelce koniaku ubić interes.

— Nie ma nic gorszego, niż kręcić się beczynniami — odparł Bajgełe, nie zważając na słowa Józka. — Pozostańcie u mnie do północy, a potem wskażę wam adres roboty.

— Spal się z twoim pomysłem! — Zerwał się „Zalewacz” z miejsca.

— Nie chcę z tobą mieć nic wspólnego. Dziś po raz ostatni musiałem się uciec do ciebie, byś opylił moje papiery wartościowe, ale odtąd nie będziesz więcej moim paserem.

³⁰szłom (gw. środ.) — kradzież podczas snu. [przypis autorski]

— Namyślisz się — odparł Bajgele flegmatycznie. — Przecież komisariat policji nie opyli twoich towarów. Będziesz musiał przyjść do mnie. Jak się wam tedy spodobała moja propozycja? — zwrócił się do Felka i Antka.

— Bardzo dobra — odparł Antek — ale nie dla nas. „Pudło”³¹ to co innego. Co ta można znaleźć pod twoim adresem?

— O to właśnie chodzi — odparł Bajgele z tajemniczym uśmiechem.

— Mów szczerze, co to za robota — zainteresował się Józek.

— Mówię wam cudo, a nie robótka. Taki rok na wszystkich złodziei. Jest to robota, że nawet „dolator” nie będzie mógł zameldować o tym policji.

— Wiesz, co ci powiem, żeś mnie naprawdę zainteresował. No, mów prędzej! — wtrącił się Józek.

Bajgele mrugnął chytrze okiem. Przynal się bliżej kompanów i rzekł niemal szepcąc:

— Sprzedałem wczoraj pewnemu spekulantowi zagraniczne papiery wartościowe na sumę dziesięciu tysięcy dolarów. Byłem u niego w domu i wiem, gdzie przechowuje pakiet obligacji. Można to łatwo „zrobić”. Płacę za to dwa tysiące dolarów gotówką — zakończył triumfującym tonem.

Wszyscy trzej zamienili się spojrzeniami.

— Niezła robótka — zawołał Józek Zalewacz zachwycony — ...ale nie dla mnie. Kraść dla ciebie nie mam zamiaru.

— Kto cię o to prosi — odciął się Bajgele pogardliwie. — Potrafisz tylko zalewać, ale nie kraść. Propozycję uczyniłem Antkowi i Felkowi, a nie tobie.

Józek, urażony w swej ambicji, zawołał:

— Jeśli chodzi o zalewacza, jesteś większym ode mnie. Ale daremna twoja fatyga. Felek i Antek też nie dadzą się nabrać.

Antek i Felek pogrążeni byli w myślach. Obaj byli goli. Chętnie by przyjęli propozycję Bajgele, gdyby Józek Zalewacz nie był przy tym obecny. Zнали go dobrze, że więcej gada niż robi i dlatego też ochrzczono go mianem „Zalewacza”, aczkolwiek kapusiem (donosicielem) nigdy nie był.

Felek uszczypnął nieznacznie Bajgele w nogę, na znak, że interes jest zrobiony.

Bajgele, zadowolony, postawił butelkę dobrego wina.

— Teraz wypijemy za zdrowie *nygusów*, którzy dają się okradać...

Wszyscy parsknęli śmiechem. Podniecenie ogarnęło obecnych. Antek, zadowolony, że czeka go niezły zarobek, jadł i pił, pragnąc zapomnieć o Klawym Janku. Tylko Felek siedział smutny. Nie cieszyło go to, że jako współnik Antka weźmie udział w wyprawie.

Zegar wybił godzinę ósmą. Józek Zalewacz pożegnał wszystkich i wyniósł się, Felek i Antek, znużeni wydarzeniami ostatnich dni, zamierzali wejść do sąsiedniego pokoju i położyć się, by odpocząć nieco przed robotą.

Bajgele nie wypuszczał ich z domu, zapewniając, że u niego będą się czuli najbezpieczniej.

Nagle rozwarły się drzwi i do izby wpadł Stasiak Lipa. Błady jak ściana, osunął się na krzesło...

Felek i Antek podbiegli doń.

— Mów, co się stało?...

Stasiak Lipa rozejrzał się błędnym wzrokiem dokoła, jak gdyby lękał się kogoś. Po chwili wybuchnął spazmatycznym szlochem.

— Dziecko moje!... Aniela!... Aniela!... — wołał rozpaczliwie, tłukąc głową o ścianę.

Izbę zaległa śmiertelna cisza. Nikt nie ważył się odezwać słowem. Wszyscy czekali z zapartym tchem, aż się „Lipa” nieco uspokoi.

— Powiedz nam wreszcie, co się stało? — odezwał się Antek błagalnym głosem.

Stasiak Lipa zerwał się nagle z miejsca i zawołał:

— Precz ode mnie! Zastrzelę was wszystkich, jak psy!...

W ręku jego błysnęła stal rewolweru. W mgnieniu oka Felek i Antek rzucili się nań, trzymając go z całych sił.

³¹ *pudło* (gw. środ.) — kasa ogniotrwała. [przypis autorski]

„Lipa” miotał się w ataku furii, aż piana wystąpiła mu na ustach. W końcu szła minął i starzec zaczął spazmować.

Gdy odzyskał jako tako przytomność umysłu, przebywał już w łóżku obłożony zimnymi kompresami. Felek i Antek czuwali przy nim z opuszczonymi głowami, pogrążeni w zadumie. Cały świat podziemny Warszawy był już powiadomiony o nieszczęściu, jakie spotkało „Lipę”. Nygus z papierami wartościowymi szczęśliwie nie został okradziony...

ROZDZIAŁ XI

Znów upłynęło kilka dni.

Komisarz Żarski pochłonięty nawałem pracy zapomniał już niemal o pięknookiej Anieli.

Wołkow, który chciał zasłużyć się na awans, nie próżnował. Codziennie donosił telefonicznie o różnych przezeń dokonanych odkryciach. Ale komisarz nie polegał całkowicie na Wołkowie i prowadził dochodzenie na własną rękę.

Po proszonym obiedzie u hrabiny, Żarski nie przestawał myśleć o niej. Nie dawał mu spokoju fakt, że przez cały czas jego pobytu w pałacu hrabina wciąż go nagabywała, by się zbytnio nie przejmował dokonaną u niej kradzieżą.

— Jestem dość bogata — stale powtarzała — I tak się nie wykryje zлочыныцы. A gdyby go nawet ujęto, pieniędzy na pewno nie zwróci.

Nie podobało się też komisarzowi Żarskiemu, że na pożegnanie hrabina, która warła nań niezwykle wrażenie, usiłowała wręczyć mu na pamiątkę pierścień brylantowy, przyjęcia którego oczywiście odmówił. Wcale nie wyglądała na leciwą panią, jaką mu wydawała się, gdy przybyła do jego gabinetu w urzędzie. Wyglądała teraz młodo, pięknie, powabnie. Zrodziło się w nim w czasie tej wizyty podejrzenie, że córeczka, którą mu przedstawiła, nie jest jej dzieckiem.

Nie mógł pojąć kaprysu hrabiny, czemu nie chce, by wykrył włamywacza. Jednym słowem, służba — wszystko razem wyglądało w jego oczach niezwykle podejrzanie...

Jeszcze więcej nieufności wzbudzał w nim Wołkow. Zupełnie przypadkowo spotkał go następnego dnia po wizycie u hrabiny w wytwornej restauracji ubranego po cywilnemu, w towarzystwie eleganckiej brunetki. Wołkow był zmieniony nie do poznania.

Komisarz Żarski zajął stolik w przeciwległym rogu sali i zasłaniając sobie twarz gazetą, nie spuszczał oka z rozbawionej pary, która siedziała odwrócona doń plecami.

Z zastawionego butelkami i kieliszkami stolika komisarz wynioskował, że zabawa trwa już dość długo. Zauważył też, że parka rozmawia na wpeł szeptem i że temat musi być ściśle konspiracyjny.

Kelner krzątał się zadowolony dokoła ich stolika, gotowy na rozkazy. W pewnej chwili brunetka odwróciła się w ten sposób, że komisarz Żarski mógł dojrzeć jej twarz...

Komisarz nie uwierzył własnym oczom. Znał dobrze tę twarz z albumu policyjnego. Towarzyszka Wołkowa była jedną z najgroźniejszych aferzystek w Europie.

Zadowolony ze swego odkrycia, komisarz Żarski niepostrzeżony opuścił lokal. Przez kilka godzin błąkał się ulicami Warszawy, pogrążony w myślach, rozważając wszystko, co zaszło, powoli, ostrożnie.

Zapadał wieczór, gdy zmęczony wrócił do Urzędu Śledczego. Zasiadł do biurka, by na zimno rozważyć plany, które sobie ułożył na długim spacerze. Miał jednak tylko chwilę spokoju, gdyż wnet zabrzączał telefon.

— Hallo! — rzekł komisarz zniecierpliwiony.

— Tu Wołkow — padła odpowiedź. — W jednym z najelegantszych hoteli (tu wymienił nazwę hotelu) portier, który należy do „naszych”, poinformował mnie, że przed chwilą ulokowała się w numerze pewna podejrzana młoda para...

— Głupstwa!... — przerwał komisarz. — Hotel jest dla gości, dla młodych par i dla starych. Co pan chciał przez to powiedzieć?

— Chciałem zameldować, panie komisarzu, że dokonałem niezwykłego odkrycia.

— Jakiego odkrycia? — zapytał komisarz zaintrygowany.

— Tą młoda parą, okazali się Kławy Janek z kochanką! — wyrzucił Wołkow jednym tchem.

— Co?!... Kławy Janek! — zawołał komisarz.

— Tak! Widziałem go na własne oczy!

— Niech się pan jeszcze raz przekona — wołał komisarz do słuchawki. — To na pewno pomyłka. Klawy Janek uciekł z Polski. Do hotelu tego zajeżdżają przeważnie cudzoziemcy. Żeby tylko nie zaszła brzydka pomyłka.

— Jestem przekonany, że to on — obstawał Wołkow przy swoim.

— Więc aresztować! Natychmiast aresztować! — gorączkował się komisarz. — Uwaga! pan tylko, by ptaszki nie wyfrunęły panu z klatki! Może przysłać panu pomoc?

— W ciągu dwudziestu minut sprowadzę ich do aresztu! — odparł Wołkow triumfującym tonem. — Jesteśmy tu we trzech. Kajdanki mam przy sobie.

— Bądź pan tylko ostrożny — pouczał go komisarz. — Pamiętaj pan, z kim ma do czynienia. Ostrożnie i rozważnie. Na zimno. Ale i czym prędzej!... Czekam!...

Upłynęło dwadzieścia minut i nie widać było „zdobyczy”. Komisarz kroczył zdenerwowany po gabinecie, raz po raz spoglądając na zegar. Zarzucał sobie, że zbyt zaufał Wołkowowi i nie posłał mu natychmiast pomocy. Z jednej strony komisarz Żarski był zadowolony, że Klawy Janek wpadł w ręce policji, nie wątpił bowiem, że kradzież u hrabiny to dzieło jego rąk. Ale z drugiej strony nie mógł użyzyć Wołkowowi, dla którego nie żywił zbyt wielkiej sympatii, tak wielkiego sukcesu.

— Jeżeli to prawda, że „Klawy” wpadł w jego ręce — kontynuował komisarz rozważania — urząd śledczy będzie miał trudny orzech do zgryzienia. Kto wie, czy wszystkie niewykryte ostatnio zbrodnie nie mają związku z legendarną postacią Klawego Janka.

Minęła przeszło godzina od czasu rozmowy z Wołkowem. Komisarz wylaźił ze skóry. Chciał już zadzwonić na auto, by samemu udać się na miejsce i sprawdzić, co zaszło, gdy naraz zapukano do drzwi. Wołkow zjawił się nareszcie...

— Gdzież oni?! — zawołał komisarz, świdrując Wołkova ostrym wzrokiem. Wyczuł, że „coś zaszło”...

— Zwiął, panie komisarzu!

— Co???

Wołkow zbladł jak chusta. Nogi ugięły się pod nim ze strachu.

— Czyś pan oniemiał? — unosił się komisarz Żarski.

— Jestem niewinny — wybelkotał Wołkow.

— Mniejsza z tym, kto jest winien! Już ja pana nauczę...

— Panie komisarzu — opanował się Wołkow. — Zarządziłem wszystko jak najlepiej. Obstawiałem jednego z nas przy wyjściu, drugiego pod oknem, a sam zapukałem do drzwi numeru.

— Mów pan, w jaki sposób „Klawy” uciekł? — Biegł komisarz wściekły po pokoju.

— Zapukałem — cedeł Wołkow słowa — ale nikt nie odpowiedział. Zacząłem się dobijać z całych sił: nadaremnie. Wreszcie zapasowym kluczem portier otworzył drzwi... Na podłodze leżała nieprzytomna dziewczyna, a „Klawego” nie było...

— Nie rozumiem.

— Pokój miał jeszcze jedne drzwi, które prowadziły do sąsiedniego numeru, znajdującego się na samym końcu korytarza. Okno tego pokoju wychodzi na inną stronę niż to, pod którym postawiłem policjanta,

— Czemu pan zawczasu nie pomyślał o tym? Proponowałem panu pomoc! — Tupął komisarz nogami.

— Moja wina, panie komisarzu. Ale głowę daję, że żywego czy martwego będę go miał jeszcze w swych rękach.

— Po co mi pańska głowa?... Takiego gagatka wypuścić z ręki!... Podobna okazja nieprędko nadarzy nam się po raz drugi. Jeszcze dziś „Klawy” może zwiać zagranicę. Czemuś pan natychmiast nie zarządził pościgu za nim?

— Zorientowałem się natychmiast, którędy uciekł. Przeszukaliśmy z miejsca całą okolicę, ale wszelki ślad po nim zaginął.

— I co teraz będzie? — rozłożył komisarz bezradnie ręce.

— Panie komisarzu! — zawołał Wołkow błagalnym głosem. — Zapewniam pana, że go odnajdę. Mam nawet dowody, że kradzież u hrabiny to jego sprawka oraz że on zamordował policjanta.

— Gdzie ma pan dowody? — zapytał komisarz zdumiony.

— Trudno mi na razie ustalić dokładnie, ale jestem przekonany, że uda mi się to wszystko udowodnić jak na dłoni.

— Jest pan nazbyt pewny siebie, panie Wołkow.

— Panie komisarzu! Żeby miał bodaj życiem przyplącić, muszę Klawego Janka odnaleźć. Aresztowałem jego narzeczoną, a od niej dowiemy się wszystkiego. Będzie śpiewała!...

— Gdzież ona jest? Wprowadź ją pan natychmiast...

— Rozkaz, panie komisarzu! Wprowadzę ją za chwilę.

„Kto wie — pomyślał komisarz, zastanawiając się nad Wołkowem, którego tegoż dnia spotkał w eleganckiej restauracji w towarzystwie międzynarodowej aferzystki — kto wie, czy Wołkow świadomie nie nawiązał z nią kontaktu, by od niej wydobyć potrzebne informacje. Niesłusznie go posądzałem... Spryciarz z tego Wołkova!...”

Komisarz nacisnął guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się i przed obliczem komisarza stanęła — Aniela...

Żarski nie wierzył własnym oczom. Spoglądała nań dumnie, bez obawy — a wdzięczny, niewinny uśmiech zakwitł na jej twarzy.

— Pani znów tu?! — zawołał komisarz jednocześnie zdumiony i zadowolony.

Aniela nie odpowiedziała. Na miejsce poprzedniego uśmiechu na twarzy jej ukazał się grymas wstydu i bólu. Zrozpaczona rozglądała się dokoła swymi pięknymi oczyma, jak gdyby szukała pomocy.

Komisarz Żarski nie mógł od niej oczu oderwać. Wydawała mu się piękniejsza niż za pierwszym razem. Teraz uroda jej tak go olśniła, że stał jak osłupiały na miejscu.

Wołkow cichutko opuścił gabinet.

Komisarz wskazał Anieli krzesło. Opanował się i usiłował jakby uwolnić się od pewnych myśli.

— Skąd pani się tu wzięła? — zapytał komisarz Żarski tym razem już tonem urzędowym.

Aniela uniosła głowę i odparła:

— Zapytaj pan swoich pomocników.

— Pragnę to usłyszeć z ust pani. Nie straciłem do pani zaufania, mimo iż nie spodziewałem się ujrzeć tu pani po raz drugi.

— Kto żąda od pana zaufania?... — zauważyła Aniela wyniośle.

— Jeżeli pani będzie odpowiadała nadal takim tonem, zmuszony będę przekazać prowadzenie śledztwa komu innemu.

— Dla mnie jest to obojętne.

— O nie, łaskawa pani...

Spojrzenia ich skrzyżowały się, jakby zmagaly się ze sobą. I Aniela zwyciężyła, Żarski opuścił wzrok.

Naraz komisarz zerwał się ze swego fotela, że Aniela aż drgnęła, i zawołał.

— Skąd pani do Klawego Janka? Nie chcę uwierzyć i nie mogę... pogodzić się z tym, by pani mogła mieć coś wspólnego z tym wyrzutkiem.

— To wy jesteście wyrzutkami! — Poniosło Anielę z miejsca. — Czego chcecie od niego? — Wybuchnęła płaczem.

Tęgo się komisarz nie spodziewał, ściągnął surowo brwi i zagryzł aż dolną wargę ze złości.

— Moja panno! Widzę, że pani jest zbyt zdenerwowana i nie liczy się ze słowami. Daję pani dziesięć minut czasu na uspokojenie się.

Aniela popłakiwała cicho, przesłaniając twarz futrzanym kołnierzem.

Komisarzowi było przykro, że się z nią obszedł nie dość delikatnie. Płacz Anieli ranił jego serce, chociaż nie rozumiał, dlaczego tak było. W ciągu wielu lat służby nieraz już słyszał płacz i lamentowanie aresztowanych, ale bynajmniej nie wzruszał się tym tak jak teraz.

— Niech się pani uspokoi! — odezwał się komisarz Żarski ze współczuciem. — Nie chcę pani skrzywdzić.

Aniela znów go przejęła spojrzeniem. Dreszcz przeszedł jego ciało. „Takie same oczy, jak u hrabiny” — przebiegła mu myśl.

Dręczyła go świadomość, że ta piękna dziewczyna należy do najniebezpieczniejszego zbrodniarza w Polsce. Ta, która stała teraz przed nim złamana i wyglądała jak uosobienie niewinności — była tylko pierwszą lepszą ulicznicą, którą zatrzymano w pokoju hotelowym przy boku „Klawego Janka”...

Czuł, że los chce mu spłatać figła i podsunął mu tę kobietę. W głębi duszy dawno już pieścił jej obraz; od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał. Walczył z tym uczuciem — lękał się go, wstyd mu było przed sobą.

„To niemożliwe, bym zdobył jej serce, gdy już pokochała zbrodniarza. Dwa kontrasty, które nigdy się nie zejdą. A może sama się ofiaruje? Może zechce coś wskórać dla swego ukochanego? O, nie! — odpowiedział sobie. — U mnie to nie przejdzie...”

Spojrzenia ich spotkały się znowu, jak gdyby pochwyliła jego myśli. „Namyślisz się — drażnił go jakiś ukryty głos: — to grzech zrezygnować z takiej kobiety...”

Komisarz stał przez pewien czas oparty o parapet okna i wbrew swej woli obserwował jej smukłą postać i piękną budowę.

Stał niezdeterminowany. Wreszcie podszedł do drzwi i znów wezwał Wołkova.

— Weź pan do pomocy sześciu policjantów — rozkazał komisarz Żarski, — i nie spocznijsz pan w poszukiwaniach, aż nie zdobędziesz czegoś konkretnego o „Klawym Janku”. Musi pan naprawić popełniony błąd. To pański obowiązek!

— Rozkaz, panie komisarzu. Mam tylko jedną prośbę.

— Słucham.

— Chciałbym się rozmówić z tą panią. Wówczas wiedziałbym, co mam począć...

Aniela spojrzała na komisarza błagalnym wzrokiem, by nie oddawał jej w ręce Wołkova.

— Nie pańska rzecz. Już ja się z nią rozmówię. Marsz.

Wołkowowi krew uderzyła do głowy, lecz opanował się.

— Rozkaz, panie komisarzu! — I cicho opuścił gabinet.

Komisarz Żarski zbliżył się do Anieli, która odruchowo uczyniła krok w tył.

— Czy teraz możemy ze sobą pomówić? — zapytał.

— Nie. Nie. Ode mnie nie dowiedziecie się niczego!

— Powoli, moja panno. Nie tak pewnie. Gdy tylko zechcę, wyśpiewa pani wszystko jak kanarek.

Aniela znów milczała. Wyczuła swym instynktem kobiecym, że mówi nie to, co myśli. Pragnęła, by ją czym prędzej kazał odprowadzić do aresztu. Jego oczy nazbyt dobitnie wyrażały, do czego zmierza.

— Pani milczy?... A więc ja zacznę mówić. Proszę mi powiedzieć, co panią łączy z „Klawym Jankiem”?

— To moja rzecz.

— Oczywiście, byłoby nam przyjemniej, gdybyśmy tu mieli jego zamiast pani.

— Nie wiem nic o nim i nie mogę powiedzieć.

— Nie mogę w to uwierzyć, aczkolwiek oczy pani mówią, że pani nie kłamie. Jak można być z kimś tak blisko i nic nie wiedzieć o jego przeszłości? Co pani robiła z nim w hotelu?

Aniela nie odpowiadała.

— Rozumiem — ciągnął dalej komisarz Żarski. — Trzeba przecież żyć. A „Klawy” musiał być hojnym gościem dla tak pięknych kobiet, jak pani...

Aniela dumnie podniosła głowę. W jej oczach zablysły groźne płomyki i jednym tchem wyrzuciła.

— Czemu wy, mężczyźni, jesteście tak ordynarni, że w każdej kobiecie widzicie zaraz ulicznicę. Czy dlatego, że byłam z „Klawym Jankiem” w hotelu, muszę już być koniecznie prostytutką?... Dla was jest Janek niebezpiecznym zbrodniarzem, dla mnie może on być zupełnie czymś innym.

— Może nawet bratem.

Chciała już przytaknąć głową. Nie mogła jednak zmusić siebie do kłamstwa.

— Nie!

— Prosiłbym o bliższe szczegóły co do pani osoby — przybrał znów komisarz ton urzędowy, co całkowicie kolidowało z namiętym spojrzeniem jego oczu, jakim obejmował Anielę.

— Czego pan chce ode mnie? — zawołała Anieli smutnie. — Co to was obchodzi, kim jestem? Niech pan czyni ze mną, co mu nakazuje obowiązek.

— Niech się pani nie denerwuje. To szkodzi piękności — rzekł komisarz, starając się dać jej do poznania, że mu się podoba.

Anieli przeszła go wzrokiem, jak gdyby chciała się przekonać, czy mówi poważnie.

Komisarz pochwycił jej spojrzenie i triumfujący uśmiezek zakwitł na jego twarzy...

Uroda, Kobieta, Mężczyzna,
Urzędnik

Przysunął się bliżej do niej i korzystając z półmroku, jaki panował w pokoju, oparł swą rękę na jej dłoni, która bezwładnie spoczywała na poręczy krzesła. Anieli chciała cofnąć rękę, ale komisarz uściśnął ją mocno.

W pierwszej chwili Anieli nie dopatrzyła się w tym nic złego; przypuszczała, że komisarz się źle czuje i dlatego tak zwiesił głowę. Naraz poczuła na swej szyi gorący pocałunek.

Niby rażona prądem zerwała się z miejsca. Również komisarz stanął na równe nogi i opanowany szalem namiętności porwał piękną dziewczynę w swe mocarne ramiona.

Anieli odwróciła głowę, zasłaniając usta przed pocałunkiem. Jego gorący oddech palił jej twarz.

— Proszę mnie puścić! Będę krzyczała!

Ale komisarz Żarski stracił już panowanie nad sobą. Zapomniał, kim jest i gdzie się znajduje, że każdej chwili może ktoś zapukać do drzwi...

— Kocham cię!.. Kocham od pierwszego wejrzenia! — szeptał w rozmarzeniu.

Anieli walczyła, jak mogła. Wpiła się pazurkami w jego szyję, zdzierając zeń skórę... A on jeszcze silniej tulił ją do siebie. Dygotała cała z oburzenia, ale w żaden sposób nie mogła się uwolnić z uścisku.

— Uwolnię cię... Dam spokój twemu kochankowi, tylko zostań moją... — szeptał w zapamiętaniu.

Pokrywał jej włosy pocałunkami i pożądliwie szukał jej ust, wykrzywionych strachem i odrazą.

Była tak przerażona i oszołomiona, tak bezradnie zawisała w jego ramionach, że zdało się, iż zrezygnowała z dalszej walki i oporu.

Ale Anieli broniła się resztkami sił, w końcu widząc, że nie podoła przemocy, zdobyła się na okrzyk:

— Ratunku!!...

Komisarz Żarski oprzytomniał.

Jednocześnie za drzwiami dały się słyszeć kroki. Rozległo się pukanie do drzwi i na progu stanął stary policjant.

— Pani zemdlą podczas przesłuchania. Szybko wody! — rozkazał komisarz.

W gabinecie panowała martwa cisza.

Komisarz nie śmiał podnieść oczu na Anielę, która siedziała na kozetce i cicho popłakiwała. Dręczyły go wyrzuty sumienia.

„Ja... — wyrzucił sobie Żarski — ja, który uważałem siebie za wzór policjanta, człowieka, który nigdy nie przekroczy granic obowiązku byłem zdolny do czegoś podobnego!... Jak to człowiek nie zna siebie samego! Przed godziną jeszcze nie wierzyłem za nic, że mógłbym...”

Ścierały się w nim najsprzeczniesze uczucia. To chciał jej się rzucić do nóg i błagać o przebaczenie za brutalne zachowanie się, to znów rozpierał go bunt: „Kochanka złodziejka będzie mi tu sceny urządzała! To dopiero wyrafinowana kokota!”

Jej postawa na widok starego policjanta dała mu wiele do myślenia.

„Kim jest ta dziewczyna?! Inna na jej miejscu na widok świadka dopiero by urządziła skandal i kariera moja byłaby złamana. Ślady jej paznokci na mojej skórze i wydarte z głowy włosy w jej rękach byłyby wystarczającym dowodem winy. Jak wytłumaczyć jej taktowne zachowanie?... Wszak jest kochanką »Klawego Janka«.

Gwałt

Zwolnię ją — postanowił komisarz Żarski — by się bodaj częściowo zrehabilitować w jej oczach. Ale jak to zrobić?! Wołkow jest za starym wygą, by się nie zorientował, że nie wolno mi było jej wypuszczać z rąk...”

Zegar wybił godzinę dziewiątą. To mu przypomniało, że musi się na coś zdecydować.

— Bardzo panią przepraszam — odezwał się Żarski, nie spoglądając w stronę Anieli — zapomniałem się... Proszę wybaczyć staremu kawalerowi, któremu po raz pierwszy w życiu spodobała się dziewczyna.

Widząc, że nie odpowiada, dodał, już zły na siebie:

— Do licha! Cóż jestem winien, że na widok pani czarujących oczu postradałem zmysły? Pod wpływem pani uwodzicielskich oczu dopuściłbym się najpotworniejszej zbrodni. I pod mundurem policyjnym bije czułe serce, które pragnie kochać.

— Panie komisarzu, jak długo będzie mnie pan tu dręczył?

— Proszę mnie wierzyć, najmniej chcę panią dręczyć. Działalem poprzednio pod wpływem niezwyklej siły, której nie byłem w stanie się oprzeć. Daję pani słowo honoru, że odtąd będzie pani miała we mnie najszerszego przyjaciela, jeżeli mnie pani tylko wyzna prawdę o sobie.

Żarski mówił tak prosto i szczerze, że Aniela nie wątpiła w prawdziwość jego słów. Młoda dziewczyna zbliżyła się do komisarza i rzekła:

— Dziś proszę mnie zostawić w spokoju. Jestem tak wyczerpana, że nie mam sił skupić myśli. Jutro odpowiem panu na wszystko, co pana interesuje. Proszę mnie kazać odprowadzić do aresztu.

— Szkoda. Wielka szkoda, że poznałem panią w podobnych okolicznościach. Ale pani nie pożałuje naszej znajomości. Postaram się wynagrodzić wyrządzoną pani krzywdę. Proszę źle nie sądzić o mnie.

— A pan o mnie — dodała Aniela cicho.

— Kim jesteś, piękna dziewczyno?! — zawołał komisarz zachwycony. — Po raz pierwszy w mej praktyce mam do czynienia z podobną kobietą!... Skąd pani do Janka?... Muszę się dowiedzieć!...

— Jak na dziś wystarczy, panie komisarzu!

— Żal mi zamykać panią w areszcie na noc. Pani piękne ciało nie zniesie ataku pcheł i innych insektów, których nie brak w każdym areszcie.

— Sądzę, że ataki waszych pcheł są niczym wobec innych ataków...

Komisarz zawstydzony opuścił wzrok i odparł:

— Tak, tak, moje dziecko. Ludzie są nieraz gorsi od zwierząt, od najohydniejszego robactwa na świecie.

— Przekonałam się, niestety, o tym w ciągu ostatnich dni — potwierdziła Aniela.

Przez chwilę milczeli oboje.

— Proszę mi wierzyć, że chętnie bym panią zwolnił. Jestem przekonany, że nic nam ze strony pani nie grozi. Gdyby nie Wołkow, który dopatruje się w pani niebezpiecznej zbrodniarki...

— Niech pan czyni, jak mu nakazuje obowiązek — rzekła Aniela spokojnie.

— Mój obowiązek... — uśmiechnął się komisarz. — Nie mogę go spełnić, gdy mam do czynienia z tak piękną kobietą, jak pani.

— To bardzo źle — odparła Aniela z tym samym uśmieszkiem.

Komisarz zastanowił się przez chwilę, po czym zadowolony z nowego pomysłu, jaki zaświtał mu w głowie, rzekł:

— Mam do pani stuprocentowe zaufanie. Sam nie wiem czemu. Za pierwszym razem zwolniłem panią; teraz mam ochotę uczynić to samo, ale pod jednym warunkiem.

Aniela spojrzała nań podejrliwym wzrokiem.

— Nie, nie o to chodzi — usprawiedliwił się komisarz. — Moim warunkiem jest, że stawi się pani u mnie jutro o dziewiątej rano. Teraz jest pani wolna...

Aniela stała przez chwilę niezdecydowana. Nie była pewna, czy komisarz mówi to szczerze. Uśmiechnęła się uszczęśliwiona, że będzie mogła odszukać Klawego Janka.

W kilka minut później opuściła Urząd Śledczy.

ROZDZIAŁ XII

„Klawemu” udało się co prawda uniknąć aresztowania i szubienicy, ale czuł się jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż przedtem.

Dręczyły go wyrzuty sumienia, że tak nieludzko postąpił z Anielą — oddał ją w takich okolicznościach w ręce policji.

Przebrany w elegancki garnitur i kosztowne futro, wyglądał nie do poznania. Czarne wąsiki, które sobie przypiął, i duże amerykańskie okulary upodabniały go raczej do zagranicznego agenta handlowego niż do herszta podziemi.

Opierając się na srebrnej rękojeści wytwornej laseczki, przechadzał się wolnym krokiem przed gmachem teatru „Nowości” na Bielańskiej.

Różne myśli i plany przesuwały się przez jego zmęczony mózg. Wiedział, że Anieli znajduje się obecnie na Daniłowiczowskiej i kto wie, czy nie wzięto jej w „krzyżowy ogień” pytań i nie dręczą z jego winy.

Zdobył się na ucieczkę z hotelu pod wpływem pierwszego odruchu. Gdyby się przez chwilę zastanowił, nigdy by nie ratował siebie, pozostawiając ją w rękach policji.

Układał w myśli coraz to inne plany, jak ratować Anielę. W pewnej chwili był nawet zdecydowany udać się do Urzędu Śledczego i wyznać:

— Jestem „Klawym Jankiem”, którego poszukujecie. To ja dokonałem włamania u hrabiny; ja zamordowałem policjanta; ja jestem sprawcą wszystkich zbrodni. Ona jest niewinna! Jestem gotów. Prowadźcie mnie czym prędzej na szubienicę. Niech się to już raz skończy!...

Opanował jednak ten rozpaczliwy odruch. Zrozumiał, że pomysł oddania się w ręce policji dla uwolnienia Anieli — jest niedorzecznością.

— A co uczynię, jeśli jej nie zwolnię?... Nie, ten pomysł nie prowadzi do celu. Trzeba coś innego postanowić, by w jakiś sposób ją ratować.

Najlepiej byłoby — wypadła mu nowa myśl do głowy — dowiedzieć się, kiedy i którą ręką odprowadzą Anielę do więzienia kobiecego, by przy pomocy kilku zuchów odbić ją konwojentom.

Ale i ten pomysł odrzucił wnet jako niewłaściwy. Przy takim starciu mogłoby dojść do wzajemnego obstrzału. A kto zaręczy, że jedna z kul nie ugodzi Anieli?

Z palcem na cynglu rewolweru, ukrytego w kieszeni futra, kroczył Klawy Janek pewnym krokiem Placem Teatralnym, nie zważając na policjanta, który stał na rogu ulicy i rozglądał się na wszystkie strony.

W godzinach wieczornych Plac Teatralny roi się od ludzi. Elegancko ubrane panie i wytworni panowie zdążają do teatrów miejskich.

Klawy Janek swobodnie poruszał się w tłumie, obserwując mijające go kobiety.

Różne typy kobiet przesuwały się przed jego oczami. Wszystkie młode (warszawianki się nie starzeją...); uszminowane, powabne, kuszące, obnoszące swe wdzięki na pokaz, mężczyznom na zatracenie...

Gdy się widzi taką kobietę, wydaje się, że można by oglądać tysiące jej podobnych, a oko nie nasyciłoby się ich widokiem. Lecz gdy się zdobędzie jedną, odpada chęć do pozostałych... Wszystkie te kobiety są podobne do siebie, jak gdyby jedna matka je wydała na świat. Wszystkie mają na sobie te same szminki, pachną tymi samymi perfumami, wyprodukowanymi w tych samych laboratoriach kosmetycznych...

Również ich smukłe, wiotkie kibicie są produktem żmudnej pracy gorseciarek, krawców, modystek...

Wszystkie te kobiety są modelowane na jeden wzór. Mają ten sam program życiowy. A najważniejszą dźwignią w ich życiu jest pieniądz...

Zapada noc, gdy stolica otwiera podwoje lokali rozrywkowych i kabaretów, gdzie aż do utraty przytomności można zabawić się przy szampanie i likierze w towarzystwie na wpół obnażonych kobiet...

W godzinach tych, w pięknie urządzonych salonach rozpoczyna się dzień dla tych, którzy mają specjalne wymagania.... Pod względem życia nocnego Warszawa nie ustępuje innym wielkim stolicom świata, gdzie pieniądz i zbrodnia idą w parze. Kto może korzysta z uciech i radości życia. Wyżywa się erotycznie bez cierpień, bez miłości doznaje rozkoszy rodzinnych bez kłopotów rodzinnych.

Kobieta, Uroda, Pieniądz

Noc, Miasto

W godzinach tych w różnych potajemnych melinach rycerze nocy szykują się do ataku na tzw. wyższe sfery. Z chwilą gdy Warszawa zaczyna się bawić i muzyka rozbrzmiewa w setkach lokali, „rycerze nocy” wylazą ze swych nor, by pod osłoną nocy realizować swe dzieło.

Klawy Janek kroczył po Placu Teatralnym tam i z powrotem.

Widział, jak przed gmachem Teatru Wielkiego zatrzymywały się jedna po drugiej eleganckie limuzyny, i bunt rodził się w jego sercu:

„Czemu świat jest tak zbudowany, że jeden czerpie z życia pełnymi haustami, a drugi musi kraść, by się utrzymać na powierzchni?!... Aby korzystać z uciech życiowych, trzeba mieć pieniądze, dużo pieniędzy. A więc, człowieku, rób, pracuj, handluj, produkuj, oszukuj, kradnij, rabuj nawet, ale miej pieniądze, by górować nad innymi. Dla wszystkich, którzy mają pieniądze, życie jest piękne, uroczne. Żywot ludzi bogatych usiany jest kwiatami i uśmiechami pięknych kobiet. Pałace, brylanty najkosztowniejsze zachcianki — to ich przywilej...”

Tak... te godziny nocne mają w sobie dużo uroku; gdy bogaci zbliżają się do biednych, oczywiście na tyle tylko, by zaspokoić swe zachcianki, żądze i swe zdegenerowane pragnienia...

Smutek ogarnął Klawego Janka. Pożerał po prostu wzrokiem wszystkie parki, które mijają go, przytulone do siebie.

„Jakże byłbym szczęśliwy — myślał Janek, — gdybym tak mógł swobodnie spacerować z mą Anielą, kochać ją, niekrępowany nikim i niczym. Kto wie, czy będę ją jeszcze mógł kiedykolwiek przytulić do swego serca... Co za frajer był ze mnie, że nie skorzystałem z okazji w hotelu!”

Opanowała go niepohamowana żądza, tak że odruchowo zaczął się rozglądać za kobietą. W takim nastroju zabląkał się w jedną z bocznych ulic.

Jakaś kobieta zatrzymała go i zapytała, która godzina. Zorientował się od razu, że należy do tego typu kobiet, które w podobny sposób zaczepiają wszystkich eleganckich panów. Spotkały się ich spojrzenia. Ale w tejże chwili przesunął się przed jego oczyma obraz Anieli. Nie odpowiadając na zapytanie nimfy nocnej, poszedł dalej.

„Nie! Od tej chwili, gdy ją poznałem, nie wolno mi tak postępować!” — karcił siebie w duchu.

Naraz doleciał go apetyczny zapach potraw. Rozejrzał się: stał przed restauracją. Pusty żołądek dopominał się o swoje prawa.

Wszedł do podrzędnej knajpy. Wszystkie stoliki były zajęte. Pijane okrzyki mężczyzn mieszały się z wyuzdanym śmiechem podejrzanym kobiet, które czuły się tu, jak w swoim żywiole...

Nie wiedząc czemu, Klawy Janek poczuł wstręt do tego otoczenia. Zajął miejsce w kąci, by móc jak najlepiej obserwować innych, pozostając samemu w cieniu. Postanowił siedzieć tu przez całą noc, a rankiem zabierze się do ratowania Anieli.

Zajadał z apetytem, od czasu do czasu spoglądając na gości, czy nie dojrzy jakiejś twarzy, z którą by się nie chciał spotkać...

W pewnej chwili drzwi się rozwarły i do knajpy weszła kobieta w towarzystwie przodownika, zmierzając wprost w stronę, gdzie siedział Janek.

Kelner skłonił się nisko i przystawił stolik tuż obok stolika „Klawego”.

Klawy Janek nie zdradził się najmniejszym ruchem, że nowo przybyły sąsiad zainteresował go.

Przodownik zaś, tak był zajęty swą uroczą towarzyszką, że nie zwracał na nikogo uwagi.

Klawy Janek siedział wpatrzony w gazetę, ale z nastroszonymi jak zając uszami wsłuchiwał się w każde słowo „męty”.

Słyszał, jak przodownik zamówił najdroższe trunki i zakąski. Po czym bawił swą towarzyszkę zabawnymi historiami z praktyki policyjnej. Oczywiście przodownik był zawsze tym bohaterem, który demaskuje i wylawia przestępców.

Naraz o uszy Janka odbiło się jego imię... Padło słowo „Klawy Janek”! Słyszał najwyraźniej, że przodownik wspominał o nim, opowiadając o włamaniu u hrabiny...

— Sam wytropiłem tego niebezpiecznego ptaszka w hotelu — chwalił się policjant. — Byłem w stu procentach pewny, że mam go już w swych rękach. Ale bądź tu mądry, kiedy pokój jego łączył się z sąsiednim numerem, którego okno wychodziło na inną zupełnie

stronę. „Klawy Janek” zwał!... Ale ja go pochwyć! — zawołał posterunkowy po chwili zastanowienia. — To jest obecnie głównym celem mojego życia.

— Widzę, kochany, że masz krótką pamięć — zarzuciła mu piękna brunetka, uśmiechając się czarująco. — Przedtem mówiłeś, że ja jestem jedynym celem twojego życia, a teraz znów jakiś złodziej...

Przodownik roześmiał się, ucałował panią w rączkę i rzekł:

— O tobie nie ma mowy. Wiesz, że jesteś dla mnie najdroższą istotą na świecie.

— Gdybyś mnie naprawdę tak kochał, jak powiadasz, zerwałbyś ze swoją żoną.

— Cóż cię to boli? Czy nie dbam tylko o ciebie? Czy brak ci pieniędzy? Zerwanie z moją żoną byłoby niewygodne dla nas obojga.

— Dlaczego?

— Dlaczego. Zapominasz, że jestem w policji... Gdybym porzucił żonę, wzięto by mnie za bardzo na oko — dodał ciszej.

Nalał sobie kieliszek koniaku i wypił jednym haustem.

Klawy Janek natężył całą swoją uwagę. Uszy jego, przyzwyczajone do chwytania najminimalniejszych szmerów, starały się nie opuścić ani jednego słowa. Wpatrywał się uważnie w twarz policjanta, by ją sobie dobrze zapamiętać. Jego bystre oko zauważyło natychmiast, że przodownik jest większym złodziejem od niego. Rozumiał, że ma nieczyste sumienie, gdyż pensja policjanta nie wystarczała na utrzymywanie kochanek, na kupno futer karkulowych i srebrnych lisów.

Niespostrzeżenie obserwował kochankę przodownika. Nabral przekonania, że piękna kobieta pochodzi z nizin i trzyma policjanta pod pantoflem. Różne myśli przeszły mu przez mózg. Cieszył się z przypadku, który pozwolił mu poznać tajemnicę przodownika.

— Gdybyś wiedziała — opowiadał dalej przodownik — z jak piękną dziewczyną bawił „Klawy Janek” w hotelu. W życiu nie widziałaś tak czarującej niewiasty. Powiadam ci, paluszki lizać.

— Ładniejsza ode mnie? — śliczna brunetka wydeła kapryśnie wargi.

— Niestety, piękniejsza...

— Coście z nią zrobili?

— Chciałem ją, co prawda, wziąć „na spytki”. Już by ona mnie wszystko wyśpiewała. Ale komisarz się uparł, że sam ją przesłucha. Zawsze czyni mnie na przekór. Nie lubimy się nawzajem...

— Czy aresztował ją?

— Oczywiście. Już raz wpadła w nasze ręce, ale on ją zwolnił nie wiadomo czemu.

— Uważaj, by jej nie zwolnił po raz drugi. Skoro jest tak piękna, jak powiadasz, wszystko jest możliwe...

Klawy Janek lykał każde słowo.

— Muszę jeszcze dzisiaj przetrząsnąć kilka melin. Złapię go: żywego czy martwego...

— A co to za typ zbrodniarza?

— Włamywacz! — wyjaśnił posterunkowy fachowym tonem.

— Więc dajcie mu pokój. Cóż to was boli, że opróżnia kasy burżujów. Licho ich nie weźmie. A gdy go prześladowacie, musi się ratować...

— No, daj spokój ze swymi poglądami. Nie zapominaj, że jestem przodownikiem. Mnie nie wolno słuchać podobnych słów.

— Mnie nie obchodzi twój mundur. Dla mnie jesteś tylko moim najdroższym. Radziłabym ci w ogóle, kiedy masz już tyle pieniędzy, wystąpić z policji.

— Cicho! — zawołał przodownik blednąc i rozglądając się na wszystkie strony.

Klawy Janek przesłonił sobie twarz gazetą.

— Ciekawa jestem, jak wygląda ten Klawy Janek? — rzekła zaintrygowana towarzyska przodownika.

— Na pewno by ci się spodobał — uśmiechnął się policjant. — Wysoki, smukły, o dużych, czarnych oczach, mężczyzna, jakiego wy, kobiety, lubicie.

Przy tych słowach przodownik wyjął z teczki fotografię i pokazał ją swej towarzyszce.

— To jest jedyna fotografia, którą posiadamy w naszym albumie policyjnym — rzekł, po czym odłożył fotografię do teczki.

— Morowy chłop! — zawołała zachwycona kobieta.

— Tylko nie zakochaj się, bobyś się musiała z nim szybko rozstać. Już stryżek czeka na niego.

— O, „Klawy Janek” nie wygląda na takiego, który by się dał złapać przez takiego niedojdę, jak ty — rzekła z przekąsem.

— Jak widzę, jesteś już „zagazowana”. Musimy się pożegnać. Dzisiejszą noc spędzisz beze mnie — szepnął jej do ucha.

— Obejdzie się! — zawołała kobieta.

Klawy Janek uregulował rachunek, po czym wstał i korzystając ze stanu podchmielenia sąsiadów, zabrał leżącą na krześle teczkę policjanta. Wyszedł niespostrzeżony. Zadowolony ze zdobyczy, „Klawy” zatrzymał mijającą go taksówkę i kazał się wieźć na Pragę.

Zapukał do domu dobrego znajomego, który był właścicielem pokoi umeblowanych, a gdy znalazł się sam w numerze, sprawdził, czy rewolwer jest nabity. Zorientował się też co do możliwości ucieczki, na wypadek, gdyby zawitała policja, po czym zabrał się do przeglądania teczki policjanta. Fotografie swoją schował do kieszeni, a pozostałe papiery i dokumenty, które nie miały nic wspólnego z jego sprawą, odłożył z powrotem do teczki. Przy czym załączył liścik następującej treści:

Panie przodowniku!

Zwracam panu tekę. Zabrałem tylko swoją podobiznę. Uczyniłem to dlatego, gdyż nie chcę, by moja fotografia znajdowała się w tak brudnych rękach. Niech pan unika spotkania się ze mną, bo to się źle może skończyć.

Panna, którą pan aresztował w hotelu, jest niewinna. Gdyby ją spotkała krzywda, zemszczę się na panu. Niech się pan strzeże, gdyż koniec pana będzie smutny!...

„Klawy Janek”.

Następnie Klawy Janek wezwał do siebie gospodarza i wziął u niego „złodziejskie słowo honoru”, że zaraz następnego dnia odeśle teczkę przodownikowi do domu. Adres przodownika znalazł Janek wśród dokumentów.

Klawy Janek położył się na odpoczynek, ale nie mógł zasnąć. Zastanawiał się nad każdym słowem przodownika. Nie mógł sobie też przypomnieć, gdzie widział jego towarzyszkę, która mu się wydawała dziwnie znajoma. „Gdybym się mógł z nią zetknąć — rozumował Klawy Janek — na pewno bym zdobył niejedną tajemnicę kompromitującą tego przodownika”.

Wzrok jego padł na fotografię, którą znalazł w teczce przodownika. Na odwrotnej stronie wypisane było jego nazwisko, data urodzenia, data sporządzenia zdjęcia itd. „Klawy” zdecydował, że właściwie nie powinien przechowywać takiego zdjęcia i podarł fotografię.

W nocy dręczyły go złe sny. Zmęczony strasznymi widziadłami, zbudził się nad ranem i wezwał do siebie gospodarza.

— Czy mógłbym się u ciebie zatrzymać na kilka dni? — zapytał gospodarza Klawy Janek.

— Widzisz, ja bym bardzo chętnie ciebie tu gościł, tylko że... policja ma mnie na oku.

— A zatem muszę wiać...

— Czym prędzej, przyjacielu! Nie chciałbym, żebyś wpadł u mnie.

— No to bądź zdrow! — wyciągnął „Klawy” rękę na pożegnanie. — Ile ci płacę?

— Obrażasz mnie, przyjacielu. Za kogo mnie bierzesz? Myślisz, że jeżeli zmienilem tryb życia, to już zupełnie wyzbyłem się złodziejskiego honoru? O, nie! Od takich, jak ty, nie biorę za gościnę pieniędzy. Powiedz, nie wstydz się: może ci potrzeba forsy, mów!...

— Dziękuję ci, przyjacielu, tak źle jeszcze nie jest. O jedno cię tylko poproszę. Wyjdź na ulicę i rozejrzyj się, czy się nikt, „z nich” nie kręci. Wnet się stąd wyniosę.

— Bądź spokojny. Przez całą noc dbałem o to, by cię tu nikt nie niepokoił. Nie zmrużyłem oka i sam stałem „na cynku”. Chodź ze mną. Wyprowadzę cię przez ogród na boczną uliczkę. Dojdziemy do rogu, do postoju dorożek i taksówek. Już cię zawiozę, dokąd zechcesz...

W kilka minut później Klawy Janek w towarzystwie gospodarza opuścił pokój; obaj udali się w stronę postoju pojazdów.

Nadjechała właśnie wolna taksówka i towarzysz Janka zatrzymał ją.

Klawy Janek pożegnał się serdecznie z „przyjacielem” i wsiadł do taksówki. Był spokojny i pewny, że w tej chwili nikąd mu nie grozi niebezpieczeństwo... Tym bardziej, że właściciel pokojów umeblowanych zauważył: „Możesz jechać z tym szoferem dokąd chcesz; to nasz”. {To go jeszcze bardziej upew[niło]}

Otulony w futro, zaszył się Klawy Janek w kącie taksówki; kazał się wieźć na Złotą. Zmęczony i niewyspany od kilku dni, zdrzemnął się.

A taksówka mknęła z niezwykłą szybkością, co go jeszcze bardziej ukołysało do snu...

Naraz taksówka stanęła i w tejże chwili Klawy Janek przebudził się; szeroko otworzył oczy.

Szybko nachylił klamkę u drzwiczek, ale zamek nie ustępował. Spróbował wyjść drugimi drzwiczkami, ale i te były zamknięte. Straszliwa myśl przeszła jego mózg. Spojrzał przed siebie — przy kierownicy nie było nikogo...

I naraz, zanim jeszcze Klawy Janek zdołał się zorientować, gdzie się znajduje i co zaszło, drzwi taksówki się rozwarły...

Już teraz Klawy Janek nie miał potrzeby się domyślać... Sprawa była zupełnie jasna...

W jednej chwili taksówka została otoczona policjantami.

— Wyłaź! — padł rozkaz.

Odruchowo sięgnął ręką do kieszeni, gdzie przechowywał rewolwer. Nie zdążył go nawet wyjąć. Dwie silne dłonie chwyciły go za ramiona.

Wszystko to spadło na niego tak nagle, niespodziewanie, że nie zdążył nawet zebrać myśli, by się na coś zdobyć.

Cyniczny śmiech szofera, w którym rozpoznał teraz przodownika z restauracji, uderzył go niby obuchem po głowie.

Nie próbował nawet się bronić; wiedział z góry, że jego wysiłek jest niecelowy.

ROZDZIAŁ XIII

Gdy Aniela została po raz drugi zwolniona przez komisarza, pod warunkiem, że następnego dnia o godzinie 9:00 rano stawi się w jego gabinecie, radości jej nie było granic. Ledwie opuściła urząd śledczy, postanowiła odszukać Janka, by go ostrzec i nakłonić do ucieczki z Polski, a co najmniej z Warszawy.

Była przekonana, że jeżeli nadal zostanie w Warszawie, wcześniej czy później wpadnie w ręce policji. Ale wnet zrezygnowała z pomysłu odszukania go. Przypomniła sobie, że często, gdy policja chce wytropić kogoś, umyślnie zwalnia zatrzymanego współnika, by go śledzić i w ten sposób natrafić na ślady zbiega.

Tak było też tym razem. Gdy tylko wyszła z Urzędu Śledczego, komisarz polecił dwóm agentom, by ją szpiegowali. Agenci nie spuszczaali Anieli z oka, a następnego dnia o godzinie 9:00 wrócili — wraz z nią — do urzędu z niczym...

Komisarz przyjął ją natychmiast.

— Jak widzę, pani wcale nie jest tak naiwna, jak się to na początku wydawało.

Aniela milczała.

Nagle zabrzączał telefon. Komisarz podniósł słuchawkę i twarz jego rozpromieniła radość. Tryumfującym wzrokiem spojrzał na Anielę.

Rozmawiał przez dłuższą chwilę, ale nic takiego nie wypowiedział, coby mogło Anieli wyjaśnić, o co chodzi. Komisarz rzucał tylko do słuchawki słowa „tak” lub „nie”.

Po skończonej rozmowie komisarz kilkakrotnie przemierzył pokój, po czym stanął przed Anielą i odezwał się:

— Pani jest zupełnie wolna. Ale, jeżeli mi pani wpadnie w ręce po raz trzeci, będzie gorzej...

Aniela słała jak przykuta. Serce jej mówiło, że ta rozmowa przez telefon ma coś wspólnego z nią.

Chwiejąc się na nogach, Aniela opuściła gabinet komisarza.

Na schodach, tuż przed samym wyjściem, stanęła jak skamieniała. Rozdzierający okrzyk bólu wydarł z jej piersi.

Aniela na własne oczy ujrzała swego Janka zakutego w kajdany... Kilku policjantów otoczyło go ze wszystkich stron, a dwóch popychało naprzód.

Na początku „Klawy” starał się nie zdradzić tym, że zna Anielę, lecz gdy ta wybuchnęła płaczem, rzekł złamany:

— Bądź zdrowa, Anielo! Kocham cię!

Wysoki policjant pchnął Anielę, zabraniając jej zbliżyć się do Janka.

Wółkow polecił zamknąć Klawego Janka w celi, a sam udał się do komisarza zameldować, jak mu się udało pochwycić Klawego.

Komisarz Żarski słuchał słów Wółkowa, po czym rzekł:

— Skąd pan wiedział, że Klawy Janek znajduje się w tym hoteliku?

— Właściciel hoteliku jest byłym złodziejem, który zerwał ze światem podziemi. Obecnie jest naszym konfidentem. I on to mnie zawiadomił, że gości u siebie „Klawego”. A że znam szoferkę, postanowiłem sam go sprowadzić do urzędu.

— Pan to zaaranżował bardzo sprytnie. Postawię pana do awansu.

— Dziękuję, panie komisarzy! — skłonił się Wółkow.

W kilka minut później Klawy Janek stał już przed obliczem komisarza.

— Niech pan siada — rozkazał komisarz, spoglądając na „Klawego” badawczym wzrokiem. — Dawno jest pan w Polsce?

— Nie przypominam sobie.

— Jak widzę, jest pan takim samym spryciarzem, jak dawniej.

— Jeszcze większym — odpowiedział „Klawy” cynicznie.

— Powiedz mi pan, kim jest ta dziewczyna, z którą pan był w hotelu?

— Dziewczyna, jak wszystkie dziewczęta.

— Niech pan nie będzie tak cyniczny i nie zmusza mnie do zmiany tonu.

— Może pan mówić, jak pan chce, mnie to zupełnie obojętne.

— Wiele pan ma lat?

— Proszę zapytać mojego ojca.

— Niech się pan uspokoi! — zawołał komisarz gniewnie. — Proszę mnie odpowiadać do rzeczy, inaczej...

— Inaczej, co?... Będzie mnie pan bił?... Jestem już na to przygotowany od dawna...

— Ale podobasz mi się. Jesteś morowy. Mimo że mamy cię w ręku, nie zdradzasz strachu. Chcesz papierosa?

— Nie palę.

— A w karty grasz?

— Jak kiedy, panie komisarzy. Najlepiej lubię się bawić z wami.

— A dużo kochanek osierociłeś na wolności? — zapytał komisarz, usiłując nadal nawiązać rozmowę.

— To moja rzecz, panie komisarzy.

— Nie widzę w tym nic złego. Taki piękny mężczyzna, jak ty, musiał mieć kolosalne powodzenie.

— To teraz nieważne.

— Ale i ta dziewczyna jest piękna, z którą byłeś w hotelu.

— O, bardzo piękna, panie komisarzy... Tylko dlaczego mnie pan tyka? Wszak razem nie chodziliśmy na kradzieże.

— Nie wiedziałem że to pana urazi, panie „Klawy”. A od jak dawna jest ona pańską kochanką?

„Klawy Janek” zerwał się z miejsca i zawołał gniewnie:

— Panie komisarzy, zabraniam panu tak mówić o niej! Słyszysz pan?! Jest za czysta, by ją pan kalał swymi ustami.

Komisarz stanął jak głupi. Nie spodziewał się takiej odprawy.

— Nie miałem na myśli nic złego — tłumaczył się komisarz. — Bardzo mnie cieszy, że „Klawy Janek” ma tak złą kochankę, aczkolwiek jemu samemu brak wiele do uczciwości.

— Panie komisarzu, nie przyszedłem tu po to, by rozmawiać o miłości. Dziewczyna ta nigdy nie należała do mnie ani do kogo innego. Jest czysta jak łąka.

— Nie rozumiem — wybełkotał komisarz. — Czym ona jest dla pana?

— Jak dotąd niczym. Serdeczną przyjaciółką i nic więcej. Czyż złodziej nie może się przyjaźnić z uczciwą dziewczyną?

Komisarz nic nie odpowiedział. Wszak sam miał okazję przekonać się, że to uczciwa dziewczyna.

Widząc, że się niczego więcej w tej sprawie od „Klawego” nie dowie, komisarz przystąpił do sprawy:

— Kto „obrobił” kasę u hrabiny?

— Nie wiem.

— Kto zamordował policjanta?

— Nie wiem.

— Jakoś pan dziś nic nie wie. Może mam spróbować innego sposobu, by pan odpowiadał na moje pytania?

— Czyż nie odpowiadam?

— To żadna odpowiedź dla mnie.

— Jak pan uważa. Zresztą jest do tego sędzia śledczy, by mnie badał, a nie pan.

Komisarz Żarski zerwał się z miejsca i nacisnął guzik dzwonka. Po chwili zjawił się Wołkow.

— Rozwiąż mu pan język! — rozkazał komisarz.

Wołkow podskoczył do „Klawego”, chcąc go uderzyć w twarz. Ten zręcznie cofnął się w tył.

— Ty psia jucho, nie masz prawa mnie bić! Jesteś większym zbrodniarzem ode mnie! — zawołał „Klawy” na cały głos.

Słowa te wywarły nadszpiewany efekt. Wołkow zbladł tak bardzo, że komisarz musiał go przytrzymać, by nie upadł.

Komisarz rozkazał Wołkowowi wyjść, a sam zapytał „Klawego”:

— Dlaczego pan zarzucił Wołkowowi, że jest większym zbrodniarzem od pana?

— Powiem, gdy nadejdzie odpowiedni moment — odparł „Klawy Janek” tajemniczo.

Komisarz zamyślił się. Różne myśli przesunęły się przez jego mózg. Od czasu kradzieży u hrabiny i zabójstwa policjanta Wołkow wydawał mu się dziwnie podniecony. Stale spotykał go w pierwszorzędnym restauracjach, przy suto nakrytym stole w towarzystwie podejrzanych kobiet. Zastanawiało go również, że Wołkow tak gorliwie zajął się sprawą odszukania zabójcy policjanta.

Wołkow co prawda wspominał kiedyś, że czeka go wielki spadek po matce, i to mogłoby częściowo tłumaczyć, skąd bierze pieniądze na hulanki. Ale wrodzony sceptycyzm nie dawał mu spokoju.

— I jak to się mogło stać, że pan, kuty na wszystkie strony, dał się zawieźć taksówką wprost do Urzędu Śledczego?

— Po prostu. Znałem dobrze właściciela hoteliku i nigdy bym nie uwierzył, że jest donosicielem. Ale nic, wyjdzie mu to bokiem...

Komisarz znów zadzwonił i polecił odwiedzić „Klawego” do Pawiaku³².

— Tam będziemy go pewni — odezwał się komisarz Żarski do policjantów. — Uważajcie tylko po drodze. Nie zapominajcie tylko, z kim macie do czynienia. Jesteście odpowiedzialni za niego...

— Niech pan będzie spokojny, panie komisarzu — przerwał mu Klawy Janek, uśmiechając się cynicznie. — Muszę nieco odpocząć. Nie mam dziś najmniejszej ochoty uciekać.

³²do Pawiaku — tu składnia analogiczna jak w zwrocie: odwiedzić do więzienia; dziś popr.: na Pawiak. [przypis edytorski]

Popychany przez policjantów Klawy Janek wszedł do karetki więziennej. Czterej policjanci i dwaj tajni agenci otoczyli go ze wszystkich stron, nie zdejmując zeń oka.

Przez całą drogę Klawy Janek nie zdradzał najmniejszej obawy ani przygnębienia. Przeciwnie, zacięty ironiczny uśmiech nie schodził z jego energicznej twarzy. Brakło tylko, by usta wypowiedziały słowa, które miał na języku:

— I tak ucieknę. Daremny wasz trud. „Klawy Janek” nie tak prędko da się powiesić, jak się to wam wydaje, psie dusze...

ROZDZIAŁ XIV

Od chwili aresztowania Klawego Janka upłynęło kilka tygodni. Wiadomość ta wstrząsnęła światem podziemnym, nie tylko w Polsce, ale i zagranicą.

Utworzył się nawet „Komitet Trzech”, który postawił sobie za cel opiekować się „Klawym” w czasie jego pobytu w więzieniu i umożliwić mu ucieczkę.

Pieniądze dawał każdy należący do tej braci. Nawet Stasiak „Lipa” i obaj wspólnicy „Klawego”: Antek i Felek, aczkolwiek byli źli na niego, czynili wszystko, by go wydestakować z więzienia.

Aniela ze swej strony również szukała sposobów, jak go ratować. Do ojca nie wróciła więcej. Nie pomogły jego błagania ani groźby. Nie chciała przebywać dłużej wśród mętów społecznych.

Stasiak „Lipa” widząc, że policja ma go na oku, w ciągu jednej nocy zlikwidował interes i zamieszkał w hotelu, gdzie zameldował się jako fabrykant łódzki, oczywiście pod przybranym nazwiskiem.

W ciągu tych kilku tygodni zmienił się nie do poznania. Z dnia na dzień coraz więcej srebrnych nitok przybywało do jego bujnej czupryny. Nie mógł się pogodzić z myślą, że jego jedyna córka Aniela porzuciła go. A jeszcze bardziej bolało go to, że całe to nieszczęście ściągnął na niego Klawy Janek, „swoją człowieka”.

Obawiał się, by Aniela nie wpadła w niepowołane ręce. Jest piękna, młoda, bez opieki. Wcześniej czy później będzie musiała się poślizgnąć. Odziedziczyła temperament po matce, który nie wróży nic dobrego...

— Wszystko tak, tylko nie to! — wołał w nim rozpaczliwy głos. — Własnymi rękami ją uduszę, jeżeli się stoczy na dno...

Szukał zapomnienia w wódce. Na wópełniony biegł po mieście w pogoni za córką. Nie mógł jej znaleźć. Zniknęła jak kamień w wodzie.

Po kradzieży u hrabiny i zamordowaniu policjanta komisarz Żarski rozpoczął otwartą walkę ze światem przestępczym. Policja przetrząsała wszystkie meliny i kryjówki. Co „grubsza ryba” uciekała za granicę, by tam przeczekać do czasu, aż minie burza.

I „Stasiak Lipa” uciekłby chętnie z Polski. Nie brakło mu pieniędzy. Ale bez Anieli nie chciał się ruszać z Warszawy. Od świtu do nocy szukał dziecka, po wszystkich kawiarniach, hotelach, lokalach.

Obawiał się, by policja go nie rozpoznała. Nie chciało mu się na starość gnąć w więzieniu. Nie ustawał jednak w ciągłym poszukiwaniu córki. Miłość ojcowska była silniejsza od strachu przed więzieniem.

Aniela nie mniej tęskniła za ojcem, niż „Lipa” za córką, lecz żelazna wola zerwania ze światem przestępczym zwyciężyła. Chciała się przekonać, który świat jest lepszy. Pierwsze doświadczenia na tej drodze sprawiły jej wiele zawodu.

Widok „Klawego Janka”, zakutego w kajdany, jeszcze silniej związał ją z jego losem. We śnie i na jawie widziała, jak go dręczą. Dniami i nocami myślała tylko o nim.

Sprzedawała biżuterię, by kupić „wałówkę” i zanieść na Pawiak. Odmówiono przyjęcia „wałówki”. Klawy Janek trzymamy był tak ostro, że nie przyjmowano nawet dlań pożywienia.

Fakt ten podziałał na Anielę przygnębiająco. Przez cały dzień wałęsała się przed więzieniem z „wałówką” w ręku, w nadziei, że może jednak uda się przesłać Jankowi paczkę. Ze łzami w oczach błagała każdego napotykanego urzędnika więziennego, by przyjął od niej paczkę dla „Klawego”. Bezskutecznie. Strażnicy więzienni nie są tak sentymentalni, by mogły ich wzruszyć łzy nieszczęśliwej dziewczyny.

Cały tydzień Aniela warowała przed Pawiakiem, aż „wpadła w oko” jednemu ze strażników. Gotów był oddać „Klawemu” wałówkę, ale... Aniela splunęła mu w twarz i więcę się już przed Pawiakiem nie pokazała.

Postanowiła szukać pracy, by pomóc ukochanemu w inny sposób. Zdecydowała powierzyć sprawę Janka pierwszorzędnemu adwokatowi. Nie zdawała sobie sprawy, że nawet stu najlepszych adwokatów nie uratuje „Klawego”.

Była chwila, kiedy gotowa była udać się do komisarza i oddać mu się, byleby tylko ratował „Klawego”. Ale wnet, po chwili rozwagi oburzała się na siebie za tę myśl.

Codziennie przeglądała w gazetach dział ogłoszeniowy, poszukując odpowiedniego dla siebie zajęcia. W dziale „Nauka i wychowanie” przeczytała anons następującej treści:

„Potrzebna jest wychowawczyni z dobrego domu i znajomością języków do 10-letniej dziewczynki. Dzwonić między 4:00 a 6:00. Telefon...”

Możliwość otrzymania takiej pracy przykuła uwagę Anieli. Znała języki, czuła się na siłach pokierować wychowaniem 10-letniej dziewczynki.

Jeszcze raz przeczytała ogłoszenie: „Wychowawczyni z dobrego domu...”. Z dobrego domu... — córka Staśka „Lipy” to nie bardzo dobry dom. Co będzie, jeżeli zażądamy referencji?... Ból ścisnął jej serce.

Postanowiła jednak spróbować szczęścia.

Punktualnie o godzinie czwartej Aniela zadzwoniła pod podany numer telefonu. Usłyszała sympatyczny głos pani, która poprosiła Anielę o osobiste zgłoszenie się, celem omówienia warunków pracy.

Był to pałacyk w pobliżu Saskiej Kępy, w dzielnicy will.

Zatrzymała się przed dwupiętrowym domem, otoczonym dość wysokim murem. Portier w liberii otworzył Anieli drzwi i wyjaśnił, że ma się udać na drugie piętro, pierwsze drzwi na prawo.

Szerokie marmurowe schody, alabastrowe posągi, puszyste dywany — przepych i bogactwo, jakie wyzierały z każdego kąta, onieśmiały Anielę do tego stopnia, że po prostu nie miała odwagi nacisnąć guzika dzwonka.

Portier, który obserwował jej niepewne ruchy, uśmiechnął się życzliwie i zawołał zachęcająco:

— Proszę zadzwonić. Niech się pani nie lęka!

Aniela nacisnęła dzwonek, ale serce jej waliło tak silnie, że sama dziwiła się swemu tchórzostwu.

Pokojówka otworzyła drzwi i wprowadziła Anielę do poczekalni. Pokój był urządzone bogato i gustownie.

Po chwili pokojówka poprosiła Anielę do salonu, gdzie czekała już na nią pani hrabina. Uderzyło to Anielę, że pani domu jest hrabiną, gdyż w ogłoszeniu było zaznaczone, że kandydatka winna być Żydówką. Co to ma znaczyć? W czasie rozmowy telefonicznej przyszła chlebodawczyni przedstawiła się, jako Zofia Osipowa. Aniela sądziła, że jest to jakaś zasymilowana rodzina rosyjsko-żydowska. Ale na dźwięk słowa „hrabina” straciła zupełnie orientację.

Aniela niepewnym krokiem przesuwiała się po cennych perskich dywanach; zatrzymała się przed ciężką kotarą zawieszoną na drzwiach. Weszła do salonu...

W powietrzu unosił się świeży zapach bzu, który pięknie zakwitł w ogrodzie, otaczającym pałacyk. Salon był wyrazem bogactwa i komfortu tego domu. Piękne srebrne żyrandole zwisały z sufitu na długich łańcuchach. Pokój utrzymany był w stylu wschodnim, ściany zawieszono były arcydziełami mistrzów sztuki malarskiej.

Aniela ujrzała przed sobą piękną, elegancką panią w średnim wieku, pełną godności. Drobnym kroczeniem hrabina zbliżyła się do Anieli, podając jej rękę i poprosiła, by usiadła. Przez chwilę obie kobiety spoglądały na siebie. Twarz hrabiny wydała się Anieli dziwnie znajomą, nie mogła sobie tylko przypomnieć, gdzie ją widziała i w jakich okolicznościach.

— Ile pani liczy lat? — zapytała hrabina życzliwie.

— Dwadzieścia — odparła Aniela, opuszczając zawstydzony wzrok.

— Czy pani ma rodziców?

— Nie — wy dobyła z siebie Aniela z trudem. — Jestem sierotą — dodała, rumieniąc się cała.

— Nie ma się pani czego wstydzic — zauważyła hrabina. — Przeciwnie, powinna pani być dumna z tego, że nie mając ojca ani matki, rozwinęła się pani tak pięknie fizycznie i duchowo.

W oczach Anieli zaperliły się dwie wielkie łzy, które stoczyły się po jej bladej twarzy. Hrabina dostrzegła te łzy i nabrała sympatii dla młodej dziewczyny. Miała nawet ochotę przytulić ją do swej piersi i serdecznie ucałować.

— Niech się pani uspokoi — rzekła hrabina. — Pani jest piękna, młoda, cały świat stoi przed panią otworem. Takim pięknym oczom nie wolno płakać. I ja miałam podobne oczy. Ale zbyt wiele łez przelałam w życiu, dlatego straciły one dawny urok...

Hrabina zamyśliła się.

Jak w kalejdoskopie przewinęły się przed jej oczyma lata dziecinne, które nie były godne zazdrości, a następnie...

Potrząsnęła głową, jak gdyby chciała odpędzić od siebie natrętne myśli, które naraz tłoczyły się do głowy, a które na próżno starała się wypędzić z pamięci.

I w wyobraźni Anieli odżyły wspomnienia lat dziecinnych. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna tę kobietę.

— Czy dawno straciła pani rodziców? — zapytała hrabina po dłuższej przerwie.

Aniela znów stanęła w pąsach i jak gdyby obawiała się własnych słów, wyszeptwała:

— Nie znałam wcale mojej matki. Ojciec niewiele opowiadał mi o niej. Wiem tylko, że była piękną kobietą i odumarała, gdy miałam niespełna trzy latka. Tak opowiadał mi ojciec — dodała Aniela, opuszczając wstydliwie oczy.

— A ojciec?

— Ojciec... ojciec zmarł w ubiegłym roku — z trudem wydobyła z siebie Aniela.

— A czym trudnił się pani ojciec?

Aniela czuła, że traci grunt pod nogami. Wszystko zawirowało jej przed oczyma. Zdawało jej się, że meble, lustra i obrazy spoglądają na nią z szyderstwem; otoczyły ją ze wszystkich stron i wirują w zawrotnym tempie, by wnet z hukiem zwalić się na jej głowę. Uczuła ból w sercu, z trudem chwytając powietrze; przed oczyma wypłynął jej obraz ojca w gronie kolegów po fachu — rycerzy nocy. Zimny pot wystąpił na jej czole; była bliska omdlenia.

— Pani wybaczy, że sprawiłam pani tyle bólu — tłumaczyła się hrabina. — Przypomniałam pani sprawy, które człowiek pragnie zapomnieć. Nie wątpię, że ojciec pani był uczciwym człowiekiem.

Aniela milczała.

— A więc przejdziemy do rzeczy — ciągnęła dalej hrabina. — Jakie pani ma wykształcenie?

— Ukończyłam gimnazjum w Niemczech.

— A jakie języki obce pani zna?

— Władam swobodnie francuskim, angielskim.

— Czy pani potrafi pokierować dzieckiem? Moja Wieroczka jest bardzo kapryśna.

— Spróbuję — odparła Aniela. — Uczynię wszystko, by pani była ze mnie zadowolona.

— Gdzie pani pracowała poprzednio? — zapytała hrabina nagle.

— Nie pracowałam nigdzie. Żyłam z tego, co mi pozostało po ojcu. Teraz postanowiłam się usamodzielnąć.

Wyrzuciła te słowa jednym tchem, jak gdyby się bała, że hrabina jej przerwie lada moment, by zasięgnąć dalszych informacji.

— A jak pani na imię?

— Aniela.

— Aniela... — powtórzyła hrabina i twarz jej pokrył smutek.

W salonie zapanowała martwa cisza. Poprzez otwarte okna wdzierał się do pokoju świeży powiew wiosny.

Hrabina oparła się o parapet okna i przez dłuższą chwilę stała pogrążona w myślach. Aniela nie zdejmowała z niej oka. Wydawało jej się ciągle, że zna już hrabinę od lat. Nabrała przekonania, że przepych i bogactwo nie dały hrabinie szczęścia.

Ujrzała teraz w wyobraźni Klawego Janka zakutego w kajdany... I żelazne okratowanie na małych okienkach Pawiaku. I bladą twarz ukochanego, wyczierającą zza krat...

„Dla ciebie będę pracowała. Tylko dla ciebie, najdroższy. Nikt mnie na świecie poza tobą nie obchodzi” — huczało jej w głowie.

Przypomniała sobie ostatni wieczór w hotelu. Jego namiętne pocałunki. On musi zostać uczciwym człowiekiem. Musi rozpocząć nowe życie. Skoro potrafił wykazać tyle silnej woli tam, w hotelu, zdoła też pokonać inne przeciwności i zerwać ze światem przestępczym. Głupcy są ci, którzy twierdzą, że człowiek rodzi się ze złymi skłonnościami. I moi rodzice należą do świata podziemi, a jednak nienawidzę tych ludzi.

Ale w tejże chwili jak gdyby ktoś szepnął jej na ucho zjadliwie:

„A jednak któż się zakochał w złodzieju? Od kłamstwa rozpoczynasz nowe życie. Jesteś jeszcze młoda; z czasem zupełnie zboczysz z uczciwej drogi. Pochodzisz ze świata przestępców i do nich musisz wrócić...”

W głębi duszy musiała przyznać, że głos ten ma rację. Ale miłość do Klawego Janka była silniejsza od głosu sumienia. Tłumaczyła sobie w ten sposób:

„Moja miłość do Janka oczyści go. Janek może jeszcze zostać pożytecznym człowiekiem...”

— Od kiedy może pani objąć posadę? — zapytała naraz hrabina, przerywając myśli Anieli.

— Nawet od dziś — odparła Aniela.

— A ma pani wielu znajomych?

— Nie mam nikogo.

— Czyżby? — powątpiewała hrabina. — Tak piękna niewiasta, jak pani, żeby nie miała przyjaciół?

— A dlaczego pani o to pyta, jeżeli wolno wiedzieć?

— Bo nie chciałabym, by mnie tu odwiedzano. Mieszkam od niedawna w Warszawie, a jednak zostałam ostatnim razem okradziona; zrabowano mi połowę majątku. Dlatego dobieram sobie tylko pewnych ludzi.

Anielę błyskawicznie przebiegła myśl:

„Kto wie, czy to nie ta sama hrabina, którą niedawno Janek »obrobił«”.

Zrobiło jej się nieswojo.

Hrabina zauważyła to i zaczęła się gęsto tłumaczyć:

— Pani wybaczy... Jeżeli chodzi o panią, nie mam cienia wątpliwości. Z oczu pani patrzy uczciwość. Ale nie wie pani, w obecnych czasach nie wiadomo, z kim się ma do czynienia. Któż by się spodziewał, że do mnie zakradną się włamywacze i wypróżnią kasę? Widocznie tak mi było sądzone...

Hrabina znów się zamyśliła. Tym razem utkwiała uporczywy wzrok w Anieli, tak że dziewczynie serce zamarło ze strachu.

„Kto wie — pomyślała Aniela — czy tu nie wpadłam... Hrabina bawi się ze mną jak kot z myszą. Wie, widać, że jestem narzeczoną Janka i dlatego poruszyła ten temat...”

Wreszcie hrabina odezwała się:

— Od jutra może pani rozpocząć pracę. Otrzyma pani sto złotych miesięcznie i pełne utrzymanie. Jeżeli będę zadowolona, podwyższę pani pensję. Teraz przedstawię pani moją córeczkę.

Hrabina zadzwoniła. Weszła pokojówka.

— Proszę wprowadzić Wieroczkę. Chcę ją zapoznać z jej nową wychowawczynią. Od jutra pani rozpoczyna u nas pracę.

W kilka minut później do salonu wpadła śliczna dziewczynka o kruczonych włosach i wielkich, czarnych oczach. Spojrzała na Anielę, po czym oparłszy główkę o ramię matki, zawołała.

— Dziękuję ci, matenku, za tak sympatyczną wychowawczynię. Wszystkie moje dotychczasowe panie wyglądały jak straszdyła — roześmiała się na głos.

Przyjaźń została zawarta.

— Matenku — prosiła dziewczynka — niech pani od razu z nami zostanie. Dlaczego dopiero od jutra?

— Może pani zostanie? — zaproponowała hrabina, zadowolona, że panna przypadła Wieroczce do gustu.

— Musiałabym jeszcze przynieść swoje rzeczy. — zauważyła Aniela, wstając z miejsca.

— A ja pani nie puszcę, — zawołała dziewczynka. — Będę teraz miała z kim grać w piłkę. Stare nianie, które mnie dotąd wychowywały, poruszały się z trudem. — Zerknęła mała kokieteryjnie na Anielę.

— Nie, moje dziecko — odparła matka. — Jutro jest właśnie pierwszy i pani rozpocznie pracę.

Pożegnały się serdecznie. Hrabina zaprosiła Anielę na kolację, ale ta kategorycznie odmówiła i opuściła pałac hrabiny.

ROZDZIAŁ XVI

Kilka tygodni upłynęło od czasu, gdy Klawy Janek został aresztowany. Siedział wciąż na Pawiaku, w wąskiej celi, odseparowany od wszystkich. Miał dosyć czasu, by się zastanowić nad swoją przeszłością i przyszłością, przynajmniej najbliższą, którą oceniał jednym słowem: „plajta”.

Szare, wilgotne ściany więzienia, które dzieliły go od świata, dobijały go swą monotonią i by nie dostać obłędu, zaczął układać w myśli coraz to inne plany ucieczki.

Kajdany, które mu założono w chwili aresztowania, wpijały się w jego ciało, sprawiając fizyczny ból. Zębami by je przegryzł, gdyby nie grube ściany ze zdrazieckim okiem we drzwiach, które śledzi go na każdym kroku. Z kajdanami dałby jeszcze radę, ale z okratowaniem w okienku było daleko trudniej.

Przez cały dzień kroczył po swojej celi tam i z powrotem, nie zważając na brzęk łańcuchów, który towarzyszył każdemu jego ruchowi. Wciąż myślał o Anieli. Gdyby nie ona, zrezygnowałby w ogóle z ucieczki i poddał się losowi.

Wielokrotnie wdrapywał się na stolik, by choć okiem rzucić na „tamtą stronę” i przekonąć się, czy świat jeszcze istnieje i czy ludzie na ziemi jeszcze żyją. A jasność dnia na wolności przekłuwała mu wzrok, który przywykł już do ciemnicy więziennej. Za każdym razem, gdy w oko wpadało mu światło dzienne, staczał się rozwścieczony ze stolika na podłogę kamienną i tłukł głową o wilgotne mury celi. Któż zna bezsilne miotanie się więźnia w czterech ścianach celi, kiedy serce rwie się do wolności, do ukochanej, a tęsknota doprowadzić może do szału?

Ale oto wzrok jego dostaje się w sieci pająka, który w kącie celi przedzie pajęczynę, trzymając pewnie zdobycz — muchę. A muszka konwulsyjnie rzuca się w misternej sieci, wymachując skrzydełkami i brzęcząc rozpaczliwie, jakby błagała postronnego widza o pomoc. Złość ogarnęła teraz Klawego Janka. Rozgląda się dokoła, szukając oczyma czegoś twardego, by mógł nim dosięgnąć sufitu i tuczącego się krzywdą słabszego pająka. Klawy Janek podrzuca w górę czapkę, do której przylega natychmiast pajęczyna. Mucha jest ocalona, a pająk krwiożerczy — w ręku Janka.

Klawy Janek przyjrzał się nie bez uczucia słodkiej zemsty pająkowi, który w jego oczach urastał do potęgi agenta policyjnego — tego samego, który go w swoje sieci dostał i do celi zaprowadził. Z uśmiechem na ustach, skrzywionych z bólu, Janek myślał nad tym, jaką śmierć zadać pająkowi. Mówił przy tym na głos:

— O, teraz już nie wydostaniesz się z moich rąk!... Jakie ci zadać tortury, by odczyścić od nastawiania zdrazieckich sieci i wtrącania ofiar do więzienia?!...

Oczy jego nabiegły krwią. Ale to wszystko trwało zaledwie minutę. Po chwili wybuchł histerycznie głupawym śmiechem:

— Co się ze mną dzieje? Jakże idiotycznie i śmiesznie zarazem wygląda moje bohaterstwo wobec pająka? Nerwy moje są nadszarpnięte!...

Rzuca pająka o ziemię i zaczyna swój bieg dokoła czterech ścian celi. A myśli ponownie krążyć dokoła Anieli.

I nie wiadomo jak to się dzieje, przed jego oczyma wylaniają się powabne kształty ukochanej, a namiętności targają jego zmysłami do bolesnego wyczerpania. Z zadziwiająco samoudręką przypomina sobie teraz najdrobniejsze szczegóły owego wieczoru, kiedy znalazł się z nią, we dwoje, w numerze hotelowym. Słyszał teraz wyraźnie jej głos, jak błagała, by zostawił ją w spokoju...

Wpija się palcami we własną skórę. Rwie sobie włosy z głowy. Czemu nie porwał jej w objęcia i nie nasycił zewu krwi, która nigdy już nie zazna spokoju!...

Więzien

Pająk

Błądny wzrok spoczywa przez chwilę na zakratowanym oknie. I niby ostra strzała przeszywa jego mózg okrutna myśl:

„Daremny krzyk twej duszy... Już nie ujrzysz Anieli... Ona już należy do innego!...”

Milczą mury jego grobu za życia. Różne napisy na ścianach, poczynione przez jego poprzedników, sprawiają na Janku wrażenie napisów umieszczonych na nagrobkach i pomnikach. Wzrok jego błądzi po ścianach grobu, gdy wtem drzwi celi się rozwierają.

Zgrzyt przekręcanego w zamku klucza przywraca mu przytomność umysłu. Przez sekundę spogląda na zielonkawy mundur surowego klucznika. Ich spojrzenia krzyżują się. Zdaje sobie sprawę, że drzwi nie zostały otworzone, by zwrócić mu wolność.

— Dlaczego nie meldujesz się? — rzuca ostro przez zęby strażnik pobrzękując pękiem kluczy, których nie wypuszcza nigdy z rąk.

Kławy Janek milczy.

— Ty przeklęty psie, czy nie słyszysz, że mówię ciębie? Czemu nie meldujesz się, gdy wchodzę do twojej celi? — unosił się strażnik.

— Bo nie mam ochoty — odpowiada Janek „na zimno”.

— Co? Chęci nie masz? Ha, ha, ha!... Nie chce mu się!... A może nie podoba ci się więzienie?...

Kławy Janek odwraca się do strażnika plecami i pogwizduje sobie złodziejską piosenkę.

Strażnika złość podrywa z miejsca.

— Do ciemnicy cię wtrącę! Do karceru!... Gnić tam będziesz!... Na wodzie i chlebie cię potrzynam!... Już my cię nauczymy tu moresu!... Z nami nie będziesz żartował!...

Przy tych słowach strażnik podsuwał klucze Jankowi aż pod sam nos.

A Kławy Janek stał niewzruszony, jakby to wszystko nie jego dotyczyło.

— Co ty sobie myślisz? — wrzeszczał strażnik. — Ale popamiętasz mnie! Już ja twój upór przełamie! Musisz się podporządkować rygorowi więziennemu! Nie ma wyjątków! Melduj natychmiast, dlaczego przebywasz tu w celi!... Zrozumiano?...

— Te, czy się tak odwalisz ode mnie?... — najspokojniej w świecie wypowiedział te słowa Janek.

— Co??? — krzyknął strażnik, nie wierząc własnym uszom.

— Mówię wyraźnie — odparł Kławy Janek uśmiechając się z rozkoszy, że zalał strażnikowi sadła.

— Od kiedy to jestem twoim przyjacielem, że mnie tykasz, ty psie parszywy!... — aż zieleniał ze złości strażnik.

— Od kiedy, mój kochany? Od chwili osadzenia mnie w tej celi, mój słodziutki... — nie przestawał Janek naigrywać się z klucznika.

Strażnik nie wytrzymał.

Klucznik uniósł do góry pęk kluczy, by opuścić je na głowę „Klawego”.

Ale Janek zręcznym ruchem podbił rękę klucznika i pęk kluczy z donośnym rakiem runął na ziemię.

Strażnik jak nieprzytomny wybiegł z celi i z taką siłą trzasnął Klawego Janka drzwiami, że ten aż podskoczył z bólu. W kilka minut później, zanim „Kławy” zdołał sobie uświadomić, jaka go czeka kara, drzwi się znów rozwarły. Ujrzał przed sobą trzech strażników i starszego dozorcę więziennego.

Kławy Janek jedną ręką oparł się o ścianę, a drugą podtrzymał kajdany. Jego groźna postawa widać podziałała na oprawców. Przez chwilę stali niezdecydowani, po czym starszy klucznik odezwał się:

— Co tu wyrabiasz? Codziennie mam z tobą do czynienia. Pamiętaj, że znajdę sposób na poskromienie ciebie. Masz natychmiast meldować się, zrozumiano?

— Rozumiem — odparł Kławy Janek.

— Więc czemu nie meldujesz się?

— Bo nie chcę. Nie jestem w wojsku, abym musiał stawać na baczność — odparł „Kławy” spokojnie.

„Mendy” spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— A więc odmawiasz posłuszeństwa. Buntujesz się. Czy wiesz, jaka cię czeka za to kara?

— Wiem. Morzyć głodem. Wieszać. Rozstrzelać — zawołał Janek nerwowo i splunął starszemu strażnikowi prosto w twarz.

— Brać go! — zawołał czerwony z oburzenia klucznik, ocierając twarz chusteczką.

Klawy Janek wtulił się plecami w kąt celi, a rękami objął żelazny stół, gotowy do walki.

Strażnicy przez chwilę zawahali się. Wiedzieli, że będą mieli niełatwą przeprawę. I jakby na komendę rzucili się na Klawego we trójkę naraz. Rozgorzała nierówna i mordercza walka. Klawy Janek walczył jak lew. Zagrożonym trzem klucznikom pośpieszyli z pomocą inni strażnicy. Po dłuższej walce zaniesiono „Klawego” owiniętego w koldrę do karceru...

Gdy żelazne drzwi karceru zatrzasnęły się, Janek leżał na wilgotnym asfalcie, który pokrywał się coraz gęstsza warstwą upływającej krwi.

Po pewnym czasie Klawy Janek odzyskał przytomność. W karcerze było ciemno jak w grobie. Janek nie był z siebie zadowolony.

— Po co mi to było potrzebne? Przecież to utrudnia mi ucieczkę stąd. Będą mnie strzec, źle postępuję! Trzeba nagiąć karku, by w ten sposób przebić sobie drogę... Ja tu jestem jeden, a ich jest więcej! Przecież nie mogę staczać bojów z wiatrakami! Dosyć! — zawołał groźnym tonem na samego siebie, stając na równe nogi. Kajdany boleśnie zwisły u nóg.

Nazajutrz, gdy drzwi celi się otworzyły, by podać więźniowi chleb z wodą, strażnik usłyszał słowa, których by nigdy się nie spodziewał. Nie wierzył własnym uszom, a jednak była to prawda.

— Panie strażniku, melduję posłusznie, że tu w areszcie przebywa „Klawy Janek”, oskarżony o popełnienie kradzieży! — oświadczył Janek.

Klucznik uśmiechnął się przez wąs i odrzekł:

— Tu siedzisz za awanturę! Dopiero gdy wrócisz do swej celi, będziesz meldował, że siedzisz za kradzież.

— Tak jest, panie strażniku! — po żołniersku zameldował Klawy Janek. — Panie strażniku, melduję posłusznie, że tu siedzi „Klawy Janek” za wywołanie awantury!

— Oho! To co innego!... Doskonale! Zresztą, po co ci zadzierać z nami! Gdy będziesz się dobrze sprawował, będziesz posłuszny, zabierzemy cię także i na roboty.

Zadowolony z obrotu rzeczy, klucznik pobiegł do kancelarii więziennej z nowiną, że „Klawy” się podporządkował.

Od tej chwili Janek trzymał się odmiennej taktyki. Po odsiedzeniu siedmiu dni w karcerze był przeniesiony z powrotem do celi.

Celę, w której przebywał, utrzymywał we wzorowym porządku. Podłoga połyskiwała niby zwierciadło, a łóżko zaślane było jak w hotelu. Straż więzienna na odcinku „Klawego Janka” była zadowolona. Doszło do tego, że gdy do więzienia przybyła jakaś delegacja społeczna w celu wizytowania, zaprowadzono ją do celi „Klawego Janka”, jako wzoru czystości i porządku.

Z biegiem czasu, za dobre sprawowanie, zdjęto mu kajdany, a później otrzymał nawet prawo korzystania z czytelni więziennej. Wolne godziny wypełniał marzeniem o ucieczce i odzyskaniu Anieli.

I nastał dzień, gdy po raz pierwszy poddany był przesłuchaniu przez sędziego śledczego, który przybył specjalnie w tej sprawie na Pawiak.

— Siadajcie — rzekł sędzia śledczy.

Klawy Janek mechanicznie spełnił polecenie i skurczył się tak, aby nie rzucać się w oczy. Przyjął tak niewinny wyraz twarzy, że przez moment sędzia śledczy zwątpił, czy może zadać bez wyjątku wszystkie pytania, z góry na papierze opracowane...

— Nieprzyznawanie się do winy nie ma najmniejszego sensu — ciągnął sędzia śledczy oschłym i monotonnym głosem. Więc jak tam było z jubilerem na św. Marcina?...

— Jak widzę, panie sędzio, chce pan mnie obarczyć winą za wszystkie popełnione w Polsce przestępstwa. Rozumiem: musicie znaleźć przestępcę. Wy musicie zawsze mieć rację!... Wszak sprawiedliwość musi zwyciężyć... Jesteście ludźmi, którzy nigdy się nie mylą.

— To już nasza rzecz, — odparł sędzia obrażonym tonem. — Pan jest znany jako przestępca. Naprózne³³ są pańskie pretensje. Jesteśmy przekonani, że pan jest sprawcą wszystkich wykroczeń, które miały miejsce w Warszawie w ciągu ostatniego czasu, pan i pańscy współnicy, których policja ma już na oku.

— Uważajcie tylko, byście mnie nie przylepili fałszywych współników — uśmiechnął się Janek cynicznie. — Wy to potraficie!

— Czy mogę się dowiedzieć, jak brzmi pańskie prawdziwe nazwisko? — zapytał sędzia, udając, że nie dosłyszał słów „Klawego”.

— Mówiąc szczerze, już sam nie pamiętam, jak się nazywałem.

— A więc pan miał wiele nazwisk? — podchwycił sędzia śledczy.

— Tak — odparł Janek śmiało, przekonany, że udawanie na nic się nie zda.

Klawy Janek wyprostował się na swym krześle. Spoglądał z nienawiścią na sędziego. Zaprezentował się w całej swej okazałości.

— Najlepiej będzie jeżeli zagramy w otwarte karty — rzekł Janek, wstając ze swego miejsca. — Powiedz mi pan otwarcie, czego żądacie ode mnie?

Sędzia nie spodziewał się takiego postawienia sprawy. Instynktownie rozejrzał się niepewnym okiem dokoła siebie. Gdy ujrzał stojącego we drzwiach strażnika, odezwał się uspokojony:

— Przyjmuję pańskie życzenie, ale pod jednym warunkiem...

— Bym mówił prawdę — wtrącił „Klawy”.

— Tak. O to mi właśnie chodzi.

Janek namyślił się przez chwilę i przysiadł się bliżej sędziego. Ten odruchowo cofnął się nieco do tyłu.

— Ode mnie, „Klawego Janka”, złodzieja, przestępcy żąda pan prawdy?! Ha, ha, ha! Miliony „uczciwych ludzi” korzysta z wolności, a jakże są dalecy od prawdy! A pan zawsze mówi prawdę?...

— No, no, ostrożniej! — powstrzymał go sędzia śledczy w zapędleniu. — I ja będę z partem szczerzy. Z głębi duszy pragnąłbym pana posłać na szubienicę.

— O tym wiem. Tym razem nie wątpię w prawdziwość pańskich słów. Ale czy zasłużyłem na szubienicę: to pytanie. I wielu to niewinnych ludzi skarał pan na więzienie i śmierć?

— To już moja rzecz — odparł sędzia wymijająco. — Przystąpmy lepiej do sprawy.

— Proszę bardzo.

— A więc, jak się pan nazywa?

— Na razie „Klawy Janek”.

— Bardzo mi przyjemnie. Ale jak się pan nazywał wówczas, gdy dokonał włamania do banku i zrabował sześćdziesiąt tysięcy dolarów i dziesiątki milionów marek polskich?...

— Nie wiem, o jakie dolary chodzi. Tyle dolarów zrabowałem w życiu, że już nie pamiętam dokładnie wiele, gdzie i kiedy, i jakie to sumy. Jeżeli chodzi o marki polskie starałem się je zawsze unikać. Wolałem ustabilizowaną walutę, która na dodatek zajmuje mało miejsca w portfelu, jak na przykład funty, dolary, franki szwajcarskie...

— Nie wątpię, że pan lubi obcą walutę. Najlepszym dowodem jest hrabina, którą pan obrabował. Tam chyba nie brakło dolarów?...

— Możliwe — odparł Klawy Janek. — Niestety, w tej sprawie nie mogę udzielić żadnych informacji. Z zasady przyznaję się tylko wówczas, gdy jestem przyłapany na gorącym uczynku lub gdy istnieją dowody przeciw mnie. Ale przyznać się do przestępstwa, które pan mnie obecnie zarzuca, na razie nie mam ochoty. Zresztą od czegoż jest urząd śledczy? Szukajcie dowodów przeciwko mnie, a wówczas zobaczymy. Na razie nie wiem nic i nie mam zamiaru przyznawać się do czegośkolwiek...

Sędzia śledczy podziwiał logikę i odwagę przestępcy. W ciągu 20-letniej praktyki, jako adwokat, sędzia śledczy, prokurator, sędzia, potem znów sędzia śledczy, po raz pierwszy zdarzyło mu się słyszeć z ust przestępcy podobne słowa.

Był tak zaskoczony jego cynicznymi odpowiedziami, że miał już ochotę kazać go doprowadzić do więzienia i spisać protokół, który skończyłby się dla Janka karcerem. Nie

³³naprózne — popr. prózne; por. wyrażenie: „robić coś na próżno”. [przypis edytorski]

mógł się jednak zdobyć na taki krok. Klawy Janek zaimponował mu. Pragnął poznać bliżej psychikę tego przestępcy.

— Nie jest to najlepsza droga — odezwał się wreszcie do Janka. — Możemy aresztanta długo przetrzymywać w więzieniu śledczym. Mamy cierpliwość i czas... Poczekamy, aż będziecie sami błagali, aby was przesłuchano.

— O, to za długo wypadnie panu sędziemu czekać. Nie należę do tych przestępców, którzy najprzód popełniają zbrodnię, a potem składają petycje do władz...

— Czyli pan jest niewinny i nie popełnił zarzucanych mu przestępstw.

— Tego nie powiedziałem. Jestem winny, ale nie w takim stopniu, jak to władze uważają.

— To przyznajcie się do tych przekroczeń, do których się poczuwacie, a dalej zobaczymy.

— Jeszcze się namyślę.

— I ja mam czas — rzekł na zakończenie sędzia śledczy, zabierając papiery.

— Kiedy znów się zobaczymy? — zapytał Klawy Janek.

— To zależy od was. Gdy nabierzecie ochoty składania zeznań, zameldujecie się do kancelarii. A wówczas tu przybędę. Nie sądźcie, że milczenie jest najlepszą metodą.

— Sądzę, że najlepszą. Przecież nieobce panu przysłowie: „mowa to srebro, a milczenie złoto”. A ja tak kocham złoto!

Sędzia śledczy stracił panowanie nad sobą:

— Każę was zakuć w kajdany! Trzymać was będę w odosobnionej celi! Już wam język rozwiążą! I będziecie mi śpiewać jak słowik!...

— Ale na wolności — roześmiał się Klawy Janek.

Strażnik więzienny, który na korytarzu podsłuchiwał urywki rozmowy, odprowadzając Klawego Janka do celi, nie mógł opanować śmiechu. Klawy Janek przypadł klucznikowi do gustu, tak że poczęstował aresztanta papierosem.

— Z ciebie zuch! — poklepał Janka po ramieniu.

Ledwie zamknęły się drzwi celi za Klawym Jankiem, zgryzniętą klucz w zamku i na progu uchylonych drzwi ukazał się inny klucznik.

— Wystąp! — rozkazał Jankowi. I „Klawy” znów pomaszerował do pokoju sędziego śledczego.

— Posłuchajcie — rzekł sędzia śledczy poważnym tonem — wezwałem was tu, bo wiem, że jesteście człowiekiem inteligentnym. Rozumiecie, że muszę spełnić swój obowiązek. Każdy sędzia śledczy na moim miejscu postawi wam te same pytania. Trzeba, byście udzielili odpowiedzi na te pytania, a wszak tylko wasze odpowiedzi są protokołowane. Jeżeli jesteście niewinni, sprawdzimy to. Dołożę starań, by dochodzenie zostało jak najszybciej zakończone. Nie wiadomo z góry, jaki zapadnie wyrok; możecie prosto z sądu wyjść na wolność.

Ostatnie słowa sędziego wypowiedział, odwracając głowę w bok — Klawy Janek pomyślał sobie w duchu:

„Stary wyga!... Ale trafiłeś na niewłaściwy adres... Mnie za język nie polechcesz!...”³⁴

Ale Klawy Janek jednocześnie powziął decyzję nie bawić się w ciuciubabkę z sędzią śledczym. Myśl o ucieczce z więzienia nie opuszczała go na chwilę. Dla dobra sprawy należało pogodzić się z niektórymi „przykrościami” życia więziennego.

— Ale co mam panu sędziemu powiedzieć? Proszę stawiać pytania, postaram się na nie odpowiedzieć.

— O, to już co innego! Może zapalicie papierosa?

— Z rozkoszą.

Klawy Janek wziął od razu kilka papierosów z podsunętej mu papierośnicy, uśmiechając się przy tym zuchowato.

— Krytycznej nocy, kiedy u hrabiny ograbiono kasę, został również zamordowany policjant. Czy nie przypominacie sobie, jaka to była data? — przystąpił sędzia śledczy do ponownego badania.

³⁴Mnie za język nie polechcesz — raczej: mnie za język nie pociągniesz. [przypis edytorski]

— Niestety, nie przypominam sobie, panie sędzio. Po raz pierwszy słyszę o tym wypadku, jestem kasjarzem, ale uczciwym: to każdy panu sędziemu powie. Na „mokre roboty” nie chodzę. Unikam zasadniczo takich wypraw.

— Naturalnie, że wiem o tym. Ale zdarzają się nieraz wypadki, kiedy policjant wchodzi naraz w paradę i chcąc nie chcąc człowiek popełni zbrodnię.

Przy tych słowach sędzia śledczy przejął Janka ostrym spojrzeniem, jakby chciał go przejrzeć do szpiku kości.

Ale Klawy Janek spokojnie palił papierosa i odrzekł:

— Oho, niejednemu w ten sposób podwinęła się noga. Wolność u naszych braci to największy dar! A skoro jakiś policjant natrętnie naprasza się na pulpecik to nikt nie ponosi wszak winy. Ale ja osobiście w mojej praktyce nie miałam takiego wypadku.

Spojrzenia ich znów się skrzyżowały. Sędzia śledczy coś zanotował w papierach i dalej kontynuował badanie:

— Ile czasu upłynęło od waszego ostatniego pobytu w Londynie?

— Co pana obchodzi Londyn? Scotland Yard pracuje dość sprawnie i jak będzie mnie potrzebował, na pewno odnajdzie mój adres. To czemu pan się troszczy o zagranicę?

— Na was ciąży tyle grzechów, że nie wiem po prostu, od którego zacząć. Od kilku krajów otrzymałem „ukłony”. Czekają tam na was z rozwartymi ramionami.

— Bardzo mnie to cieszy, że jestem sławny aż na całym kontynencie. Ale mam na to wszystko jedną odpowiedź.

— Mianowicie? — zainteresował się sędzia śledczy.

— Nie mam pojęcia o niczym.

Słowa te wypowiedział Klawy Janek takim tonem, że sędzia był przekonany, że się już niczego nie dowie, póki nie będzie miał przeciwko niemu konkretnych dowodów winy. Spróbował jednak po raz ostatni.

— Jak się nazywają wasi współnicy?

— Miałem tylu współników, że trudno mnie wymienić nazwisko każdego. Zresztą nas nie obchodzi nazwiska, chodzi tylko o to, by był „fachowcem”.

— Więc odmawiacie składania zeznań?

— Przepraszam, ale za te kilka papierosów, którymi mnie pan uraczył, zdaje się, już opowiedziałem dość dużo.

Sędzia śledczy nie mógł już dłużej zapanować nad sobą. Zerwał się z miejsca i zawołał:

— Pierwszy lepszy protokół policyjny wystarczy, by was posłać na szubienicę. Sądzilem, że mam do czynienia z inteligentnym, mądrym złodziejem, który rozumie, że podobne odpowiedzi mogą mu tylko pogorszyć sprawę. Ale omyliłem się.

— Panie sędzio — odezwał się Janek zdecydowanym tonem. — Pan mi zarzuca zbyt wiele przestępstw, bym się mógł do czegokolwiek przyznać.

— Przyznajcie się do tych przestępstw, z powodu których odczuwacie teraz wyrzuty sumienia.

— Wyrzuty sumienia? Ha, ha, ha!... — parsknął Janek śmiechem. — Mnie mają dręczyć wyrzuty sumienia?... A czy was, sędziów, dręczy kiedyś sumienie? Wie pan, panie sędzio, jakie mam wyrzuty sumienia? Że jestem więźniem i nie mogę hulać na świecie...

Sędzia dał znać strażników więziennemu, by odprowadził Janka do celi.

ROZDZIAŁ XVII

Na dawnym Dworcu Wiedeńskim w Warszawie było rojno i tłoczno. Była to pora odjazdu najważniejszych pociągów, zdążających zagranicę lub do Moskwy, Kijowa i Petersburga. Ruch pasażerów, pędzących z walizkami w ręku, tłok odprowadzających, którzy otaczali najbliższych, głośne rozmowy, czułe pocałunki, okrzyki oraz łoskot podrzucanych bagaży, to wszystko zlewało się w dziwną symfonię podniecenia i febry podróży.

W tym oto zgłębieniu i ruchu znaleźli się Antek i Felek. Ale któż by ich teraz rozpoznał. Przeciwnie, wyróżniali się eleganckim strojem dżentelmenów.

Na rękach mieli wspaniałe plety. Odziani w angielskie palta podróżnicze sprawiali wrażenie wytwornych obcokrajowców.

Antek przechadzał się po sali dworcowej, Felek zaś zajął miejsce na jednej z ławek, rzucając dokoła nerwowe spojrzenia. Spostrzegłszy to, Antek, przy mijaniu przyjaciela zbliżył się tak, by móc mu szeptem powiedzieć:

— Mamy jeszcze 15 minut czasu. Skoro przyrzekł, że przyjdzie, dotrzyma słowa. Bądź spokojny i nie rzucaj się nikomu w oczy.

Antek znów zaczął przechadzać się po peronie, ćmiąc grube cygaro. Felek udawał, że czyta gazetę. W chwilę później wychudły policjant przystanął obok walizek Felka i zaczął odczytywać nalepki hoteli zagranicznych. Czując na sobie przenikliwa spojrzenie „władzy”, Felek szarmancko i bez zastanowienia zapytał po angielsku:

— Wybacz pan, o której odchodzi ekspres do Paryża?

— O dwunastej trzydziści — policjant zasalutował, odpowiadając w języku rosyjskim, rozumiejąc dwa słowa z pytania pasażera:

„Paryż” i „ekspres”.

Felek udawał znów, że nie rozumie mowy posterunkowego, ale podziękował ruchem ręki przy kapeluszu i uczynił kilka kroków w kierunku Antka, który, na widok rozmawiającego z Felkiem policjanta, wołał oddalić się od nich.

— Za trzy minuty pociąg odchodzi — unosił się Felek, gdy stanął przy Antku — a jego wciąż nie ma. Pełno tu policjantów i trzeba tylko cudu, by nie wpaść w jej ręce.

Ale ledwie skończył, spostrzegł kogoś, który mrugnięciem lewego oka dał poznać swoją obecność.

Gdy zajęli we trójkę miejsca w przedziale pierwszej klasy pociągu Warszawa-Berlin, kurier zakołysał się i ruszył w daleką drogę.

Nowo przybyły mężczyzna był silnej budowy, wysokiego wzrostu, o eleganckich manierach i uśmiechu, który nigdy nie znikał z jego męskiej twarzy.

Natura wyposażyła go, oprócz ładnej prezencji, jeszcze w inne zalety. „Z lepszej strony” był on znany wśród ludzi nocy prawie we wszystkich częściach świata. Władzał dwudziestoma językami. Sześćoletnia kuracja w słynnym więzieniu Sing-Sing w Ameryce dała mu dość okazji do pracy nad sobą. Ale odtąd nigdy nie przebywał w więzieniu.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na mężczyznę lat trzydziestu, ale po bliższym przyjrzeniu się, można było pochwycić poszczególne srebrne nitki, które przetykały jego ładnie falującą czuprynę. „Ministerialne” czoło harmonizowało z jego wytworną postacią. Jednym słowem, wyglądał na człowieka, przed którym policjant ustępuje z drogi z respektem...

Urodzony w przyzwoitym domu w małej mieścinie pod Chicago, jako obywatel amerykański miał wszędzie dostęp w charakterze turysty zagranicznego. Z łatwością przenoślić się z Warszawy do Nowego Jorku, z Londynu do Tokio i znów do Berlina.

W świecie podziemi nazwisko jego wymieniane było z wyraźnym szacunkiem. Nie miał przydomka, jak to zwykle bywa w świecie przestępczym. Może działo się to dlatego, że nigdy nie bawił w jednej miejscowości zbyt długo. Unikał melin, które nienawidził³⁵. Znajomości z ludźmi świata przestępczego zawierał bardzo rzadko i to tylko w tych wypadkach, gdy zachodziła konieczność. Jego nazwiska nikt nie znał. Znano go z imienia Moryc.

— Wybaczcie mi, panowie, z powodu małego opóźnienia. Po raz pierwszy w życiu tu, w Warszawie, byłem niepunktualny — rzekł Moryc, gdy tylko usiedli w wagonie. — Ale gdy wam opowiem powód spóźnienia, otrzymam na pewno wasze rozgrzeszenie.

Ze zwykłym uśmiechem na ustach rozmówca wyjął z kieszeni wypchany portfel, który w pośpiechu przeglądał. W pewnym momencie wyciągnął brylantową kulię i zawołał zadowolony.

— Oho, prawdziwy klejnot, opłacało się. Portfel także, daj Boże zdrowie. Gdy bawiłem w waszej Warszawie na Nalewkach w pewnym składzie manufaktury nieźle się obłowilem, a teraz na dworcu, tuż przed wyjazdem także wcale dobrze mi się powiodło. Gościna w Warszawie opłaciła się. Kochane miasto — roześmiał się.

Moryc zasłonił okno przedziału firaneczkami, po czym silnym ruchem ręki przeciął ostrym nożem obicie miękkiej ławki, na której siedział i zatopił pod pluszem portfel z kulią. Spostrzegłszy zdziwienie współników, wyjaśnił im:

³⁵melin, które nienawidził — popr.: (...) których nienawidził. [przypis edytorski]

— To jest mój wielokrotnie wypróbowany sposób ukrywania niewygodnych rzeczy. Nawet w razie nieszczęścia, przy wyspie, nigdy konduktorom nie wpadnie na myśl przetrząsanie wyściełanych ławek kolejowych. Dopiero później, na końcowej stacji, wyjmuję „bagaż” i idę sobie z Bogiem...

— „Klawy Janek” ma złote ręce — ciągnął dalej Moryc. — Gdy tylko się dowiedziałem w Londynie, że siedzi, wsiadłem do pierwszego pociągu i przybyłem do Warszawy. Taki ptak jak on, musi być wolny!... Każdy dzień, który on spędza za kratkami to kolosalna strata dla wszystkich złodziei.

— Naturalnie — zawołał Antek. — Za takiego frajera jak Janek warto pójść w ogień i wodę.

— Oczywiście — dodał Felek. — A jednak popełnił on wielki błąd. Po dzień dzisiejszy pojąć nie mogę, co się z nim stało u hrabiny.

— W życiu się wszystko zdarza — zauważył Moryc flegmatycznie. — I mnie się przytrafiły takie rzeczy, że się wprost wstydzę samego siebie. Nasz fach złodziejski jest pełen tajemnic i niespodziewanych przypadków na każdym kroku. Tu nie można być mądrym.

Antek i Felek z zachwytem wchłaniali jego słowa.

— Już wszystkiego próbowałem — opowiadał dalej Moryc. — Rozpocząłem praktykę od kolei podziemnych u nas, w Ameryce. Mam lekką rękę; powodziło mi się dobrze. Wycinanie kieszeni przychodziło mi z większą łatwością od przepołowienia jabłka. Ale z biegiem czasu przekonałem się, że to mi nie da majątku. Po wtóre przykro mi było ciągle okradać proletariuszy, którzy jeżdżą tramwajami i kolejami podziemnymi. Businessmani, bankierzy, fabrykanci, dyrektorzy jeżdżą własnymi luksusowymi limuzynami. Do ich kieszeni nie tak łatwo się dobrać. Miałem zawsze większe ambicje. Marzyłem o tym, by się raz grubo obłowić, a potem odpocząć, zwiedzić świat... Jestem pewny, że gdybym nie został złodziejem, byłbym albo bankierem, albo szefem policji kryminalnej. Te oba zawody pełne są tajemnic i hazardu, bez czego nie mógłbym żyć.

— A „mokra robota” zdarzyła ci się kiedykolwiek? — zapytał Felek zaciekawiony.

— Wszystko, tylko nie to! Tfu! — splunął. — Nie znoszę krwi. Zabijanie ludzi to nie mój fach. Jestem zawsze dżentelmenem...

— Ale nasze warszawianki potrafią nie gorzej wypróżnić portfele od ich amerykańskich siostrzyczek — zauważył Felek.

— Tę sztukę znają wszystkie kobiety na całym świecie — odezwał się Moryc. — Gdy byłem w Indochinach pewna na wpół dzika Malajka tak mnie naciągnęła, że zanim jeszcze zdążyłem się obejrzeć, byłem już ogołocony. Tylko że warto było; tak pięknej kobiety nie widzieliście na pewno w życiu. Piękne kobiety i funty angielskie, to dwie najpotężniejsze siły, które kierują mną w życiu. Moje sześć lat ciężkich robót w więzieniu Sing-Sing mam też im do zawdzięczenia...

— Powiedz mi, Moryc — wtrącił się Antek do rozmowy — jakie wrażenie wywarła na tobie narzeczona Klawego Janka?...

Moryc zamyślił się na chwilę. Zwykły uśmiech znikł z jego twarzy.

— Tak, jest to rzadkiej urody kobieta. Gdyście wówczas przyszli z nią na umówione miejsce, nie mogłem się nadziwić jej piękności. Jakimi rzewnymi łzami błagała mnie, bym go ratował. Jak ona go gorąco kocha! Wiecie, co mi Aniela powiedziała?

— Co? — zawołali obaj jednocześnie.

— Oświadczyła, że jeżeli Janek nie będzie wolny do pierwszego czerwca, popełni samobójstwo... Wyczytałem z jej twarzy, że to nie czcza pogróżka. Dałem jej słowo, że do wyznaczonego przez nią terminu Janek będzie na wolności.

Moryc wychylił duszkiem kieliszek koniaku i dodał.

— Jednego tylko pojąć nie mogę, jak Janek wpadł w ich ręce.

— I my tego nie rozumiemy. Przysięgłbym, że to jeden z „naszych” go „zakupował” — zawyrokował Antek. — Nie wiem tylko kto.

— Tak, i u nas w Ameryce nie brak „kapusiów”. Gdyby nie oni, nigdy bym nie zakosztował smaku więzienia. Z policją można sobie dać radę.

— Gdy odsiadywałem karę w więzieniu berlińskim — rozpoczął opowiadanie Antek — zaprzyjaźniłem się z pewnym aresztantem, niejakim Krygierem, który od pierwszej chwili przypadł mi do gustu. Był to morus pierwsza klasa. Wydobyć od niego słowo

było trudniej niż pieniądze z kasy ogniotrwałej. Był tak silny, że żelazne bransolety pod naporem jego mięśni pękały niby szkło.

— No, no, zaczyna być ciekawe — przerwał Moryc.

— W warsztatach więziennych — ciągnął dalej Antek — pracowało nas około trzydziestu osób. Siedzieliśmy dokoła dużego, okrągłego stołu i pracowaliśmy bez wytchnienia, nie wypuszczając pary z ust. Po środku zajmował miejsce nadzorca więzienny, który wszystkich miał na oku. Ćmił swoją fajkę i od czasu do czasu mruczał coś pod nosem, niby zły pies. Był to typowy Niemiec, który niby automat przestrzegał przepisów więziennych mających na celu uprzykrzenie więźniom życia. Był istotą bez serca. Za najmniejsze poruszenie ustami spisywał natychmiast raport, za co karano surowo.

— Dokładnie w dwa tygodnie po osadzeniu mnie w więzieniu — kontynuował Antek — wybuchła wojna. Odczuliśmy to w osobliwy sposób na własnej skórze. Zredukowano nam wikt do połowy, a potem z dnia na dzień zmniejszano porcje. Roboty natomiast przybyło, tak że pracowaliśmy na trzy zmiany dniami i nocami. Pudełka do różnych leków i inne wyroby potrzebne były dla wojska. Nadzorcy, stali się wymagającymi. Najgorszy los spotkał więźniów, którzy mieli obywatelstwo krajów będących na stopie wojennej z Niemcami.

Pewnego dnia zasiadłem do pracy wygłodniały, bezsilny. Zapach świeżo zgotowanego kłajstru drażnił mi nozdrza. Przypomnił mi się zapach makaronu. Nie mogłem dłużej wytrzymać. Schwyciłem misę kłajstru i zanurzyłem w niej twarz. Nadzorca zerwał się z miejsca i począł okładać mnie kijem. Ale nie zważałem na nic. Nie wypuszczałem miski z rąk, aż jej zawartość nie powędrowała do mego żołądka.

Za zbrodnię tę ukarano mnie karcerem. Okazało się, że Niemcy, licząc na ewentualny „apetyt” więźniów, dodawali specjalnego proszku chemicznego do kłajstru, który wywoływał torsje. Skowytałem z bólu, błagając o lekarza. Grube, wilgotne mury karceru nie przepuszczały mych jęków...

Gdy ból puścił, zainteresowałem się tajemniczym pukaniem do mojej celi. Znałem alfabet, jakim porozumiewali się więźniowie i odcyfrowałem, co następuje:

„Dzień dobry, przyjacielu. Nachyl się do centralnego ogrzewania, do rury, która biegnie tuż obok asfaltu pod oknem po prawej stronie...”

Przyłożyłem ucho do rury i usłyszałem głos, jakby dochodzący spod ziemi.

„Jak się nazywasz, bracie? Za co powędrowałeś do karceru?”

Opowiedziałem mu historię z kłajstrem.

Sądziłem, że wykpi moją przygodę, ale ten milczał przez chwilę, po czym zawołał wściekły:

„Sadyści!”

Więcej nie rozmawiał ze mną. Na próżno pukałem do niego i wzywałem. Zbywał mnie krótkimi odpowiedziami: „Tak” lub „nie”.

Następnego dnia zaprowadzono nas obu do łaźni więziennej. Ujrzałem przed sobą mężczyznę atletycznej budowy, lat około trzydziestu pięciu.

Ukradkiem zamieniliśmy się kilkoma zdaniem, a potem, gdyśmy wrócili każdy do swego lochu, wznowiliśmy pogawędkę przez rurę. Przypadłem mu do gustu. Krygier opowiedział mi, że jest obywatelem rosyjskim rodem z Łodzi. Okazało się, że mamy wspólnych znajomych i że znał również Klawego Janka. Jedno mnie tylko dziwiło: gdy tylko naprowadziłem rozmowę na temat ucieczki, natychmiast zmieniał przedmiot rozmowy. Na trzeci dzień, leżąc na twardym pościeliu, usłyszałem naraz hałas dochodzący z karceru Krygiera. Natężyłem słuch, ale grube mury nie pozwalały pochwycić słowa. Przez cały dzień pukałem do niego, wzywałem — Krygier nie odpowiadał. Wieczorem przetransportowano mnie do innej celi — na drugi oddział. Gdy po siedmiu dniach karceru wróciłem do swej celi, dowiedziałem się, że Krygier zwiął. I tak minęło wiele lat, a z Krygierem się nie spotykałem. Klawy Janek opowiadał mi tylko, że Krygier jest jego najlepszym przyjacielem i uchodzi w Europie za króla kasiarzy. Nie ma na świecie więzienia, z którego Krygier nie potrafiłby zbiec. We wszystkich jego przedsięwzięciach i ucieczkach pomagała mu jego żona, kobieta niezwyklej urody, z zawodu aktorka filmowa.

Antek odsapnął, po czym mówił dalej:

— Przed kilkoma tygodniami spotkałem się przypadkowo z jednym z dawnych współpracowników, który przybył z zagranicy. Poprosiłem go o pożyczkę. Nie odmówił. Zapytał tylko, ile mi trzeba. A gdy mu opowiedziałem, że nie zarabiam, gdyż „Klawy Janek” został uwięziony, zaproponował mi robotę.

— Uchwyciłem się propozycji obiema rękami, zazaczyłem mu tylko, że mam starego wspólnika w osobie Felka.

— Nie szkodzi. Starczy dla wszystkich — odrzekł krótko.

Umówiliśmy spotkanie na szóstą wieczór na rogu Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia. Stawiliśmy się punktualnie. Nie czekaliśmy długo, gdy przed nami zatrzymała grę taksówka. Kolega dał nam znak ręką, byśmy wsiedli. Auto pomknęło dalej... Ogółem było nas sześciu. Podczas jazdy nikt nie odezwał się ani słówkiem. Dziwiło mnie to milczenie, więc w końcu zapytałem:

— Hipku, dokąd nas wiesz?

— Bądź spokojny — odparł. — Nie jesteś osiemnastoletnią panną. Nie uprowadzę cię.

— Na obróbkę kasy trzeba jechać aż za miasto? Co to ma znaczyć?

Hipek wybuchnął śmiechem.

— Stałeś się dziwnie nerwowy i ciekawy. Siedz i milcz! — zawołał stanowczo.

Felek miał już ochotę wyskoczyć z taksówki. Z trudem go utrzymałem. Ale muszę przyznać, że i mnie się ta sprawa wydawała podejrzana.

„Kto wie, co tu się kryje? — myślałem sobie w duchu. — W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe. Może Hipek został agentem policji?” Jego dwaj koledzy również nie wzbudzali zaufania. Twarzy szofera w ogóle nie mogłem dojrzeć.

Po dwu godzinach strachu zatrzymaliśmy się wreszcie. Wysiedliśmy. Szofer pozostał w taksówce.

— Idziemy! — zawołał Hipek. — Czemu macie takie miny, jak gdyby was prowadzono na szubienicę?

— Powiedz, dokąd nas prowadzisz? — zawołał Felek.

— Czyż nie mówiłem? Mamy „obrobić” kasę.

— A gdzie masz narzędzia? — zapytałem, widząc, że nie mają ze sobą paczek.

Wszyscy trzej, jak na komendę, wydobyli po dwa rewolwery z kieszeni.

— Oto nasze najnowocześniejsze narzędzia — odparł z tryumfującą miną i wszyscy trzej parsknęli śmiechem.

— Cóż to za komedia?...

— To nie komedia, bracie! — odparł Hipek poważnie. — Tej nocy „obrobimy” bogatego obszarnika i bankiera, który dziś urządza przyjęcie w pałacu.

— Napad rabunkowy?

— Oczywiście. To najłatwiejsza droga do bogactwa. Po co mam się skradać, aby mnie serce drżało, kiedy lepszy jest napad zbrojny, by tamtemu serce waliło.

— Po to nas zabrałeś? — zawołał Felek oburzony. — Wiesz wszak, że nie nadajemy się do podobnej roboty...

— Przekonam was — odparł spokojnie Hipek — że łatwiej być „bandziorem” niż kasiarzem.

— Za to grozi kara śmierci. Nie, za nic w świecie nie wezmę udziału w podobnej wyprawie!

— Rewolwery w rękach naszych współpracowników przekonały nas, że nie ma rady — opowiadał dalej Antek. — Rozumiesz, Moryc, że w podobnych okolicznościach można od najlepszego przyjaciela dostać w łeb. Poszliśmy.

A w pałacu zabawa szła w najlepsze. We wszystkich oknach płonęły światła. Taksówka, którą przyjechaliśmy posuwała się za nami i zatrzymała w pobliżu pałacu. Z lasku wybiegła grupa złożona z ośmiu osób i przyłączyła się do nas. Wszyscy byli uzbrojeni w rewolwery, jak gdyby wybierali się na wojnę.

Przedostaliśmy się do pałacu jako zaproszeni goście. Zasiedliśmy do stołów. Po upływie kilku minut zgasło światło... Zanim goście zorientowali się, co zaszło, oślepiiliśmy ich światłem latarek elektrycznych. Przy każdym dwóch krzesłach stanął jeden z naszych ludzi z rewolwerem w ręku. „Ręce do góry!” — padł okrzyk, który przejął zgrozą zgromadzonych.

Hipek i jego towarzysze wypróżnili pugilaresy zebranych panów, po czym zabrali się do biżuterii pań. Nie oszczędzili nawet obrączek ślubnych.

— Fe, to już nie po dżentelmeńsku — zauważył Moryc. — U nas w Ameryce bandyta musi przede wszystkim być dżentelmenem. Ale gdzie wam, Europejczykom, do naszej kultury! — machnął Moryc lekceważąco ręką.

— Dlatego mamy też mniej bandytów — bronił się Antek.

— Ale odbiegamy od tematu — zauważył Moryc zaintrygowany. — Opowiadaj dalej.

— Zamknęliśmy wszystkich w jednym pokoju, a Hipek uprzedził „towarzystwo”, że gdyby który z nich próbował wzywać pomocy, podpali pałac.

Wszystko poszło jak po maśle. Ale gdyśmy opuszczali pałac, jeden z gości zawołał na mnie po imieniu. Zbladłem. Hipek obejrzał się niespokojnie i polecił kamratom zabrać gościa ze sobą i pilnować nas obu jak oka w głowie. Wsiadliśmy do auta. Taksówka pomknęła z gwałtowną szybkością.

Była ciemna noc. Zatrzymaliśmy się w lesie. Hipek, który przez całą drogę milczał, rozkazał nam wysiąść i skierować się wraz z kamratami do lasu.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem wystraszony.

— Zaraz się dowiesz — odparł Hipek groźnie.

Z kolei zapytał zatrzymanego gościa:

— Skąd go znasz?

Ten odwrócił się do mnie i patrząc mi prosto w twarz, rzekł:

— Jestem Krygier! Poznajesz mnie?

— Krygier! — zawołałem uradowanym głosem i padliśmy sobie w ramiona.

Hipek nie był zadowolony z tego spotkania. Miał ochotę nas obu zakatrupić. Ale nazwisko Krygiera było zbyt popularne w świecie podziemnym, by się zdecydował na coś podobnego. Krygier opowiedział nam, że przed niedawnym czasem nabył w tej miejscowości majątek ziemski i uchodzi w okolicy za bogatego Amerykanina.

Skończyło się na tym, że podzieliliśmy łup na różne części. Uprzednio, oczywiście, zwróciliśmy Krygierowi zrabowane mu dziesięć tysięcy dolarów. Wszyscy goście w pałacu byli przekonani, żeśmy zamordowali Krygiera — zakończył Antek opowiadanie.

Pociąg zbliżał się do Poznania.

— No, chłopcy czas się zbierać — rzekł zadowolony Moryc, zapalając cygaro. — Podróż minęła nam bardzo mile. Oby się tylko nam dalej tak wiodło... Jak się nazywa naręczona Janka? — zapytał naraz.

— Aniela — odparli Antek i Felek jednocześnie.

— Ale ona jest naprawdę anielsko ładna. Warta grzechu...

— Szkoda gadać. Nic u niej nie wskórasz.

— Przekonamy się — uśmiechnął się Moryc, pewny siebie.

Poznań. Pasażerowie w pośpiechu wysiadają z pociągów. A wśród nich wolnym krokiem posuwają się z oddzielną trójką bohaterowie. Za nimi postępuje elegancka pani, ubrana w kostium sportowy ze srebrnym lisem. Mijając ich, kobieta rzuca słówko — nazwę hotelu, dokąd mają zajechać.

Nasza trójka szybko wsiada do taksówki, każąc się wieźć do umówionego hotelu. Elegancka niewiasta wsiada do następnego wolnego auta i podaje nazwę tegoż hotelu. Każdy z nich zajmuje oddzielny pokój.

Gdy wszyscy zebrali się w pokoju Amerykanina, Moryc zapytał elegancką panią:

— Jak przedstawia się sprawa? Trzeba się zabrać do roboty.

Ale młoda kobieta zwiesiła ze smutkiem głowę.

— Co się stało?

Elegancka niewiasta westchnęła ciężko, po czym wyjęła z torebki list i położyła go na stole.

Ręce trzech kompanów wyciągnęły się jednocześnie w stronę listu. Antek przeczytał na głos:

„Koledzy! Mamy dokładne informacje, że planujecie zamach na tutejszy bank. My, jako fachowcy, powinniśmy wam życzyć powodzenia. Niestety, jednak musimy was ostrzec, byście się nie wazyli w naszym mieście na konkurencję. Nie chcemy cierpieć za grzechy innych, życzymy wam powodzenia gdzie indziej. Jeżeli można coś zarobić w banku, to mamy pierwszeństwo. Potrafimy to nie gorzej od was... Bądźcie zdrowi i nie paskudźcie nam pod nosem.

Swoi...”

— Tego się nie spodziewałem! — zawołał zgorszony Moryc.

— Kiedy otrzymałaś list? — zapytał Antek.

— Wczoraj, gdy wracałam z kina do domu, ktoś wysunął mi ten skrawek papieru. Dodał też, bym się miała na baczności, gdyż policja ma mnie na oku...

— Jak mogliście zaufać tajemnicę kobiecie? — czynił Moryc współnikom zarzuty.

— Mimo iż jestem kobietą, potrafię lepiej dochować tajemnicy od mężczyzn.

— Ona jest niewinna! — zawołali jednocześnie Antek i Felek.

— Więc czyja to wina? — nie przestawał złorzeczyć Moryc. — Wysłaliście ją na dwa dni wcześniej. Tak długo się kręciła po kinach, restauracjach, lokalach, aż ściągnęła na siebie uwagę...

— Jeszcze mogą usłyszeć — zwróciła mu kobieta uwagę. — Pan się za bardzo złości, dżentelmenie amerykański. Do tutejszego hotelu zajeżdżają cudzoziemcy i znają język angielski nie gorzej od nas.

Moryc aż zsiniał ze złości. Podeszedł do niej bliżej; spojrzął prosto w oczy.

Niewiasta uśmiechnęła się ironicznie, zmierzając go od stóp do głów. Antek i Felek spoglądali na siebie zdziwieni. Nie wierzyli, że flegmatyczny Moryc potrafi się tak unosić.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Wszyscy stanęli jak wryci, spoglądając na siebie ze strachem. Młoda kobieta uśmiechnęła się tylko i otworzyła drzwi. Do pokoju wyszedł portier.

— Poproszę o dowody osobiste — rzekł uprzejmie.

— Proszę bardzo.

Wszyscy wręczyli mu dokumenty. Portier skłonił się i wyszedł.

Dopiero teraz wybuchnęli śmiechem.

— Siadajcie! — rozkazała młoda kobieta. — Mówiłam, że można nas podsłuchać. Wszak portier w tym hotelu rozmawia po angielsku. Mam wam jeszcze coś do powiedzenia. Tylko, proszę bez nerwów. Wiecie, kogo spotkałam tu, w Poznaniu? — rzekła młoda niewiasta tajemniczym tonem.

— Kogo? — zapytali wszyscy trzej jednocześnie.

— Adolfa Krygiera!

— Krygiera? — zerwał się Antek z miejsca.

— Tak. Autentycznego Krygiera. Mieszka w Poznaniu.

— Dziś właśnie opowiadałem Morycowi o nim. Muszę się z nim zobaczyć.

— Pozostawcie bank kasiarzom poznańskim — radziła kobieta — opracowaliśmy z Krygierem lepszy plan.

— Jaki lepszy? — zapytali wszyscy trzej.

— Sto razy lepszy. Pokażę waszemu Amerykaninowi, co my, kobiety potrafimy.

— Zależy kiedy — zauważył Moryc komicznie.

— Nie tylko w tej sytuacji, którą pan ma na myśli. Widziałam wasze zachowanie się, gdy portier zapukał do drzwi.

Moryc spojrzął na nią z zainteresowaniem. Kobieta zaczynała mu się wyraźnie podobać.

— Teraz odpoczniecie! — rzekła kobieta rozkazującym tonem. — A po obiedzie pokaże wam Regina, co potrafi. Żegnam!

Z tymi słowami opuściła pokój.

Postawa Reginy wydawała się wszystkim dziwnie zagadkowa. Antek i Felek po raz pierwszy słyszeli z jej ust tak zdecydowane słowa. Była zawsze posłuszna i nigdy nie okazywała podobnej zuchwałości jak dziś.

— Nie ufam tej kobiecie — rzekł Moryc. — I z wami, i z Krygierem też nie jest jasna sprawa...

— Co znaczy? — zawołał Antek.

— Na razie nic. Ale w życiu, szczególnie w naszym „fachu”, wszystko jest możliwe...

— Co masz na myśli?

— Obawiam się, by nas tu nie zaaresztowano.

Ludzie podziemi zwykli podejrzewać siebie nawzajem, nawet gdy chodzi o najlepszego przyjaciela. Leżąc na posłaniach jeden podpatrywał drugiego, a w myśli każdy z nich opracowywał plan osobistego bezpieczeństwa.

A nade wszystkim górowała myśl, że istnieją jeszcze na świecie kobiety, wódka i policja, agenci, konfidenci i... więzienia.

Złodziej, Strach

Nie mogli jednak zasnąć, jak gdyby leżeli na rozżarzonych węglach. Głośniejszy dzwonek tramwaju, gwałtowniejszy sygnał auta, donośniejsze wołanie dorożkarza napinały ich nerwy, nie pozwalając zmrużyć oka. Ogarniał ich niepokonany lęk.

A obok straszliwych wizji przed oczyma Moryca stawał obraz urodzivej Anieli, która ze łzami w oczach błagała go o ratunek dla Janka...

Zmysłowy, zadowolony uśmiech zakwitł na twarzy Moryca, ale znikł natychmiast. Nie chce myśleć o Anieli. Nie znosi kobiet. Długie lata, które spędził z winy kobiety w więzieniu Sing-Sing, zakorzeniły w jego psychice nienawiść dla rodu niewieściego. A jednak...

Po zniknięciu postaci Anieli, jakby przez mgłę zaczęła się wyłaniać w jego wyobraźni postać Janka. Widział go złamanego, zakutego w kajdany, błagającego o pomoc. Przypominał sobie dni „szczęścia i nędzy”, jakie spędzili razem w czasie trwania wiernej spółki. Moryc uświadomił sobie teraz, po co przybył do Polski i zimny pot oblał go od stóp do głów. „Kto wie — prześladowała go myśl — co mnie tu czeka... Przybyłem tu, by ratować, a zdaje się, że sam dostanę się w pułapkę. Tutejsi przestępcy nie podobają mi się. Są zbyt naiwni, a ich mózgi pracują ospale. To nie ludzie interesu, jak my Amerykanie”.

I znów wypłynął w jego wyobraźni obraz Anieli. Pragnął mieć ten obraz jak najdłużej przed oczyma. Przeszywały go dreszcze... „Musi być moja!” — wyrzywa się nagle z jego piersi. Ale wnet skarcił samego siebie: „Gdzie twój honor złodziejski?... Wszak to naręczona Janka! Nie... My, Amerykanie, nie jesteśmy tacy podli...”

Zmęczony, wyczerpany zasnął z na wpół przymkniętymi oczyma. A we śnie dręczyły go koszmarne wizje.

ROZDZIAŁ XVII

Kławy Janek zrezygnował już niemal z ucieczki. Jego dotychczasowe doświadczenie pod tym względem i plany ułożone w czterech ścianach celi okazały się bez wartości. Dniami i nocami Janek myślał, kombinował, szukał różnych dróg — w końcu musiał przyznać, że pomysły jego są nie do urzeczywistnienia. Władze więzienne miały go dobrze na oku. Cela, w której go zamknięto, znajdowała się akurat na *vis a vis* punktu obserwacyjnego, umieszczonego na wysokim murze ogrodzenia, gdzie dniami i nocami czuwała warta.

W nocy Janek obserwował w tajemnicy, jak warta spełnia swój obowiązek. Szczególnie śledził, zachowanie się posterunku podczas silnej ulewy w ciemną noc...

Sędzia śledczy odwiedzał go niemal co dzień, zarzucając mu coraz to nowe przestępstwa i zbrodnie. Widział, że oplata go coraz gęstsza sieć, z której nie ma ratunku...

Myślał już nawet o popełnieniu samobójstwa, ale pamięć o Anieli powstrzymywała go od desperackiego czynu.

Tak mijał dzień za dniem. Upływały tygodnie i miesiące, a Kławy Janek miotał się jak wściekły pies w czterech ścianach grobu za życia; godzinami dyskutując z samym sobą. Każdy dzień wydawał mu się wiecznością. Doszło nawet do tego, że cieszył się, gdy sędzia śledczy swoimi wizytami urozmaicał mu czas, upływający w osamotnieniu.

Nieraz wydawało mu się, że sędzia śledczy jest po prostu uzdolnionym kryminalistą, obdarzonym talentem literackim i przychodzi jedynie po to, by mu odczytać prace, czekając na jego, Klawego Janka, ocenę.

Razu pewnego, natychmiast po obiedzie, gdy sędzia śledczy wezwał go do siebie i rozpoczął odczytywanie nowego „dzieła”, Janek nie wytrzymał i parsknął takim śmiechem, że kilku urzędników się zbiegło: sądzili, że więzień postradał zmysły. Tego dnia przesłuchanie przeciągnęło się na długo po apelu, kiedy to więźniowie muszą się natychmiast układać do snu. Gdy Janek wrócił do celi, był tak znużony, że nie tknął nawet kolacji, którą pozostawiono dlań w menażce.

Bezsilny, złamany fizycznie i duchowo — zasnął twardym snem i nie słyszał nawet kontroli, którą³⁶ każdej nocy dokonywano wyłącznie w jego celi.

Gdy leżał pogrążony we snach, poczuł naraz ciężką rękę na ramieniu. Nie zbudził się jednak, tylko przewrócił na drugi bok. Dostał jeszcze jednego szturchańca. Janek gwałtownie usiadł na posłaniu. Ktoś szepnął mu do ucha. Janek wybałuszył oczy. Teraz dopiero odzyskał świadomość.

— Sz... cicho!... — Zasłonił mu usta ręką nieznajomy, ubrany w mundur strażnika więziennego.

Kławy Janek schwycił go za rękę, jak gdyby się chciał przekonać, czy to sen czy prawda.

— Sz... Cicho!..

Janek poczuł, że przybyły wsuwa mu do ręki paczkę...

— Bądź ostrożny!... Zabierz się jeszcze dziś do roboty — ostrzegł go po raz drugi głos strażnika, po czym przybyły szybko znikł z celi, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę Janek siedział nieruchomo z paczką w ręku, nie rozumiejąc jasno, co się dzieje. Naraz zerwał się z posłania. Jednym skokiem wdrapał się na wysokie okno i przy świetle ulicznej latarni elektrycznej sprawdził zawartość paczki...

Serce waliło mu, niby młotem, z nadmiaru radości, gdy poczuł w rękach zimną stal brauninga. Małe zawiniątko kul rewolwerowych zrodziło w nim tyle nadziei, że omal nie krzyknął ze szczęścia. Chciało mu się tańczyć, krzyżeć, płakać, szaleć, gdy ponadto znalazł w paczce kilka „włosów angielskich” do przecinania kraty.

Jeszcze bardziej zdziwił go widok skrawka papieru, do którego była przyklejona mała fotografia.

Wbił wzrok w zdjęcie i nie mógł uwierzyć własnym oczom: trzymał w ręku podobiznę Aniela.

„A więc nie zapomniała o mnie” — powtarzał w duchu wielokrotnie te słowa. I lzy wzruszenia potoczyły mu się z oczu na wizerunek ukochanej, którą namiętnie obsypywał pocałunkami.

Odwrócił fotografię i odczytał umieszczony tam napis.

„W chwilach rozpacz i beznadziejności wspomnij o mnie!

Twoja Aniela!”

Natężył wzrok, by przy bladym odbłasku światła odczytać tekst tajemniczego grypsu przyklejonego do podobizny. Charakter pisma był nader wyrazisty, jakby złożony był czcionkami drukarskimi. Nie pisała tych słów jego Aniela, to nie był jej charakter pisma. Autor tego listu jakby z góry świadom był słabego oświetlenia celi więziennej.

Wypadki, które teraz następowały z tak błyskawiczną szybkością, były tak oszałamiające, że Kławy Janek tracił panowanie nad sobą. Z nadmiaru radości zapomniał o środkach ostrożności i począł odczytywać liścik na głos:

„Kolego! Niech żyje wolność!... Jutro w nocy masz być gotów do ucieczki. »Zrób« kratę lub kabier. Na straży na *vis a vis* twego okienka stać będzie błatny męt, zresztą ten sam, który ci to wszystko wręczył. Na rogu, po prawej stronie, w kącie, nad parkanem zwiśać będzie wąż.

³⁶nie słyszał nawet kontroli, którą — popr.: (...) kontroli, której. [przypis edytorski]

Nasz parol brzmi: Mars.
Czekamy...”

Ale oto rozległy się echa ciężkich kroków straży więziennej. Te pełne trwogi uderzenia wyrwały go momentalnie z ekstazy, w którą popadł. W mgnieniu oka runął na posłanie i naciągnął na głowę koc. Jego wyostrzony słuch podchwycił szmery u drzwi celi. Serce omal nie pękało mu z przerażenia. „Zagalopowałem się” — karcił siebie teraz w duchu, ściskając w gorącej dłoni zimną stal browningu.

Kroki menty poczęły się oddalać od jego drzwi, bo zapewne chodziło tylko o kontrolę zamka. Odetchnął z wielką ulgą. Teraz mógł rozważniej obmyślić, co ma uczynić.

„Nigdy bym w życiu nie pomyślał, że z tego Kowalskiego przekupna dusza — rozmawiał Janek z samym sobą. — Uważałem go za najsurowszego klucznika. A tu naraz...”

Ale już po chwili Klawy Janek potrząsnął silnie głową, jakby chciał odpędzić od siebie niewłaściwe rozmyślenia. Musiał teraz skoncentrować uwagę na planie ucieczki.

W ciemnościach tulił do siebie podobiznę Anieli, u której szukał teraz podniety i odwagi w wykonaniu ryzykownego przedsięwzięcia. A wszak teraz decydują się jego losy: śmierć albo życie, wolność albo powolne konanie do czasu wyznaczenia egzekucji...

Ach, gdyby mógł teraz tak od razu zabrać się do roboty! I żeby tak nie trzeba było czekać do jutra w nocy!

Minuta wydawała mu się teraz wiecznością.

Echa donośnego chrapania więźniów napelniającego gmach więzienny drażniły jego napięte nerwy i wytrącały z równowagi.

Na nic nie przydało się nadsluchiwanie, czy strażnik więzienny nie stoi gdzieś w pobliżu, czy nie posuwa się bezszelestnie w gumowych pantoflach. Głośne chrapanie zagłuszało te ledwie dosłyszalne szmery.

Cicho i zwinnie Janek wślizgnął się, niby wąż, w górę, do zakratowanego okna; ostrożnie zbadał całość i szukał „rozwiązania”: od którego miejsca rozpocząć pracę. Nerwowo biegały jego palce po ciemnej kratce, próbując ich siłę wytrzymałości. Wreszcie doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, gdy zacznie podpiłowywać kratę od dołu, gdzie krata wchodzi w szeroką żelazną sztabę. Jako fachowiec wykombinował tak, by kratę trzeba było piłować tylko w jednym miejscu i to w ten sposób, by wewnątrz celi miejsce piłowania było niewidoczne.

Znów rzucił się na posłanie, uprzednio „zatopiwszy” rewolwer w sienniku. Na szczęście ubiegłego dnia przeprowadzono gruntowną wizję w jego celi. Był spokojny i wierzył, że tak prędko drugiej rewizji nie dokonają. Ufał, że broń może „przemelinować” w sienniku.

Najbardziej podniecała go myśl zabezpieczenia podpiłowanej kraty, by nie została spostrzeżona przez menty w czasie kontroli...

Po upływie pewnego czasu Janek znów ześlizgnął się ze swego łoża. Nadsluchując przez dłuższą chwilę, nabrał przekonania, że w miarowym chrapaniu więźniów kryje się spokój w więzieniu. Zabrał się do wypróbowania „włosa angielskiego”. Umiał się świetnie obchodzić tym narzędziem. Towarzysze jego nie zapomnieli nawet załączyć mu kawałka tłuszczu. Nasmarował uprzednio miejsce, które miało być „operowane” i przystąpił do ryzykownego dzieła.

Otulony w czarny koc; by nie być spostrzeżonym z zewnątrz celi, z największą zręcznością i bezszelestnie zatapiał „włos angielski” coraz głębiej w kratę.

Ale naraz z korytarza dobiegły go raptowne kroki. Odniosł wrażenie, jakby twardym butem deptano po jego głowie. Serce rwało się i pękało ze strachu. Nie mógł uczynić najmniejszego ruchu. Skamieniał. A kroki stawały się coraz donośniejsze, szybsze...

Kurczowo trzymał się parapetu okna. Ledwie zdążył oderwać rękę od nadpiłowanej kraty, gdy wtem silne uderzenie rozległo się pod jego drzwiami.

Ileż to takich tajemniczych wypadków naliczyć można w więzieniu? Wystarczy, by gdzieś w celi więziennej ktoś uderzył nieostrożnie w mur, a sąsiad w drugiej celi staje przed zagadką i jego fantazja zaczyna usilniej pracować... Albo niech więzień przez nieostrożność w czasie snu nogą wywróci stółek, na którym układa się odzież, a odgłos huku wprawia wszystkich w stan podniecenia.

Janek wnet się uspokoił i zabrał do kontynuowania rozpoczętej pracy. Zamienił „włos angielski” trzymany w rękę na inny, świeży i ostrzejszy. Coraz głębiej wrzynał się „włosem” w metal niby w twarde ser szwajcarski.

Ciemności nocy ustępowały powoli zbliżającemu się świtowi. Szare mury więzienne coraz ostrzej rysowały się w pierwszych przebłyskach wschodzącego słońca. Janek musiał przerwać robotę. Zdążył doprowadzić kratę do takiego stanu, jaki sobie wymarzył.

Zadowolony i zarazem niespokojny, ułożył się do snu. Ale sen nie przychodził. Myśli jego krążyły dokoła jutrzejszej ucieczki. Jak urządzić się, by podczas kontroli nie spostrzeżono, że krata od zewnątrz została podpiłowana? Obliczył, który ze strażników tego dnia będzie sprawdzał stan bezpieczeństwa celi. Dzień w dzień śledził ruchy strażników podczas kontroli i zapamiętał, który z nich uderzał w kraty młotem z całych sił, a który dotykał dla czczej formalności.

Kamień węgielny pod fundamenty jego wolności został już położony! Teraz musiał doprowadzić rozpoczętą budowę do końca. Odwrotu już nie było. „Rany” w bramie żelaznej nie można było już zagoić. Poprzysiągł sobie jeszcze raz w duchu: wolność albo śmierć. Nawet nie ukrył rewolweru w sienniku.

„Po co? W razie »poruty« zjrzą i do siennika. Przynajmniej, mając rewolwer w rękę, będę mógł się bronić... Niech wiedzą, z kim mają do czynienia” — myślał.

Tulił do siebie fotografię Anieli. Dla niej musi być wolny. Dla niej rozpocznie nowe życie, do którego dążył, mimo iż wszystkie drogi były przed nim zamknięte.

W głębi duszy poprzysiągł sobie, że musi Wykryć zabójcę policjanta i zdemaskować osobnika, który sprzątnął zgubioną tekę z dolarami. Przez długie dni i bezsenne noce opracował w więzieniu dokładny plan tej akcji.

Klucznik na korytarzu stawiał już pewniejsze kroki i zaglądał do każdej celi, czy czasem „lokator” pod osłoną nocy nie wyprowadził się. „W życiu wszystko jest możliwe”, a strażnicy wiedzą o tym doskonale.

Więzienie budziło się do życia. Raz po raz słychać było suchotnicze pokasywanie, bezradne pojękiwanie. Gdzie indziej pogwizdywano na nutę piosenki złodziejskiej.

Wreszcie rozległ się po całym więzieniu donośny dzwon, który codziennie o tej samej godzinie sygnalizował pobudkę! Teraz spóźnieni więźniowie w pośpiechu trzaskają drzwiami, a rozkazy surowych kluczników zlewają się z odgłosami trepów drewnianych więźniów, szybko schodzących żelaznymi schodami.

Janek zerwał się z posłania pełen nadziei i nowych sił do walki ze wszystkimi, którzy by stanęli mu na drodze do wolności, do ukochanej Anieli. Błyskawicznie zasał łóżko, a w duszy myślał: „Oby już po raz ostatni!”

I jak gdyby uląkł się własnych słów, uszczypnął się do bólu.

„Więcej rób, a mniej gadaj!” Tym razem sprzątnął celę wyjątkowo dobrze. Rzucił się na zimny, wilgotny asfalt i nacierał go z całych sił, by wydobyć połysk ze smoły, którą są froterowane podłogi w celach więziennych. Pracował tak pilnie, oblewając się potem, że nawet nie dosłyszał, jak klucznik otworzył celę i zawołał rozkazującym tonem:

— Śniadanie!

Janek schwytał naczynie, podał je, by nalano mu trochę czarnego płynu imitującego kawę. Płyn pieniał się, jakby podana kawa była cukrzona mydłem.

Drzwi celi zatrasnęły się o wiele szybciej, niż zostały otwarte — Janek podskoczył z radości, gdy się przekonał, że „pajka” chleba jest świeżego wypieku.

Miękkim kawałkiem chleba zalepił cięcie w kracie, odpowiednio naślinił to miejsce, a potem wyglądał, by wszystko doprowadzić do należytego porządku. Nawet uderzył kilkakrotnie swoją łyżką o kratę, by wypróbować odgłos. Z zadowoleniem stwierdził, że wrażenie słuchowe nie budzi najmniejszego podejrzenia.

Z kolei zabrał się do uporządkowania celi. Chodziło mu głównie o „zabicie czasu”, który dziwnie tego dnia dłużył się w nieskończoność. Wiedział nadto z doświadczenia, że gdy menta, zerknąwszy do celi, stwierdza, że więzień jest zajęty robieniem porządków, daje mu spokój.

I tak upłynęło kilka godzin. Jeszcze nigdy przedtem celi jego nie miała tak idealnego wyglądu. Asfalt połyskiwał niby zwierciadło. Następnie Janek zabrał się do mycia okna.

Strażnicy więzienni mają wprawne oko. Od razu spostrzegają, kto myje okno „dla pucu”, to jest by mieć okazję do odetchnięcia świeżym powietrzem i jednocześnie — rzuć okiem na przechodzącą ulicą kobietę — a kto myje okna z potrzeby.

I rzeczywiście, gdy Janek szeroko rozwarł obie połowy okna, strażnik pełniący wartę w budce przez chwilę bacznie go obserwował, ale wnet rozpoczął swój miarowy spacer tam i z powrotem. Klawy Janek był wspaniałym aktorem (właściwie ludzie nocy obdarzeni są do pewnego stopnia zdolnościami aktorskimi). Pilnie wycierał okno, jakby go nic poza tym nie obchodziło. Potrafił jednak niepostrzeżenie dla nikogo rozejrzeć się dokoła, a głównie poznać teren położony za parkanem i opracować w myśli plan ucieczki oraz obrać najlepszą drogę.

Dzwon więzienny oznajmił godzinę obiadu. Było zaledwie południe. Jeszcze długich czternaście godzin dzieliło go od chwili odzyskania wolności. Obliczył w myśli, ile to minut, sekund! Wieczność!...

Nerwowo krążył po celi. Wreszcie drzwi się otwały. Litr „*salamachy*” przelał się z kółka do jego miseczki. Specyficzny zapach, którym w pierwszych dniach pobytu w więzieniu dusił się, zaległ jego celę. Będąc już myślą na wolności, stracił apetyt do obiadu więziennego. Ze złością wylał obiad do kubła. Nie odczuwał głodu. Był nasycony myślą o wolności i ukochanej Anieli, którą jeszcze dziś w nocy tulić będzie w swoich ramionach...

Na myśl o tym, zmysły brały go w niepodzielne władztwo, żądza go opanowała do utraty przytomności. Ale jedno spojrzenie na kratę starczyło, by odzyskiwał powoli spokój. Musiał o czymś ważniejszym pomyśleć, chociaż i ten problem jest jednym z najaktualniejszych w więzieniu...

Zastanawiał się teraz nad dwiema rzeczami: jak przebyć dzielący go jeszcze od ucieczki czas, by nie dostać ataku szału, oraz czym poczernić cięcie w kracie, które niedawno zalepił. Chleb wysechł i jeszcze dobitniej uwidaczniał to miejsce. Ale oto Janek wpadł na świetny pomysł.

Pociągnął za dzwonek przy drzwiach. Z bijącym sercem oczekiwał zjawienia się strażnika. Wnet drzwi celi się otworzyły i Janek wyciągnąwszy się niby żołnierz na baczność zameldował w myśl przepisów więziennych.

— Po coś dzwonił? — zapytał dozorca więzienny ostro i nie bez podejrzenia. Spostrzegłszy jednak idealny stan celi i odbicie własnej twarzy w połyskującej podłodze asfaltowej, zauważył łagodnie:

— Ot, to co innego! Zaczynasz mi się podobać! Będą z ciebie ludzie...

Janek odparł z szacunkiem:

— Przekonałem się, że swoimi kawałami niczego nie wskóram. Trzeba pogodzić się z reżymem więziennym. I tak czekają mnie długie lata pobytu w celi.

— Masz jakieś życzenie?

— Chciałbym prosić o papier i atrament... Muszę napisać prośbę.

— Do kogo?

— Do sędziego śledczego.

— Po co?...

— Postanowiłem przyznać się do winy.... Muszę opowiedzieć całą prawdę.

— Słusznie! Prawdą człowiek zawsze zwycięża! — zawołał klucznik rozentuzjasmowany.

— I tak, widać, nie wykręcę się, więc niechaj już mój proces odbędzie się wcześniej.

— Słusznie. A gdy będziesz już odsiadywał karę, będziemy mogli cię zabierać na roboty i nie będziesz całymi dniami tłukł się w czterech ścianach celi więziennej. Dobre zachowanie się więźnia prowadzi do tego, że przenosi się go do ogólnej celi, w której przebywa dwadzieścia i więcej osób. Zawsze jest różniej i weselej.

— Właściwie dlatego postanowiłem przyznać się do winy. Chwilami odnoszę wrażenie, że oszaleję w tej separacie.

Dozorca więzienny wyciągnął z kieszeni notes i po skontrolowaniu odnośnego ustępu, rzekł:

— Według przepisów prośby do władz można kierować po pierwszym.

Klucznik zamierzał już zatrzasnąć drzwi, ale Klawy Janek ponowił swoją prośbę:

— Panie dozorczo, dziś mamy zaledwie siódmego. Można przecież postradać zmysły do następnego pierwszego. Sędzia śledczy powiedział mi, że każdej chwili mogę go tu wezwać, o ile tylko postanowię przyznać się do winy.

— W takim razie opowiem o tym naczelnikowi więzienia.

Wkrótce potem na polecenie inspektora klucznik przyniósł Jankowi papier do pisania i atrament.

Janek powiódł ręką po czole, jakby tym ruchem mógł ułatwić sobie powzięcie decyzji co do dalszego postępowania. Przede wszystkim zabrał się do pisania prośby, wyczuwając instynktownie, że klucznik szpieguje go przez „wizyterkę”.

„Co pisać?” — łamał sobie Janek głowę. Wnet na jego twarzy zakwitł szelmowski uśmiech.

Napisał go następuje:

„PROŚBA

Klawego Janka, więźnia śledczego na Pawiaku.

Pełen pokory i ze złamanym sercem ośmielał się zwrócić do Pana Sędziego śledczego z następującą prośbą:

Obrzydło mi życie w separacie. Nie mogę tu dłużej wytrzymać. Postanowiłem przyznać się do wszystkich przestępstw, które są mi zarzucane. Pan Sędzia śledczy miał słuszną rację, gdy twierdził, że wcześniej czy później sprawiedliwość zatriumfuje.

Bardzo proszę Pana Sędziego o jak najwcześniejsze przybycie do mojej celi, gdyż pragnę opowiedzieć bardzo ciekawe szczegóły moich przewinień.

Tak mi nakazuje sumienie.

Mam nadzieję, że prośbie mej stanie się zadość.

Klawy Janek”.

Po przeczytaniu prośby Klawy Janek parsknął śmiechem. Pół życia dałby, gdyby choć przez dziurkę od klucza mógł obserwować twarz sędziego śledczego, gdy będzie czytał jego prośbę. Ledwie powstrzymywał się od spazmatycznego śmiechu na myśl o tym, jaką minę będzie miał sędzia śledczy, gdy zjawi się na Pawiaku i dowie się o wszystkim, co zaszło.

Przez kilka sekund nadśluchiwał pode drzwiami, po czym jednym skokiem znalazł się u podpiłowanej: kraty, którą w pośpiechu posmarował atramentem. Bo tylko w tym jedynym celu, aby móc posmarować czernidłem cięcie, oblepione świeżym kawałkiem chleba, Klawy Janek wymyślił tę historię.

Znów poddał się rozmyśleniom na temat bliskiej ucieczki.

— O, jakbym już chciał dożyć nocy!!

Zegar więzienny wybił godzinę czwartą popołudniu. Pozostało zaledwie dwie godziny do apelu i kontroli.

— Gdyby tak już było po wszystkim!...

Wodzi błędnym wzrokiem po celi. Czym tu „zabić” czas?

Naraz staje pośrodku celi i zaczyna liczyć cegły w wysokim kominie fabrycznym elektrowni więziennej. Ale wnet porzuca tę pracę i kładzie się na asfaltową podłogę, by ją nacierać rozżarzonymi rękami. Gorące krople potu ściekały mu teraz z czoła na zimną podłogę.

A zegar posuwał się naprzód. W stanie wzrastającego podniecenia Janek spożył kolację. Jeszcze pół godziny czasu pozostało do kontroli. Te pozostałe minuty wyczekiwania sprawiały mu nieuduszony ból. Wyjął podobiznę Anieli, na odwrocie której widniał napis: „W chwilach zwątpienia i rozpaczki wspomnij o mnie” — i przywarł ustami do podobizny ukochanej. I w duszę jego wstępowała nowa nadzieja. Namacał ręką rewolwer. Doznał przypływu siły, jakby za nim stał silny oddział uzbrojony i gotowy do walki za jego wolność.

Przypomniawszy sobie, że już czas na wystawienie ubrania aresztanckiego na korytarz. Do jego uszu dolatują odgłosy uderzeń w kraty okienne. Zbliżały się decydujące chwile. Naprędcie zrzucił z siebie odzież. Naładowany rewolwer ukrył w koldrze.

Uderzanie w kraty staje się coraz wyraźniejsze i — to znak, że kontrola zbliża się. Obliczał teraz w myśli, że kontrolowano celę 228, a potem 229, a oto już stanęli przy celi 230. Drzwi jego celi rozwarły się... Okrzyk bólu zamarł gdzieś w jego podświadomości. Tym razem kontrolował cele jeden z najsurowszych dozorców. Tajemniczy głos szeptał Jankowi:

„Jesteś zgubiony”.

Klawy Janek wyszedł na korytarz, w myśl przepisów, i oparł się o mur obok swej celi na czas trwania „kontrolki”. Śledził każdy ruch klucznika. Oczy przesłaniała mu mgła. Prawie nic nie widział. Tylko każdorazowe uderzenie w kraty więzienne spadało na niego niby obuchem po głowie. „Kontrolka” trwa zaledwie kilka sekund, ale te sekundy wydawały mu się nieskończonością. Stał nieruchomy i przybity do miejsca, jakby zastygł na wieki.

A klucznik uderzał powoli, systematycznie. Kraty odpowiadały miarowo i głośno. Odnosiło się wrażenie, jakby ta muzyka ponurych tonów napawała dozorcę więziennego niewysłowioną rozkoszą.

— Dyń, dyń!...

Silny dreszcz wstrząsa Jankiem. Kurczowy zamyka oczy... Ręka klucznika opuściła się na „operowaną” kratę. Silne uderzenie rozlega się w celi, wywołując wstrząs w mózgu aresztanta.

Klucznik mruknął coś pod nosem i jeszcze raz mocno uderzył w to samo miejsce. Janek już był gotów do skoku, by spod koldry wydobyć rewolwer. Ale w tej samej nieomal sekundzie klucznik schodzi ze stołu, na którym wydzwaniał najokropniejsze tony dla Janka. Dozorca objął okiem całość celi, wreszcie wycedził ostro, przez zęby:

— Włazić!

Janek, silnie wzruszony, podniósł ręce w górę, jakby tym ruchem chciał podziękować niebiosom, a z oczu trysnęły mu łzy wielkiej radości.

Gdy minęły pierwsze wrażenia doznanych emocji, uświadomił sobie, że czeka go jeszcze osiem godzin pobytu w celi. Dopiero o 2 w nocy miał stąd zwiać.

Janek rzucał się niespokojnie na posłaniu. A gdy zegar więzienny wybił godzinę dziewiątą wieczorem, krzyknął z bólu:

— Jeszcze cztery godziny!

Więzienie zaległa niezmacona cisza. Nawet donośne zazwyczaj chrapanie więźniów tej nocy, jakby na złość, ucichło. To jeszcze silniej podniecało Janka. By przedrzeć śmiertelną ciszę, głośno chrząknął. Wielokrotne echo przebiegło dziedziniec więzienny i zamarło gdzieś w kącie...

Janek wyostrzonym słuchem podchwycił ciche kroki nocnego strażnika i natychmiast rzucił się na posłanie. Rozległ się zgrzyt przekręcanego kontaktu i zabłysło światło. „Wizyterka” we drzwiach została odsunięta. Szare, niby kocie oko, wsunęło się przez otwór i przejrzało celę na wylot, by po chwili zniknąć w ciemnościach, które znów zaległy dokoła.

Teraz Klawy Janek był pewny, że tak prędko zdradzieckie oko klucznika tu nie zajrzy. Wstał z łóżka i położył rewolwer na stół. Zegar wybił godzinę dwunastą w nocy.

Klawy Janek ujrzał, jak nastąpiła zmiana warty pod oparkaniem więzienia, przy czym rozprawdzający posterunkiem oświadczył:

— Miejcie na uwadze cele 103 i 230.

Janek wyciągnął stąd logiczny wniosek, że nie jest tu wyjątkiem i że w tym więzieniu mają jeszcze jednego na oku.

Znów opanowało go uczucie zwątpienia. Wszystko wypadło mu z rąk. Pożerała go gorączka czynu. Z wielką rozkoszą napił się zimnej wody. Uczucie zimna przywracało mu spokój. Zabrał się do pracy.

Przed wszystkim przygotował „linę”, po której miał się spuścić z okna w dół. W tym celu rozpostarł prześcieradło, wykonane z chłopskiego płótna. Był zadowolony z tej „swojskiej” produkcji; płótno było mocne i można było spodziewać się, że wytrzyma ciężar człowieka. Janek postanowił jednak wypróbować wytrzymałość płótna. Zaczepił prześcieradło o brzeg łóżka i z całych sił pociągnął. Można mu zaufać. Taka była jego decyzja.

Zegar więzienny wybił raz jeden. Janek w zdenerwowaniu nie mógł ustalić, czy to zegar wybił na znak wpół do drugiej czy pierwszej po północy, żałował, że już podarł koc. Co uczyni, gdy menta jeszcze raz zajrzy do jego celi?

Janek machnął ręką, jakby już na niczym mu nie zależało. Niech się stanie, co się ma stać!... Teraz musi doprowadzić rozpoczęte dzieło do końca!

Pośpiesznie owijał się w kawały czarnego sukna.

Wreszcie zegar wybił godzinę drugą.

Serce Janka zaczęło walić z całych sił. To był marsz radości i strachu na cześć tego, co miało nastąpić.

Jednym skokiem znalazł się na stoliku przy oknie. Znów zmieniła się warta. Przeczekał chwilkę i otworzył okno.

Natężył mięśnie, by wyjąć podpiłowaną kratę. Okazało się, że trzeba ją było jeszcze podrzynać. Dopiero potem ustąpiła. Skasował ją.

Odetchnął z ulgą. Ucieczka w pięćdziesięciu procentach udała się.

Przywiązał „sznur” do kraty i za jednym zamachem opuścił się w dół. Stopą dotknął ziemi odgradzonej od świata wolnych ludzi wysokim parkanem.

Strażnik nerwowo kręcił się przy budce na parkanie tam i z powrotem, Janek na dole wyczuł, że „menta” na górze nie mniej jest podniecony od niego. Na czworakach poczołgał się do węgła, gdzie przy budce „menty” zwiślał już „wąż”. Bez namysłu Janek uczeplił się sznura.

Ale oto stało się coś nieprzewidzianego; sznur się urwał i Janek zwałił się z powrotem na dziedziniec więzienny.

Nie odczuwał teraz bólu, chociaż dotkliwie się potłukł. Naraz nadzieje uzyskania wolności pękły, niby bańki mydlane... Ujrzał siebie w wyobraźni zakutego w kajdany i wtrąconego do ciemnego lochu. Wzrok jego spoczął przez chwilę na oknie celi, do którego przywiązany był sznur, podrzucany w różne strony podmuchem wiatru. Wydawało mu się, że lada moment jego celę zaleje światło elektryczne, ustalą, że zwiął i — wybiegną na podwórze, i pochwycą.

Ścisnął w rękę rewolwer.

„Teraz — pomyślał — pozostało mi tylko jedno: wpakować sobie kulę w łeb”.

I w momencie, gdy już przykładął lufę rewolweru do skroni, usłyszał nad sobą syknięcie: „tsss”. Prawie jednocześnie poczuł coś twardego na głowie. To „menta” spuścił mu sznur.

Po chwili był już na parkanie, a w minutę później — znalazł się po tamtej stronie — na wolności!

Potłuczony i oszołomiony tym, że kilkakrotnie zawisł między śmiercią a życiem, nie wiedział, co się z nim działo. Trzej osobnicy otuleni w czarne płaszcze deszczowe porwali go natychmiast jak dziecko i zanieśli do oczekującego auta, nie wymawiając ani słowa. Janek był bezsilny i pozwalał ze sobą czynić wszystko, co chcieli. Odnosił wrażenie, jakby śnił.

ROZDZIAŁ XVIII

Cichymi uliczkami Poznania sunęła pod osłoną nocy limuzyna z pogaszonymi reflektorami.

Za miastem, w uroczym zakątku, wśród drzew i kwiecica, położona była luksusowa willa bogatego przemysłowca. Nikt w pobliżu nie znał pochodzenia ani przeszłości właściciela tej posiadłości. Jego zewnętrzna prezencja i imponujące, tajemnicze gesty zamykały usta nawet tym, którzy skorzy byli do zmyślenia plotek uwłaszczających jego osobie.

Tylko tyle wiadano o właścicielu tej willi, że więcej przebywa za granicą niż w swej posiadłości.

Wysoki mur okalający tę nowoczesną willę bronił dostępu do niej z wszystkich stron. Wysoki, barczysty dozorca z zawieszonym na piersiach dużym zegarem kontrolnym warował całą noc na terenie willi. Pomocne mu w tym były dwa wielkie psy.

Auto zatrzymało się przed żelazną bramą wmurowaną w ogrodzenie. Specjalny sygnał, który służył jako umówione hasło, spowodował, że wrota natychmiast otwarły się i auto bezszelestnie prawie wtoczyło się do ogrodu.

Psy przyjaźnie obstały jednego z trzech przybyłych dżentelmenów, głośno szczekając na powitanie.

Na zlecenie gospodarza służba przejęła chorego, którego zanieśli na rękach z największą pieczołowitością. W ślad za chorym, z tyłu, szedł młody człowiek odziany w elegancki strój sportowy. Czapkę sportową miał jednak tak zsuniętą, by nie można było dostrzec jego twarzy. Dopomogły mu w tym: umyślnie podniesiony kołnierz i duże rogowe okulary.

W kilka minut później chory spoczął w wielkim, luksusowym łóżku, które stało w dużym, nowoczesnie urządzonej sypialni.

Wszyscy trzej przez kilka chwil stali w milczeniu, przysłuchując się mowie chorego, który wyrzucał z siebie słowa w gorączce:

— Oto ona idzie... widzę go... Strzelaj!.. Dajcie mi atrament!...

A po chwili znów wołał:

— Dajcie mi sznur... Błagam was! Schwytajcie go!... Zabierzcie kraty!... Błatny mental!...

Zebrani rozglądali się bezradnie. Jeden z nich, jak to było nietrudno domyśleć się — Krygier — rozkazał wszystkim, by opuścili pokój. Jedynie młodzieniec pozostał przy łóżku chorego, płacząc na głos. Krygier po ojcowsku uspakajał młodego człowieka:

— Płaczem nie dopomożemy mu. Pójdę po lekarza. Niech się stanie, co się ma stać. Z więzienia wydostaliśmy go, by tu, na wolności skończył nawet bez pomocy lekarskiej? O, nie!

— Ratujcie go! Ratujcie go! — rzucał się młodzieniec Krygierowi do nóg. A z jego ust wydobył się bolesny krzyk: — Nie przeżyję tego! Przecież on mnie nawet nie poznaje!

— Bądź spokojna! Niebawem sprowadzę tu najlepszego lekarza! Przebierz się, może wówczas cię rozpozna!

— Czy nie ryzykujesz zbyt wiele? — zapytała zrozpaczona Aniela. — Lekarz może zainteresować się zajściem. A może go rozpozna z fotografii, którą reprodukowano prawie we wszystkich dziennikach? Wydaje mi się, że zaniemógł na zapalenie mózgu! — wybuchnęła na nowo płaczem.

— Wystarczy tych łez! — stanowczo zareagował Krygier. — Kobieta nigdy nie przestaje być sobą: płacze i tylko płacze. Wstydzilibyś się lepiej, ty, córka Staśka „Lipy” i narzeczona Klawego Janka! Powinnaś być inna niż zwykłe kobiety!

— Cóż mam poczuć, kiedy serce pęka mi z bólu? Spójrz, jak go spała gorączka!

Zaraz po jego odejściu Aniela przekręciła klucz w zamku i błyskawicznie zrzuciła z siebie ubiór męski. W mgnieniu oka przystojny młodzieniec zamienił się w urodziwą pannę.

Przez chwilę przyglądała się zniecierpliwionej twarzy Janka. Oczy jego dziwnie wpatrywały się w sufit, jakby zdradzały upór szaleńca.

Uklękła przy łóżku i szeptała mu prawie do ucha:

— Janeczku, najdroższy, najukochańszy...

Ale chory nie słyszał tych słów. Pozostawał jakby w innym świecie. Z jego piersi wydarł się okrzyk:

— Nie chcę więcej!... Zabierzcie kajdanki!... Wolności!... Wody!...

A potem wybuchł spazmatycznym płaczem, który w kilkanaście sekund później zamienił się w histeryczny śmiech. Dreszcz zgrozy przebiegł ciałem Anieli.

W pewnym momencie chory usiłował zeskoczyć z łóżka, wołając na głos:

— Nie chcę więcej siedzieć w więzieniu!...

Aniela z całych sił stawiała opór. Przez dłuższy czas szamotał się z nią, później legł na posłaniu na wół omdlały.

Ciszę przerwało pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytała nie bez strachu.

Rozpoznawszy głos Krygiera, otworzyła drzwi. Półmrok sypialni przecięła jasność dnia.

— Córku — rzekł Krygier, dając Anieli do zrozumienia, że winna odegrać rolę jego córki — przybyłem w towarzystwie doktora.

Starszy, elegancki pan z małą walizką w ręku ledwo uklonił się na powitanie.
Zapalono większe światło.

— Chorego trzeba odwieźć do kliniki.
— Co?! — zawołali prawie wszyscy jednocześnie, wstrząśnięci tym orzeczeniem.
— O ile pragniecie, by pozostał przy życiu, nie ma innego wyjścia — powołał lekarz swoją decyzję.

Aniela wybuchnęła płaczem. Krygier odezwał się:
— Panie doktorze, to niemożliwe, bo nie chciałbym, aby matka chorego, której jest jedynakiem, dowiedziała się o tej katastrofie samochodowej.
— Hm... Skoro tak — oświadczył lekarz — będę musiał zwołać konsylium.
— Po co? Mamy do pana doktora całkowite zaufanie. Oddajemy chorego pod pańską opiekę.
— Dziękuję — odrzekł doktor — ale nie mogę wziąć na siebie całkowitej odpowiedzialności. Orgazm chorego, co prawda, jest silny, ale gorączka jest bardzo wysoka.

Lekarz wyjął notesik i począł notować:
W pokoju zaległa cisza, gdy naraz chory zaczął krzyczeć:
— Wołkow!... Dawaj *cyng!*... *Blatny mental!*... Nie zamordowałem policjanta!...
Lekarz zbliżył się do chorego, jakby nie chciał uronić ani słowa z tego, co teraz wyrzucał w malignie. Obecni porozumiewali się spojrzzeniami. Chory znów zaczął krzyczeć:
— Dajcie mi spluwę!... Muszę odzyskać wolność!... Anielo!... Ty, „Lipa”, won stąd!...
Na doświadczonej twarzy lekarza zaigrał ledwie dostrzegalny uśmiezek ironiczny...
— Chory musi mieć absolutny spokój. Za dużo ludzi przebywa w tym pokoju.

Obecni wysunęli się z sypialni i przeszli do następnego pokoju. Aniela chciała pozostać przy Janku, lecz doktor jej zabronił.

Gdy pozostał sam na sam z chorym, doktor wpił się w jego twarz swym wzrokiem, jakby chciał wyczytać z niej niepokojącą go tajemnicę. Sytuacja sprzyjała lekarzowi, gdyż Janek znów zaczął mówić:
— Nie opłacała się robota u hrabiny? Opłacała się! Solidna była kasa, ale Janek się z nią uporał...

Doktor już nie miał wątpliwości, że ma przed sobą przestępcę. Machinalnie sięgnął ręką do kieszeni po gazetę i ledwie jego wzrok spoczął na ilustracji, umysł jego przebiegła dziwna myśl. Kilkakrotnie wodził wzrokiem to po gazecie, to po twarzy chorego. Był oszołomiony własnym odkryciem.

— Tego bym się nigdy nie spodziewał!

Chory tymczasem znów popadł w głęboki sen. Doktor zaś, rozglądając się dokoła po dziwnie umeblowanym pokoju, zastanawiał się nad tym, jak się tu wydostać.

Lekarz zaczął układać narzędzia do walizeczki i skierował się do wyjścia. Ledwie uczynił jeden krok, drzwi się otworzyły. Lekarz stanął oko w oko z Krygierem.

— Choremu sen dobrze zrobi — rzekł lekarz. — Konieczne jest dokonanie przepisanego przeze mnie zastrzyku. Wieczorem tu przyjdę, by zbadać stan chorego.

— Jestem zdania, panie doktorze — powiedział Krygier — że najlepiej byłoby, gdyby pan doktor tu został...

— Jak to pan rozumie? — rzekł ostro lekarz, a w duchu pomyślał: „Jestem zgubiony!”.

— Pan doktor pozwoli ze mną do pokoju — rzekł Krygier uprzejmie, ale i rozkazująco. — Sądzę, że pan nie będzie stawiał oporu, bo z zasady nie tolerujemy...
Urwał zdanie i nie zdejmował oczu z twarzy przestraszonego lekarza.

— Czego pan chce ode mnie? — zawołał doktor. Ale ledwie zdążył jeszcze coś powiedzieć, prawie że siłą został wepchnięty do pokoju.

— Niech się pan uspokoi, panie doktorze! Panu tu nic nie grozi, o ile nastąpi między nami porozumienie...

— Przemawia pan do mnie tajemniczo i dwuznacznie.
— Słusznie. Najlepiej uczynimy, gdy przystąpimy do rzeczy otwarcie i szczerze. A zatem niech mi pan pokaże swoją gazetę.
— Co to wszystko ma znaczyć?
— Wymagam, by pan spełniał tu tylko te funkcje, po które pana wzywałem! Krótko i węzłowo: pan tu ma być lekarzem, a nie tajnym agentem.

— Ja... ja... — trząśł się lekarz z oburzenia — jestem profesorem uniwersytetu i nigdy agentem policji nie byłem.

Przez chwilę zapanowało w pokoju milczenie. Profesor wyjął z kieszeni gazetę i wręczył ją Krygierowi.

— A zatem panu wszystko jest wiadome — rzekł Krygier.

— Przypuśćmy, że tak — odparł profesor.

Krygier zatopił wzrok w gazecie, w której wydrukowano olbrzymimi literami nagłówek: „Sensacyjna ucieczka więźnia z Pawiaka”.

„Nocy dzisiejszej w tajemniczych okolicznościach nastąpiła z Pawiaka ucieczka międzynarodowego kasiarza Klawego Janka. Policja, zaalarmowana w całym kraju o tym zuchwałym wyczynie, rozpoczęła energiczny pościg za zbiegiem. Władze więzienne nie mogą wyjaśnić, jak to się mogło stać, że ucieczka więźnia nie została w porę spostrzeżona. Wraz ze złoczyńcą zginął bez wieści strażnik, który stał na parkanie.

Policja jest na tropie zbiega. Nadto podaje się do wiadomości publicznej, że wyznaczono nagrodę w wysokości tysiąca rubli za schwytanie lub przyczynienie się do ujęcia zbiega. Dla ułatwienia pościgu i ujęcia »Klawego Janka« reprodukowujemy tu obok jego podobiznę”.

— Hm... Pana profesora, jak widzę, skusiła nagroda 1000 rubli?

— Czy pan wierzy w to, co pan mówi?

— Może mi pan tedy wytłumaczy przyczynę, dla której pan zainteresował się bliżej osobą chorego?

— Z punktu widzenia naukowego, jako studium psychologiczne.

— I pan go nie wyda w ręce policji?

— Nigdy. Zresztą, jak pan wyczytał z gazety, policja jest już na jego tropie.

— To jest przysłowiowy styl komunikatów policyjnych... — rzekł Krygier z przekąsem. — Zapewniam pana, że nikomu nie wpadnie na myśl, iż zbieg przebywa teraz w naszym ustroniu i że spoczywa w tak wygodnym łóżku.

— Podziwiam właśnie wasz spryt. Jesteście ludźmi przedsiębiorczymi, ale co to ma wspólnego ze mną? Czego chcecie ode mnie?

— Postąpimy z panem tak, jak pan sam zadecyduje. Wszak jest pan psychologiem i studiuje pan świat przestępczy. Niechże pan nam powie, co by pan uczynił, będąc na naszym miejscu? Ale o jednym proszę pamiętać, że ten chory — tu wskazał na Klawego Janka — jest nam droższy od stu profesorów.

— Ja?... Kierowałbym się w takim wypadku rozumem, a nie sumieniem — odrzekł szczerze doktor.

— Słusznie. Czekam na pańską decyzję.

Profesor zaczął przechadzać się nerwowo pokoju. W pewnej chwili odezwał się nie bez ironii:

— Według pana muszę odegrać tu rolę waszego współnika?

— Dlaczego od razu współnika? Pańska rola winna ograniczyć się do tego, by udzielić pomocy choremu, aby jak najprędzej wyzdrowiał i mógł sam decydować o swoim losie. A my z naszej strony żyć będziemy wdzięczność.

Profesor po pewnym namyśle odparł:

— Ciekaw jestem, jak postąpicie ze mną, gdy odrzucę wasz wniosek?

— Hm... Chyba pan się domyśla, że będziemy zmuszeni zastosować środki przymusu.

— Ale panowie chyba zdajecie sobie sprawę z tego, że nie mieszkamy na odludnej wyspie, wśród ludożerców.

— Przepraszam bardzo. Jak widzę, pan profesor woli wdawać się z nami w dyskusję, a tymczasem czas nagli. Sądzę, że pobyt u nas dostarczy panu profesorowi dosyć materiału dla swoich obserwacji psychologicznych. Teraz pragnę dowiedzieć się, czy pan zostaje u nas dobrowolnie czy pod przymusem?

— Czyż mam inne wyjście do wyboru? — roześmiał się lekarz. — Jedyną mam tylko do was prośbę.

— Wszystkim pańskim życzeniom stanie się zadość, o ile, naturalnie, nie następczą nam niebezpieczeństwa.

— Zapewniam was, że z mojej strony nic wam zagrażać nie będzie. Stawiam wam tylko jeden warunek.

— Mianowicie?

— Abyście panowie byli ze mną szczerzy. Przez cały czas mego pobytu u was pragnę być traktowany jak swój człowiek.

— Zrobione. Pragnę tylko zaznaczyć — dowcipkował się Krygier — że materiał do badań przez nas dostarczony pochodzi z pierwszej ręki. Pozwolę sobie zwrócić jeszcze uwagę pana profesora na to, że opinia niektórych znawców o nas była absolutnie mylna. Po krótkim z nami współżyciu, na pewno podda pan rewizji dotychczasowe swoje poglądy na świat przestępczy.

— Zrobił pan na mnie wyrażenie wykształconego człowieka. Jak pańska godność?

— Nazywają mnie różnie. Tu, w Polsce nazywam się Frank.

— A więc, panie Frank, pragnę wyłuszczyć moje życzenie. Chcę pojechać na dwie godziny do domu. Wszak żona i dzieci będą zaniepokojone moją dłuższą nieobecnością i tajemniczym zniknięciem. Muszę ich uprzedzić, że wyjeżdżam na kilka dni. Sądzę, że to leży również w waszym interesie, aby nie wszczynano za mną alarmujących poszukiwań. Nadto muszę zaopatrzyć siebie w odnośne narzędzia i lekarstwa potrzebne dla chorego i jego kuracji.

Krygier zatopił ostre spojrzenie w twarzy profesora, jak gdyby chciał przeniknąć jego myśli i zamiary na wskroś. Po czym odezwał się:

— Panie profesorze, czy mogę odnieść się do pańskich słów z zaufaniem?

— Słowo honoru daję wam, że po upływie dwóch godzin znajdę się ponownie wśród was.

— A ja panu daję nasze słowo złodziejskie, że będzie pan z nas zadowolony.

— Czy wolno zapytać o rolę, jaką ta panna odgrywa w waszym otoczeniu? — wskazał lekarz na Anielę.

Aniela wybuchnęła w tej chwili płaczem:

— Ratuj go pan, panie profesorze! Będę panu wdzięczna przez całe życie!

— Znów płaczesz! — zawołał Krygier. — Panie profesorze, skąd się bierze tyle łez u kobiet?...

— Kobiety dlatego tyle płaczą, bo my, mężczyźni do tego je zmuszamy. One popłakują i za nas. Ich serca są wrażliwsze od naszych.

— To tylko fałszywa teoria — odparł Krygier.

Na pożegnanie lekarz uściśnął ręce Anieli i Krygiera, po czym jeszcze raz zapewnił ich:

— Punktualnie o dziewiątej wieczór powrócę do was!

Na wiadomość o tym, że wezwany lekarz opuszcza willę, Moryc dostał ataku furii.

— Jak możesz polegać na danym przyrzeczeniu? On nas wyda w ręce policji!

Krzyki Moryca przebudziły Janka, wobec czego Krygier wyszedł z nim z pokoju.

Janek otworzył szeroko oczy i zawołał słabym głosem:

— Gdzie jestem? Kto to?

— To ja jestem, ja, twoja Aniela!... — rzekła doń pieszczotliwie.

— To ty, Aniela?... Ty, najdroższa?...

— Tak... — zamknęła jego usta pocałunkiem. — Jak się czujesz, najukochańszy? — głaskała jego czuprynę.

— Jestem szczęśliwy, że znów przy mnie siedzisz...

Naraz Janek zauważył Krygiera, który ustawił się w ten sposób, by chory nie mógł go spostrzec. Janek utkwiał w nim wzrok i zapytał:

— Krygier, to ty?

— Tak, przyjacielu — uściśnął jego dłoń.

— Jemu zawdzięczasz wolność — rzekła Aniela.

— Siadaj bliżej mnie — zawołał Janek. — Od razu skapowałem, że umożliwienie mi ucieczki jest zasługą jednego ze starych i wypróbowanych przyjaciół. Czymże się odwdzięczę?

— Wyzdrowieniem — odrzekł Krygier.

— Nie nadwerężaj sił — prosiła Aniela Janka spokojnie.

Krygier opuścił pokój chorego i zwołał kompanów na nagłe zebranie w zakonspirowanych podziemiach willi. Zebranie odbyło się w izbie bez okien. Ściany były wyściełane filcem i udekorowane pamiątkami różnych wypraw złodziejskich. Było to jednocześnie muzeum złodziejskich narzędzi pracy. W kącie stała kasa ogniotrwała według konstrukcji Krygiera.

— Ha, ha, ha — śmiał się Moryc — wypuściłeś go na „słowo honoru”. A czy frajerzy nam ufają na słowo?

Dyskusję tę przerwał służący, który zameldował, że przed furtką stoi pewna dama, która chce się tu dostać.

— Czy dała *cynę*? — spytał Krygier, pozostawiając uwagi Moryca bez odpowiedzi.

— Tak — odrzekł służący.

— Jaki?

— „Rej”!

— Wpuścić! — padł rozkaz Krygiera.

W kilka minut po tym obecni przywitani swoją znajomą, która ostrzegła ich w hotelu przed dokonaniem planowanego włamania. Była tak ubrana i ucharakteryzowana, że czyniła wrażenie starszej o 20 lat niż w rzeczywistości. Ale wnet zrzuciła z siebie zbyteczną odzież i odświeżyła twarz.

Z kolei przybyła przystąpiła do zdania relacji z nałożonych na nią obowiązków.

— Co uczyniłaś z mentą więziennym?

— Już jest za granicami kraju. Jeszcze wczoraj znalazł się po tamtej stronie...

— Świetnie. Ile kosztowało?

— Mam jeszcze resztę.

— Co słychać w warszawskiej „gorzelni”?³⁷

— Tam panuje popłoch. Potracili głowy. Podobnej ucieczki jeszcze nie było. Ale za to w naszym świecie radość panuje niebywała. Są zachwyceni tą robotą.

Krygier wyjął z kieszeni złotą bransoletę wysadzaną brylantami i wręczając ją sprawodawczyni, rzekł:

— To w dowód, że jesteś odważną kobietą. Gdyby w naszym świecie były ordery, otrzymałabyś najwyższe odznaczenie za plan wykradzenia Janka. Gdyby nie ty, gnąłby jeszcze dziś za kratami.

— A teraz pamiętajcie o tym — ciągnął dalej Krygier pod adresem Antka i Felka — że dziś jeszcze o czwartej po południu powinniście wyruszyć w drogę. Macie bezpośrednią komunikację kolejową do miejsca przeznaczenia. Mam do was zaufanie, że nie ukryjecie przed nami łupu. O ile dobrze wywiążecie się z zadania, zostaniecie naszymi stałymi współnikami. Zamierzam coś nowego, ale teraz jeszcze nie pora o tym tu mówić.

Gdy po pożegnaniu się Antek i Felek opuścili salę obrad, jedyna uczestniczka posiedzenia zauważyła:

— Żal mi tych chłopców. Złote serca mają.

— Nie możemy się z tym liczyć — odparł krótko Krygier. — Kogoż mielibyśmy tam wydelegować? Przecież prawie jeszcze nie zakosztowali chleba więziennego. Nie szkodzi, mogą zaryzykować.

— Ale ta robota wszak w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach jest skazana na niepowodzenie — zauważył Moryc.

— To ich rzecz. W razie powodzenia przyniosą prawdziwy skarb. Trzeba ich właśnie wypróbować, czy nadają się na moich współników.

Moryc spojrział na zegar i zawołał przerażony:

— Już po dziewiątej, a doktora jakoś nie ma!

— Przyjdzie! — odezwał się Krygier, choć już tracił pewność siebie.

— Któż wątpi, czy przyjdzie? — ironizował Moryc. — Pytanie tylko, czy sam czy w towarzystwie...

Ale akurat w tym momencie zameldował służący, że profesor wrócił. Wszyscy przeszli do pokoju chorego. Na widok profesora Moryc zawołał w języku angielskim:

— Z pana prawdziwy dzentelmen!

³⁷gorzelni — urządzenie śledczym. [przypis autorski]

— Pan ma świetną wymowę angielską. Czy pan jest Amerykaninem? — zapytał profesor. — Czy zna pan wiele obcych języków?

Krygier wtrącił się do rozmowy i rzekł z uśmiechem:

— Władamy i takimi językami, o których pan nawet nie marzył...

W pokoju zapanował wesoły nastrój. Aniela pomagała profesorowi w rozpakowaniu walizeczki, którą przyniósł ze sobą. Obecni zauważyli, że przywiózł ze sobą piżamę i inne drobnostki, potrzebne na pobyt kilkudniowy poza domem.

Spostrzegłszy, że chory siedzi i przypatruje się spokojnie wszystkiemu, co się dzieje dookoła, lekarz stwierdził:

— Niebezpieczeństwo już minęło.

Przy łóżu chorego przez cały dzień czuwała Aniela i... Moryc, którego, oczywiście, nikt nie podejrzewał, że jest przykuty do łóżka Janka dla Anieli, w której zakochał się na zabój. Wiedzano w tym gronie, że Moryc przybył tu z Ameryki jedynie dla wyciągnięcia Janka z więzienia i nikt nie przypuszczał, że w duszy miał plan odbicia Jankowi Anieli...

Prośba Janka, którą wystosował z celi więziennej jedynie po to, by mieć pretekst do skorzystania z atramentu, została doręczona sędziemu śledczemu. Nie trudno się domyśleć, że sędzia był oszołomiony nagłą decyzją Janka.

Nazajutrz o dziewiątej rano zjawił się w kancelarii więzienia. Jakże wielkie było jego zdziwienie, kiedy w odpowiedzi na żądanie natychmiastowego wprowadzenia „Klawego Janka” usłyszał, że niestety jest to niemożliwe.

— Jak to niemożliwe?

— „Klawy Janek” opuścił nas... — wyjaśnił nieśmiało inspektor więzienny.

— Co?...

— Tak, tej nocy uciekł nam...

Krew nabiegła mu do twarzy, a w oczach zapłonęły złe ogniki! Nie mógł panować nad sobą. Ciskał gromy na zarząd więzienny i strażników. Groził karą i surowym dochodzeniem. Ponosiło go. Pobiegł do celi, by się naocznie przekonać, że tam Janka nie ma.

Ledwie przekroczył próg celi, jęknął głucho. To co tam ujrzał, przekraczało jego fantazję. Na ścianie widniał rysunek przedstawiający Janka, który pokazuje sędziemu dwie „figi”.

— Żywego lub martwego, ale dostać go musimy w swoje ręce! — pinił się ze złości.

Była to pora śniadania. Więźniowie, którzy w związku z rozdawnictwem chleba krzatali się na korytarzu, nie ukrywali radości na widok ciskającego si sędziego śledczego i na odgłosy jego przekleństw i pogróżek. Lotem błyskawicy rozniosła się po celach więziennych wieść o sensacyjnej ucieczce „Klawego Janka”, budząc wszędzie podziw i poklask.

Sędzia śledczy opuścił gmach więzienny złamany i rozgoryczony.

Podobny nastrój zapanował w Urzędzie śledczym na wiadomość o zawitym wypadku na Pawiaku.

Pierwszy o tym dowiedział się Wołkow, który za schwytanie „Klawego Janka” zaawansował na aspiranta policji. Był tą wiadomością oszołomiony.

Udał się do celi, w której Janek spędził ostatnią noc. Staranne oględziny przeciągały się. Wołkow drobiazgowo badał każdy sprzęt. Z lupą oglądał nacięcie w kracie. Jego pomocnicy, wywiadowcy, za plecami zamieniali szydercze spojrzenia na temat przesady, w jaką ich szef zawsze popadał...

Po nitce do kłębka Wołkow posuwał się z wywiadowcami wzdłuż trasy ucieczki, gdy naraz jeden z agentów, który zatrzymał się pod parkanem, zawołał:

— Panie komisarzu! Tu są ślady stóp kobiety! Co tu robiła tajemnicza dama?

Długo węszone, badano, odmierzano i postanowiono wrócić do urzędu. Wtem nadjechał komisarz policji śledczej, Żarski, który zmierzwszy ironicznym spojrzeniem Wołkowi, rzekł doń na powitanie:

— No cóż, panie aspirancie, facet znikł jak kamfora, co?

Wołkow zagryzł wargi i salutując, odrzekł:

— Moim zdaniem należy zarządzić oblławę w całej Warszawie. Wiem, że tam zbiega nie znajdziemy, ale może natkniemy się na jego ślady.

Na pierwszy ogień poszła Praga. Oblawa została w ten sposób pomyślana, by jednocześnie zaatakować wszystkie meliny i by *cyngierzy* nie mogli nikogo uprzedzić o grożącej „wsypie”. Na skrzyżowaniach ulic ustawione były gęste posterunki. Wołkow, nie wypuszczając rewolweru z ręki, kierował całą akcją.

Ucieczka Janka pozbawiła go spokoju. Domyślał się, że Janek nie przepuści okazji „wywdzięczenia” się. Im dłużej nad tym myślał, tym większy strach go oblatywał. Przypomnił sobie teraz swoją przyjaciółkę, ową brunetkę, która również nie dawała mu spokoju.

Od pierwszej chwili ich znajomości miał przeczucie, że z jej strony coś mu grozi. Była dziwnie tajemnicza. To przywiązywało go do niej i potęgowało w nim uczucie zazdrości. Ale miewał chwile, kiedy żałował tej zażyłości z przyjaciółką. Była zbyt wtajemniczona w jego „sprawki”, aby zdobył się na odwagę porzucenia jej. Należała do typu kobiet, które nie tak łatwo wypuszczają ofiarę ze swoich rąk. Surowy i przebiegły Wołkow w jej ręku był bezsilny. Sprytna brunetka deptała drobnymi stópkami niezłomną wolę Wołkowa, którą się tak chępił.

Niekiedy próbował buntować się przeciw niej, ale bezskutecznie. Nie ulękała się nawet jego szarzy komisarza, przeciwnie, z chwilą gdy zaawansował, postanowiła go jeszcze silniej trzymać pod pantoflem. Wolny czas spędzał z nią na dancingu, w kawiarni, restauracji i kabarecie. Wołkow domyślił się, że hulanki wzbudzają podejrzenie przełożonych, którzy wiedzieli, że pobory jego ledwie mogą starczyć na wyżywienie żony i trojga dzieci, ale nie na utrzymanie. Wołkow sprytnie się urządził: pierwszego dnia wszystkie pisma rozpisaly się o znacznym spadku, który utrzymał po matce jeszcze za jej życia...

Był tylko jeden człowiek, który z uporem śledził Wołkova, chociaż bez dodatknych wyników. Wołkow o tym wiedział doskonale, że był to komisarz Żarski, zwany „filozofem”.

Bywały jednak chwile, kiedy Wołkow nie dowierzał swojej gwiazdzie szczęścia. I teraz właśnie przeżywał podobne nastroje, kiedy kierował oblławą Pradze.

Oho, rozumiał, że Janek teraz nie da się tak łatwo pochwytać. Z bólem wspominał chwile, kiedy Janek siedział obok niego i ukochanej w barze i podsłuchiwał ich rozmowę.

— Niedobrze, ta kobieta — miał na myśli swoją „brunetkę” — ściągnie jeszcze na mnie nieszczęście!

Wołkow przystąpił do przeprowadzenia ostatniej rewizji, która miała się odbyć na melinę „Bajgele”. Spodziewał się, że tam zastanie „znajomych”, którzy niejedno będą mogli mu powiedzieć. Poleciał dwóm uzdolnionym wywiadowcom, aby pozostali w bramie, a sam udał się do meliny.

Pewny siebie Wołkow zapukał do drzwi. Przez nieco uchylone drzwi ktoś zapytał basowym głosem zdradzającym podejrzenie:

— Do kogo i po co?

— Otwórz. To ja! Nie poznajesz mnie?

Drzwi rozwarły się i obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy.

— Można się przekonać, kogo gościsz u siebie?

Bajgele bez słowa sięgnął po pugilares.

— Nie, dziś nie biorę — odtrącił jego rękę Wołkow.

— Dlaczego akurat dziś nie? Co za święto?

Wołkow energicznie pchnął go na bok, usiłując się dostać do przyległego pokoju, z którego dolatywały go gwizdy, śmiechy i krzyki rozbawionego towarzystwa. Ale Bajgele zastąpił mu drogę i jednocześnie, wsunawszy dwa palce do ust, przeraźliwie gwizdnął. Na odgłos sygnału ostrzegawczego w sąsiednim pokoju powstała panika. Słychać było, jak ludzie skaczą po stoikach i krzesłach, które przewracały się z łoskotem. Po upływie kilku chwil harmider ustał i zaległa cisza.

Przekupstwo

Bajgele z pogardą spoglądał na Wołkova.

— Czyż nie płacę ci regularnie tygodniówki?

— Zapamiętasz to sobie, ty stary galerniku!

— Albo ja zapominam? — Bajgele pociągnął głupkowato plecami³⁸. — Najlepiej o tym świadczy, że już pięć lat przebywam na wolności.

— Wystarczy ci tej wolności. Dziś będziesz się poccił!

— Nie pleć głupstw. Widzę, żeś zanadto zdenerwowany. Pamiętaj, że gdy ja się będę poccił, to i ty nie mniej ode mnie. Sądzisz, że po tym jak zaawansowałeś, możesz sobie na wszystko pozwolić? Ten awans może cię drogo jeszcze kosztować.

Wołkow zbladł.

— Więc wiecie o wszystkim?

— Nawet o tym, że wyspał go właściciel pokoi umeblowanych oraz o tym, żeś odegrał rolę szofera taksówki, którą zawiozłeś Janka do „gorzelni”. Ale wiedz teraz, że obu was czeka *dintojra*.

— Jak śmiesz do mnie tak przemawiać?

— Domyślasz się przyczyny.

— Raz na zawsze zrywam z waszym światem! Nie będę w waszym ręku ślepym narzędziem!

— Zerwać? I ja bym chciał zerwać z tym światem!... To nie jest takie łatwe i proste!

Wołkow przez jakby zastanowił się nad tym, co powiedział właściciel meliny, po czym odparł:

— Teraz muszę iść. Na dole czekają na mnie moi ludzie. Jeszcze się spotkamy. Ale na pożegnanie powiedz mi, co wiesz na temat ucieczki...?

— Jakiej ucieczki?

— Nie udawaj. Wiesz przecież, że potrafię odpłacić się za usługę.

— Szkoda fatygi. Kapusiem nie byłem i nie będę.

Gdy Wołkow wracał do urzędu, rozmyślał nad tym, co się wydarzyło w melinie „Bajgele”. W duchu postanowił, że za wszelką cenę musi zlikwidować tę bandę.

Nie odpoczywał ani przez chwilę w ciągu najbliższych dni, przeprowadzając liczne rewizje i aresztowania w świecie podziemnym.

Wołkow nie wiedział, że jego przyjaciółka znana jest w podziemiach pod pseudonimem „zimna kokota”.

ROZDZIAŁ XIX

Minęło kilka tygodni. Było już u schyłku lata. Ogród w willi Krygiera upajał zapachem przekwitających kwiatów, a pałacyk lśnił w słońcu, mieniając się tęczą barw.

W tym uroczym ogrodzie przebywało tylko dwoje ludzi: profesor i Aniela. Pozostali mieszkańcy woleli nie opuszczać murów pałacu.

Rekonwalescencja Janka posuwała się pomyślnie naprzód. Był już bliski zupełnego wyzdrowienia. Aniela, zamiast radować się, pogrążała się w coraz większym smutku. Rzadko na jej ustach zakwitał uśmiech pogody i szczęścia. W duszy staczała ze sobą ciężką walkę, która nie wróżyła nic dobrego.

Lekarz opiekował się nią teraz w większym stopniu niż Jankiem. Odbywał z nią spacer i rozmowy, okazując młodej dziewczynie współczucie ojcowskie z tego powodu, że wbrew moze swej woli musi pozostawać w tym towarzystwie. Aniela wyznała wszystko doktorowi, który był zresztą specjalistą w wydobywaniu najskrytszych myśli i uczuć, czym się bardzo interesował.

Janek dyskretnie obserwował zachowanie się profesora. Nie podobało mu się to, że lekarz prowadzi przydługie rozmowy z Aniela. W duszy obawiał się, by pod wpływem „frajera” Aniela nie porzuciła go...

Profesorowi nie brakło materiału naukowego. W dłuższych dyskusjach z Krygierem i Morycem musiał przyznać, że człowiek nie przynosi ze sobą na świat zbrodniczych skłonności. Najwięcej zainteresował się osobą Moryca, który niebawem dostarczył mu swoim zachowaniem nie lada sensacji.

Stało się to pewnej nocy.

³⁸pociągnął głupkowato plecami — raczej: wzruszył (...) ramionami. [przypis edytorski]

Moryc w myśli zastanawiał się nad planem zdobycia Anieli dla siebie. Szukał bezustannie okazji, by móc pozostać z Anielą w cztery oczy. Ale Aniela, wyczuwając kobiecym instynktem, że ze strony Moryca grozi jej niebezpieczeństwo, unikała spotkań z nim sam na sam.

Moryc jednak nie rezygnował. Starał się jej imponować i pozyskać jej zaufanie. Zamierzał jej zaproponować ucieczkę z nim do Ameryki...

I oto pewnej nocy, kiedy Janek zasnął i Aniela wróciła do swego pokoju na noc, ledwie zdążyła się ułożyć do snu, usłyszała tajemnicze szmery w swoim pokoju.

— Kto tu? — zawołała przerażona. Drżącą ręką przekreśliła kontakt i ostre światło padło na posuwającego się na palcach Moryca.

Przybyły stanął jak wryty. Ten zuchwały i bezgranicznie odważny mężczyzna załamał się pod presją karcącego spojrzenia Anieli. Nie śmiał uczynić kroku naprzód. Był zmieszany i oszołomiony, nie mogąc wydobyć głosu.

Aniela bez słowa uczyniła gest ręką, wskazując mu drzwi. Ten ruch brzmiał jak rozkaz, któremu nie można było nie ulec.

Moryc utkwiał bezradnie oczy w twarzy Anieli, padł u jej łóżka na kolana i począł wyrzucać z siebie gorące słowa miłości, a jednocześnie prośby o przebaczenie.

Aniela nie wzywała pomocy, nie odpowiedziała ani słowem na jego wyznanie. Na jej twarzy tylko odmalowała się pogarda, która mroziła Morycowi krew w żyłach.

Oburzenie Anieli wzrastało z każdą chwilą. Raptownie usiadła na łóżku, gotowa do nagłego czynu.

W tym momencie Moryc przestał panować nad sobą. Bliskość Anieli oszalała go. Zapomniał, że przed sekundą jeszcze błagał o przebaczenie. Rozwarł silne ramiona, by porwać Anielę, przytulić mocno do siebie i... —

Ale ręce jego zawisły, jakby w powietrzu. Aniela nie krzyknęła, nie uczyniła nic, coby świadczyło, że zamierza się bronić. Nie spuszczała tylko oczu z jego twarzy, a jej uśmiech szyderyczy prześwidrował jego mózg.

Chciał się oddalić, ale czuł, że nie może tego uczynić. Jakby był przykuty do miejsca. Wzrok Anieli trzymał go w niewoli i nie pozwalał się oddalać teraz na krok. Ten wzrok działał na niego niby magnes.

— Jesteś nikczemny i podły! — rzekła doń. — Idź i więcej nie waż mi się pokazywać na oczy.

Moryc opuścił jej pokój, złamany i zbesztany. Zimne poty wystąpiły mu na czole. Ledwie stanął na korytarzu, klucz w pokoju Anieli został przekreślony, gdy naraz poczuł na swym ramieniu czyjąś rękę.

— Chodź ze mną, przyjacielu, muszę z tobą o czymś pomówić — rzekł Krygier stanowczym głosem. I nie czekając na zgodę, wziął Moryca energicznie za rękę, wlokąc go niemal za sobą.

Ledwie weszli do jednego z pokoi, dwa siarczyste policzki padły na Moryca niby grom z jasnego nieba.

— Ty, dżentelmenie amerykański! — zawołał Krygier z pogardą.

— Wybacz mi, masz rację...

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co uczyniłby teraz z tobą Janek, gdyby się dowiedział o tym wydarzeniu?

— Przysięgam, że to się więcej nie powtórzy. Nie zdawałem sobie sprawy ze stanu duchowego... To były czary... psychoza... to było coś silniejszego ode mnie.

— Znam ten stan duszy — odparł spokojnie Krygier. — Chyba ci wiadomo, że wśród nas przebywa jeszcze jedna kobieta. Tamta może nie pogardziłaby tobą...

To było czymś gorszym od policzka.

Moryc milczał. Krygier ciągnął dalej:

— Straciłem do ciebie zaufanie. Przybyłeś aż z Ameryki, by ratować przyjaciela, ale byłeś tak podły, by popełnić zbrodnię, którą w naszym świecie zmywa się tylko krwią.

Moryc wpił wzrok w Krygiera, który przy tych słowach począł manipulować rewolwerem.

— Co zamierzasz uczynić?! — zawołał przerażony Moryc.

— Ja? Nic. Tylko ty! Oto masz rewolwer! Uczyni to, co my powinniśmy z tobą uczynić!...

W tym drzwi się uchyliły i profesor wślizgnął się do pokoju. Krygier powitał go uśmiechem.

— To nieładnie z pańskiej strony, panie profesorze. Pan już z nadto miesza się w nasze sprawy.

— A pan bije po twarzy zbyt głośno — odrzekł z uśmiechem przybyły.

Sprawa przyjęła teraz inny obrót. Nie trzeba chyba dodawać, że Moryc ocalał dzięki interwencji profesora, który po zlikwidowaniu zatargu z pośpiechem zanotował coś w swoim notesiku.

Krygier odzyskał dobry humor i zauważył:

— Panie profesorze, składam panu ofertę: może pan przyłączy się do naszej grupy, wierzę, że z czasem stałby się pan wcale dobrym fachowcem...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Profesor podziękował za zaufanie.

Krygier wręczył lekarzowi kilkaset dolarów za pomoc okazaną Jankowi.

— Panowie mnie obrażają — odrzekł lekarz. — Nie przyjmę żadnego honorarium.

— Profesor boi się, a nuż banknoty są sfalszowane — zażartował Moryc.

— Nie dlatego.

— Może, że pochodzą z kradzieży — ironizował Krygier. — Więc niechaj pan wie, że wszystkie waluty przesiąknięte są potem i krwią, a kasy, z których wydobywamy pieniądze przechowują właśnie skarby gromadzone cudzą krzywdą...

— Według pana nie ma uczciwie zarobionych pieniędzy?

— Przyjm pan honorarium, bo pan, panie profesorze uczciwie je zarobił.

— Ja może tak, ale panowie? Żałuję bardzo, że moja obecność nie wpłynęła uszlachetniająco na was... I dlatego będzie lepiej, gdy się rozstaniemy. Pozwolicie, że od czasu do czasu was odwiedzę.

— To będzie niemożliwe, bo jutro opuszczamy Poznań.

— Obawiacie się mnie — zauważył dotknięty profesor.

— Nie, dalecy jesteśmy od tego. Wystarczy nam pańskie słowo honoru. Uważamy jednak za wygodniejsze dla obu stron, aby nasza znajomość ustała. Willę sprzedałem i już jutro ją opuszczamy — oświadczył Krygier.

Gdy profesor żegnał się z Jankiem, wszystkich ogarnęło wzruszenie, ale wraz z zamknięciem przez dozorcę furtki willi za odjeżdżającym lekarzem, urósł dawny mur między dwoma odrębnymi światami.

ROZDZIAŁ XX

Poprzez opuszczone rolety wdzierały się promienie słońca do pokoju Janka, który już opuścił łóżko. Przeżycia wycisnęły na nim piętno wielkich zmian nie tylko fizycznych ale i duchowych.

Ale najboleśniej przeżywał przełom, jaki przechodziła Aniela. Czuł, że ją traci na zawsze, że między nimi wznosi się z każdym dniem coraz wyższa ściana, że jej stosunek do niego stopniowo słabnie. Nie mógł zrozumieć przyczyny tych zmian.

Po wyjeździe profesora Janek udał się do pokoju Anieli. Na jej widok stanął zdumiony: Aniela siedziała zapłakana i złamana.

Janek podszedł bliżej i położył rękę na jej ramieniu, ale uczyniła ruch, jakby chciała powiedzieć: „to mi pomóc nie może...”.

Janek nie zraził się tym. Postanowił dziś wyjaśnić sytuację. Próbował przytulić do siebie Anielę, która stanęła naprzeciw niego jakaś obca, dziwna. Utkwiła w nim przejmujące oczy, które go olśniły. Jego usta szeptały tylko:

— Po coś mnie wyrwała z objęć śmierci? Nie chcę takiego życia!

Janek zapłakał.. Jego mózg przebiegały dziwne myśli: Ona zakochała się w kim innym. Musi się dowiedzieć, kto wkradł się do jej serca. On już z nim...

— Nie kochasz mnie już? — wyjąkał i osunął się na fotel.

Aniela zbliżyła się doń. Litość malowała się na jej twarzy. Pochwylił jej rękę i przywarł do niej ustami. Aniela wzdrygnęła się. Nie miała odwagi wyrwać ręki. Ale gdy Antek usiłował ją objąć, odskoczyła odeń. Był tym oszołomiony.

Pieniądz, Krzywda

— Po cóżes mnie wykradała z celi więziennej? Nie warto było... — dodał z gorzkim uśmiechem. — Może mi wytłumaczysz dziwną przyczynę twego zachowania się? Czy wyrządziłem ci jakąś krzywdę?

— Kochałam cię, bo sądziłam, że uda mi się cię przerobić, że będziesz innym człowiekiem. Ale teraz już wiem, że twój los jest przesądzony.

— A więc dlatego?

— Spędziłeś noc w podejrzanym hotelu na Pradze, skąd podstępem sprowadzono cię na policję. Jak mogłeś wobec mnie w ten sposób postąpić?

— Przysięgam, że to kłamstwo, nieprawda. Teraz raczej ty wyznaj mi prawdę, kto ci zawrócił głowę: profesorek czy Moryc? Wy, kobiety!...

Na dźwięk imienia „Moryc” rumieńce wystąpiły na twarzy Anieli.

— Jak śmiesz mnie o to podejrzewać?

— Zakochanemu najdziwniejsze pomysły przychodzą do głowy.

— Więc wybij to sobie z głowy. Czy ty w ogóle wiesz, co to miłość?

— Zależy, jak sobie wyobrażasz nasze życie.

— Bardzo prosto — odparła Aniela spokojnie — bez policji i więzienia. By pędzić żywot szczęśliwy i spokojny, należy unikać wszystkiego, co kryje w sobie niebezpieczeństwo i niesie cierpienie. Tymczasem, od chwili gdy cię poznałam, nie byłam wolna na sekundę od niebezpieczeństwa. Ile już zdążyłam z twego powodu przecierpieć?

— Znać po tobie wpływ rozmów i dyskusji z profesorem. Filozofujesz?

Aniela zbliżyła się do niego. W oczach ukazały się jej łzy.

— Powiedz mi naprawdę, czyś bawił w hoteliku na Pradze z kobietą?

— Nie. To oszczerstwo. Tylko cię kocham. Gdyby nie ty, dawno skończyłbym ze sobą.

— Po co „ze sobą”. Lepiej z tym sposobem bytowania.

— Już nie mam odwrotu, wszystkie drogi są dla mnie odcięte.

Siedzieli przez dłuższą chwilę przytuleni do siebie. W duchu pomyślała sobie, że Janek mógłby zostać porządnym człowiekiem, tylko że świat mu to uniemożliwia. Życie go nie oszczędzało...

— A czy ty wiesz — zapytała naraz — że i ja uczestniczyłam w akcji wykradzenia cię z więzienia? Byłam pod parkanem więziennym w przebraniu mężczyzny.

— Ty, moja! — podskoczył w zachwycie. — Uczyniłaś to dla mnie?

— Tak. Moja miłość do ciębie uwikłała mnie w pierwszy konflikt z kodeksem karnym. Jak widzisz, już nabrałam kwalifikacji na przestępczynię... — uśmiechnęła się gorzko. — Moglibyśmy być szczęśliwi, gdyby nie twoja przeszłość... — jęknęła z bólu.

Cisza zaległa w pokoju. I choć nie mówili ze sobą, rozmowa ich trwała w duszy, w myśli i w pewnej chwili Janek zawołał:

— Powiedz, czego chcesz? Rozważ, a życie poświęcę dla ciębie! Co mam uczynić, abyś była szczęśliwa? Może chcesz, wyjedziemy stąd daleko, hen, za oceany, gdzie cywilizator-człowiek nie stanął jeszcze stopą na ziemi, tam, gdzie nie obowiązują kodeksy karne, gdzie będziemy mogli żyć w wolności i miłości.

— To fantazje! Dziecinada! Łudzisz się naiwnymi wyobrażeniami o przyszłości! Gdy ciębie poznałam, również poddawałam się złudzeniom, ale życie jest silniejsze od nas. Największe twoje ofiary nie dadzą mi szczęścia. Najlepiej uczynimy, gdy się rozstaniemy.

Aniela zdenerwowana zaczęła biec po pokoju, po czym usiadła na kozetce, zakryła twarz rękami i wybuchnęła płaczem.

Usiadł przy niej. Objął ją silnym ramieniem. Bliskość jej ciała oszałamiała go do nieprzytomności.

Drżała jak w febrze. Była bezbronna. Patrzył na Anielę, która przymknęła oczy. Janek wyrzucał teraz z siebie gorące słowa o miłości, szczęściu i rozkoszy. A w mózgu huczało i wołało: „Janku, prędejj, prędejj teraz albo nigdy!” Jego zuchwałość potęgowała się z chwili na chwilę. Już był tak bliski szczęścia!... Zdawało mu się, że i ona tego pragnie!...

Już nie panował nad sobą. Uniesienie go porwało. Nie wiedział, co czyni. Ale oto Aniela, zwinnym ruchem zadała mu silny cios w twarz.

— Ty... — nie dokończyła zdania. — Jak śmiałaś?...

— W Warszawie mówiłaś mi, że pragnęłabyś mieć dziecko, którego byłbym ojcem.

— Wówczas byłaś szalona, jeszcze wierzyłam w możliwość twego nawrócenia.

— Nie mam do ciebie żalu. Do razów przywykłem. Wolalbym być przez ciebie bity przez całe życie niż stracić cię...

— Nie chciałam tego — szlochała, obejmując go ciepłymi ramionami. — Gdy ujrzałam naraz twoją wykrzywioną twarz, nabiegłą krwią, twarz przestępcy, opanowała mnie taka odraza, nienawiść, że musiałam ciebie odepchnąć od siebie...

— Rozumiem — odparł Janek. — Wystarczy, gdy mi powiesz: „idź sobie”, a więcej mnie nie ujrzysz!

— Będę z tobą szczerą: powiedz mi prawdę, czy Krygier wpakował w twoje uwolnienie tyle pieniędzy nie po to, by ciągnąć z tego jakieś korzyści? Czy możesz go w każdej chwili puścić kantem bez splacenia długu wdzięczności?

W tym momencie wszedł do pokoju Krygier.

— Jak długo jeszcze będziesz się z nią patyczkował? Słyszałem, jak cię zdzieliła. Ona na zbyt wiele sobie pozwala. Wyślij ją do taty.

Janek nie odpowiedział. Po chwili znaleźli się w zakonspirowanym pokoju narad, gdzie ich oczekiwali Moryc i Regina.

Janek był pogrążony we własnych myślach i nawet nie słuchał słów Krygiera. Jego twarz zdradzała przygnębienie i rozpacz. Zagryzł wargi, by nie krzyknąć z bólu. W wyobraźni już widział swoją Anielę w nocnych lokalach, gdzie zdegenerowani panowie umilają sobie życie płatnymi rozkoszami.

— Wszystkiemu winne są kobiety! — wrzasnął ze złością Krygier.

— Poproszę cię, by tu o niej jak najmniej wspomiano! — zawołał w uniesieniu Janek.

— Masz rację — odparł Krygier obrażony. — To jest zapłata za wolność, którą ci przywróciłem.

— Co to za wolność? Świnie także się tuczy po to, by ją zarznąć. Mnie wykradłeś z więzienia, wyleczyłeś, karmileś i ubrałeś po to, abym znów narażał życie, by dalej kraść, wlamywać się i przeżywać strach przed ponownym zamknięciem!

Obecni spojrzeli na siebie ze zdumieniem, nie wierząc własnym uszom. Czy to ten sam „Klawy Janek”?

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

Janek uczynił krok, jakby chciał podejść do drzwi, ale Krygier rzekł doń:

— Mamy tu ważne sprawy do omówienia i ona nie powinna nic o tym wiedzieć.

Nie czekając na zezwolenie, Janek przekręcił klucz w zamku i wpuścił Anielę do pokoju.

Aniela spojrzała w pierw na Janka, a potem na zebranych i oświadczyła stanowczym tonem:

— On z wami więcej nie pójdzie na wyprawę! Nigdy!

— Nie pójdzie, powiadasz? — rzekł cynicznie Krygier. — A ja cię zapewniam, że pofrunie nawet! Czy sądzisz, moja panno, że dla jego czy twoich pięknych oczułożyłem na jego ucieczkę z więzienia i za bezcen sprzedałem moją willę? Janek wie o tym, że musi dług uregulować. Gdybym go nie potrzebował do obróbki „skarbcy”, nad którym pracuję, byłby do dziś dnia jeszczegnił na Pawiaku. Zresztą, to sprawa honorowa. Przypuszczam, że Janek nie okaże się wobec mnie „łatkiem”³⁹.

— Uspokój się! — wtrącił się Janek. — Muszę z nimi pójść! Inaczej być nie może.

— To będziesz wybierał: ja albo oni!

— Jeszcze ten jeden raz, a potem wyjedziemy zagranicę, zgadzasz się?

— Podli ludzie! — oburzała się Aniela. — Sądziłam, że ratujecie Janka z dobrego serca, że robicie to z poczucia solidarności, którą szczyci się wasz światek podziemny. Ale rację miał profesor: jesteście urodzonymi przestępcami!

— Aha, kto miał rację? — podskoczyła teraz Regina. — Nie mówiłam wam, że ten frajerski profesor zdemoralizuje ją!

Naraz rozległo się pukanie do drzwi.

— Dagar!.. — odezwał się głos.

Drzwi się rozwarły i na progu stanęli Antek i Felek. Byli zmęczeni i złamani. Byli ubrani w łachmany.

³⁹łatek (por. ros. *ламок*: skrawek, łańka, szmatka) — osoba niewdzięczna. [przypis edytorski]

— Zmykajcie czym prędzej. Policja jest na waszym tropie.
Wszyscy natychmiast wybiegli z pokoju.

ROZDZIAŁ XXI

Nadchodząca jesień napełniała ludzi nocy nadzieją na lepsze czasy. Dzień się kurczył, a noc się wydłużała. Noc, pełna tajemnic, jest odwieczną pomocnicą ludzi podziemi.

„Karpie głowy” świata podziemnego zjeżdżały się z różnych uzdrowisk, przygotowując się do nowego „sezonu”. Opuścili lokale rozrywkowe, gdzie mieszały się z rozbawioną burżuazją, sypiąc pieniędzmi na lewo i na prawo.

Ci ludzie ufają swojej gwiazdzie i talentowi. Są pewni, że noce zimowe zwrócą im przehulane pieniądze z procentami...

Jesień, Złodziej, Nadzieja

Komisarz Żarski siedział za biurkiem pogrążony w rozmyśleniach. Szukał sposobu uchwycenia Janka, by wreszcie wyjaśnić tajemnicę zabójstwa policjanta. Ta sprawa ciążyła na jego sumieniu.

Obławy, rewizje, pościg i wiele innych przedsięwzięć przeprowadzonych przez władze śledcze nie dawały rezultatu. Wywiadowcy i wywiadowczynie ofiarowali swoje usługi — „Klawy Janek” jakby ulotnił się z tego świata.

Polecił wezwać aspiranta Wołkowa. A gdy ten się zjawił, komisarz Żarski wyczytał z jego twarzy ślady niepokoju.

— Co się z panem dzieje?

— Nic. Jestem tylko trochę niewyspany — odparł Wołkow, siłąc się na uśmiech.

— Przy czym się pan tak nadwyreżał?

— Co znaczy „przy czym”? Postanowiłem zlikwidować bandę „Klawego Janka” i muszę tego dokonać.

— Hm, bandę... Ale oni są sprytniejsi od nas. Dziś dokonali włamania do kolektury na Placu Teatralnym. I to jest ich robótka. To samo cięcie kasy.

— Już bym dawno zlikwidował tę bandę, gdyby nie...

— Gdyby nie co?

— Gdyby nie pan, panie komisarzy!

— Dlaczego to ja przeszkadzam panu?

— Bo pan stale odnosi się podejrzliwie do moich przedsięwzięć. Wyczuwam to z każdego pańskiego ruchu, słowa, decyzji. Często ręce mi opadają.

— Przesadza pan. Ja i samego siebie podejrzewam niekiedy... Mam wrażenie, że awansował pan na aspiranta nie bez mojej pomocy.

— Uczciwie sobie na to zasłużyłem.

— Nie przeczę i zapewniam pana, że w razie zlikwidowania bandy „Klawego Janka” dołożę starań, aby pan, panie aspirancie, dalej awansował...

Wołkow z jeszcze większą podejrzliwością przyjął te słowa, ale odrzekł tylko:

— Rozkaz, panie komisarzy!

— I zapewniam pana, że z chwilą wytropienia zabójcy policjanta, natychmiast przedstawię pana do awansu na komisarzy.

Żarski nie spostrzegł, jak przy tych słowach Wołkow silnie zbladł. Udało mu się ukryć swoje zmieszanie, pogrążając się w czytaniu pewnych dokumentów leżących na stole.

— Podejmuję się „wykończenia” tej bandy pod jednym warunkiem: zaufania mi w stu procentach i zezwolenia, aby nikt nie towarzyszył mi w pracy. Dopiero gdy wszystko będzie przeprowadzone, zażądaj pomocy.

— Czyń pan, jak uważa za potrzebne!

Uścisnęli sobie ręce. Wołkow opuścił gabinet Żarskiego uspokojony, nie wiedząc o tym, że dopiero teraz spotęgował podejrzenie komisarzy.

W kilka minut potem Żarski otrzymał telefoniczne połączenie z Poznaniem. To dzwonił do Warszawy komisarz Barewski, który poinformował Żarskiego o dokonaniu wielkiego włamania do jednego z poważnych banków.

— Sądząc ze sposobu rozprucia kasy — mówił dalej komisarz Barewski — jest to robota warszawskich cwaniaków. Zrabowano dużą sumę. Wiem, że u was w mieście dokonano wielu podobnych włamań, proszę przeto pana, panie komisarzu, o pofatygowanie się do Poznania.

W Poznaniu komisarz Żarski stanął wobec zagadki. Rozpruwacze kasy nie pozostawili żadnego śladu, który by mógł naprowadzić policję na trop przestępców.

— O to właśnie chodzi — rzekł komisarz Barewski. — Nie wiem, od czego zacząć. Może tymczasem udamy się na posiłek?

— Dziękuję — rzekł Żarski zamyślony. Ale zaraz dodał, przechadzając się po pokoju i przysłuchując odgłosom własnych kroków. — Czy panów nie zainteresowała sprawa, jakim sposobem rozpruwacze dostali się do banku?

— To oczywiście — odparł komisarz Barewski — Przy pomocy podrobionych kluczy, bo w banku nocą czuwa specjalny dozorca.

— Nie, nie! — przerwał mu zniecierpliwiony komisarz Żarski. — Tu pod nami — w tym momencie uderzył kilkakrotnie nogami — nie ma podłogi. Czy pan nie wyczuwa tu pustki?

W kilka minut później świetnie dopasowane posadzki zostały wyjęte, a pod nimi, zamiast normalnej podkładki podłogi, znajdowały się szmaty, którymi rozpruwacze wyszczelili wolną przestrzeń, by się podłoga nie zawaliła...

Po nitce do kłębka został wykryty tunel podziemny, w którym rozpruwacze nawet przeprowadzili instalację elektryczną. Przekręcono kontakt. Teraz zauważano, że podkop prowadził do tunelu kanalizacyjnego.

ROZDZIAŁ XXIII

Od pierwszej chwili, gdy Antek i Felek wyruszyli na wyznaczoną im przez Krygiera wyprawę, zaczął ich prześladować pech. Robotę im poleconą wykonali, ale ledwie uszli z zarobkiem, wpadli w objęcia posterunkowego.... Mieli jeszcze szczęście, że tej nocy, kiedy osadzono ich w areszcie, zdołali uciec. Próbowali na własną rękę coś zarobić, ale bez powodzenia. A zależało im na tym, by nie wrócić z pustymi rękami do Krygiera. Po kilkutygodniowej wędrówce z miasta do miasta, zrezygnowani wrócili do Poznania, spostrzegli w okolicy willi Krygiera komisarzy Żarskiego i Barewskiego w towarzystwie wywiadowców. Zrozumieli, że policja posuwa się wzdłuż linii podkopu i czym prędzej uprzedzili Krygiera oraz jego kamratów.

W ten oto sposób luksusowa willa została opuszczona przez swoich lokatorów w ciągu kilku minut.

Gdy weszli do ogrodu willi, wszystkich ogarnęło uczucie zwątpienia. Wszędzie panował idealny ład i porządek. Nic nie przemawiało za tym, by stąd mieli uciekać niebezpieczni włamywacze. Dał temu wyraz komisarz policji miejscowej, ale komisarz Żarski nie dał się zwieść różnym uwagom. Poprosił towarzyszących mu w tej wyprawie, aby zechcieli zaczekać na niego w hallu, aż wróci. Pragnął osobiście wszystko jak najdokładniej obejrzeć i zbadać, zanim liczna brygada wszystkiego się dotknie i przez nieostrożność niejeden cenny, a na pozór błahy ślad, zatrze.

Z brauningiem w jednym ręku i z latarką w drugim posuwał się teraz komisarz Żarski ciemnym korytarzem naprzód.

Naraz natknął się na coś miękkiego. Trup. Taki był jego pierwszy odruch. Przyświecił latarką w dół, zimny dreszcz przebiegł jego ciałem. Były to dwa zastrzelone psy. Już nie żyły.

Żarskiego zastanawiała okoliczność, że w drzwiach do każdego z pokoi sterczały klucze, jakby same napraszały się: pozwól pan do środka. Komisarz zakasłał głośno, jakby chciał kogoś sprowokować. Prócz echa — nikt się nie odzywał. Przez chwilę jeszcze nadśluchiwał, wreszcie nabral odwagi i otworzył drzwi. Wspaniałe umeblowanie pokoju nie przykuwało teraz jego uwagi. Nie mógł przypuszczać, że w tym pokoju „Kławy Janek” przeżył okres ciężkiej choroby. Że w tym pokoju przy jego łóżu czuwała urodziwa Aniela, z powodu której Żarski spędził niejedną noc bezsenną. Żarskiego teraz obchodziło tylko to, dlaczego ten pokój jednak był przystosowany dla ludzi, odczuwających potrzebę konspiracji. Gotów był przysiąc, że w tym pokoju jeszcze przed pół godziną był człowiek.

Dlaczegoż tedy wszystko tonie w ciemnościach? W pewnej chwili zauważył flaszeczkę z sygnaturą lekarską. Odnotował nazwisko lekarza i adres apteki.

Zaintrygowały go drzwi, prowadzące do piwnicy. Może tam się ukryli?

Zszedł na dół. Raptownie otworzył drzwi i zawołał ostro:

— Ręce do góry!

Ale tylko echo odpowiedziało mu wielokrotnie. Nawet miał wrażenie, że słyszy jakieś podejrzone szmery. Stał jakby przykuty do miejsca.

Energicznie postąpił naprzód. Był to pokój tajnych narad Krygiera, ściany obite grubym filcem dawały Żarskiemu dużo do myślenia. Zastanawiał go jeden szczegół. Dlaczego wbito w ściany tyle haków? Nie mógł wiedzieć, że tu było jednocześnie muzeum dziwotwórców świata podziemnego i że z haków zawczasu pozdejmowano cenne okazy.

Tymczasem brygadą wywiadowcza z komisarzem miejscowym na czele, niepokoiła się długą nieobecnością Żarskiego. Wbrew przyrzeczeniom, że zaczekają na jego powrót lub na hasło, weszli w głąb gmachu. I oni ulegli tajemniczemu nastrojowi, który panował w tym domu, ale wyciągali wręcz odwrotne wnioski. Nabierali coraz większego przeświadczenia, że ta willa nie mogła być siedliskiem zbrodniarzy. I gdy komisarz miejscowy spotkał się z Żarskim, rzekł doń:

— Panie komisarzu, mam wrażenie, że będziemy mieli przykrości, gdyż lada moment zjawi się prawny właściciel i...

— Bodajby się zjawił — ironizował Żarski.

Spostrzegłszy pod łóżkiem parę pantofelków damskich, przypomniał sobie w tej chwili szczegół z pierwiastkowego śledztwa na Pawiaku na wiadomość o ucieczce Janka. Wówczas znaleziono pod parkanem okalającym Pawiak ślady stóp kobiecych. Daktyloskopijne odciski zostały wykonane, Żarski włożył pantofelki do swojej teczki.

Ale oto naraz rozległo się za oknem wołanie jakiegoś mężczyzny.

Był to dozorca, który na widok agentów szperających po willi uderzył na alarm. Zaprowadzono go do pokoju, w którym przebywała „władza”.

— Jak długo pan tu służy?

— Przeszło rok czasu.

— A przedtem u kogo pan był zatrudniony?

— U pana pułkownika.

— U jakiego pułkownika?

— U męża pani hrabiny.

— Jak się ona nazywała?

— Hrabina Mołdakowa.

Komisarz Żarski opanował swoje zdumienie.

— Jak to, hrabina Mołdakowa z Warszawy jest właścicielką tej willi?

— Napisałem do niej, że pan Krygier sprzedaje willę. Pani hrabina po tym, gdy ją okradziono, postanowiła opuścić Warszawę.

Żarski począł krząć podniecony po pokoju. W pewnym momencie rozkazał:

— Przetrzęsnać całą willę!

— Nie pozwolę na to — zawołał dozorca. — Dosyć się napracowałem przy porządkowaniu po ich wyjeździe. Hrabina ma w tych dniach przyjechać...

— Po czym wyjeździe? — przerwał mu komisarz Żarski.

— Po wyjeździe tych, którzy tu mieszkali — odrzekł dozorca bez zająknięcia.

— Długo tu mieszkali?

— Sporo czasu, dokładnie nie pamiętam.

— Jak widać, ma pan słabą pamięć. To nie szkodzi, gdy będzie potrzeba, przypomnimy panu wszystko. Jak wyglądał właściciel willi?

— Przystojny, wysoki, poważny.

— A jak się nazywał?

— Krygier, mówili nawet, że to baron czy lord. Ja tam nie wiem.

— A gdzieście byli, kiedy wchodziliście do willi?

— W ogrodzie.

— I nie słyszeliście, jak tu gospodarujemy cztery godziny czasu?

— Głuchawy jestem.

— Aha... Głuchy... Ma słabą pamięć — rozważał komisarz Żarski — A psy kto zastrzelił?

— Ja. Tęskniły za panem swoim. Zaczęły zdradzać niepokój. Wściekały się.

— A czy pan prowadził interesy? Czy przychodzili do niego ludzie? Kobiety może?

— Mój pan najczęściej przebywał za granicą. Tu, w willi nikogo nie przyjmował.

— Ale kobiety przebywały w tej willi? — dopytywał się komisarz Żarski.

— Tylko na krótko przed wyjazdem widziałem tu dwie panie i kilku eleganckich panów.

— A jak wyglądały panie?

— Jedna była starsza, wysoka, a druga młoda, ładna dziewczyna.

Żarskiemu w tym momencie przypomniała się Aniela. Wraziła się głęboko w jego pamięć i nie dawała mu spokoju.

— A czy ta młoda panna była brunetką o czarnych, gorejących oczach?

— Tak — odrzekł dozorca nieco przerażony tym, że komisarz coś podejrzewa.

— Czy wszyscy razem opuścili tę willę? To jest, czy ta młoda panna wyjechała razem z panem Krygierem?

— Tak jest.

— Może pan wie, którym pociągiem wyjechali?

— Własnym autem w kierunku Warszawy.

— A numer auta pan zauważył?

— A jakże: 6841.

— A jak wyglądali obcy panowie?

— Jeden wydawał mi się Amerykaninem, a drugi...

— Może to ten? — raptownie komisarz podsunął fotografię. — Pan go poznaje? — zapytał surowym głosem komisarz. — Proszę odpowiedzieć!

— Nie wiem — odparł dozorca. — Drugiego też bym nie poznał, bo zawsze miał obwiązaną twarz, jakby cierpiał na ból zębów, nadto rogowe, duże okulary przeciwsłoneczne.

— Jak to możliwe, że pan, służąc tu rok czasu, nie był w pokojach pana?

— Byłem może kilka razy, ale na korytarzu, gdy zdarzało się, że ktoś przejeżdżał i trzeba było zanosić walizkę...

Komisarz Żarski widział, że od dozorczy niczego nie wydobędzie.

— Tego dozorcę zabierzemy z sobą — rozkazał komisarz Żarski. — Przed willą ustawić straż. Nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać.

W mgnieniu oka kajdanki znalazły się na rękach dozorczy.

Komisarz poznański był oburzony na Żarskiego, ale nie mógł mu robić zarzutów. Wszak sam zaprosił tego „Rosjanina” do Poznania, by wytropił warszawskich cwaniaków, którzy przybyli na gastrole do Poznania. Komisarz Borewski, rodem z Wielkopolski, przyzwyczajony był do innej, niemieckiej szkoły śledczej, gdzie systematyczność i rozwaga odgrywały najważniejszą rolę. Tymczasem komisarz Żarski z Warszawy działał intuicyjnie, jak pod wpływem nagłego natchnienia. Zdaniem Borewskiego, dozorca jest niewinny, a willa nie była siedzibą kasiarzy. Postanowił tego jeszcze dnia zlikwidować akcją Żarskiego jako fatalną. Zamierzał to uczynić przy obiedzie, na który chciał zaprosić Żarskiego. Niespodziewanie Żarski odmówił, przyrzekając, że odwiedzi Borewskiego po obiedzie w jego gabinecie, w Urzędzie.

O umówionej porze zjawił się w gabinecie Borewskiego.

— Oto nasze zwycięstwo — rzekł Żarski, kładąc na biurku Borewskiego pantofel damski i buteleczkę z płynem.

— Pantofel — odparł komisarz Borewski, nie bez ironii — miałem już przyjemność oglądać. Pan kolega, widać, jest amatorem damskich nówek...

— Jak czasem — z przekąsem rzekł Żarski. — Ale w pantoflu leży moja nadzieja. Razem z tą fłaszeczką mamy dwa klucze do rozwiązania naszej zagadki.

— ?? — Borewski podniósł oczy na Żarskiego, a na ustach jego zastygło pytanie.

— Zaraz panu wyjaśnię mój plan działania. Ale na wstępie jedno zapytanie: czy zna pan w Poznaniu profesora Schwarza?

— A jakże. To wybitny lekarz i uczony. Znany jest także ze studiów w zakresie psychologii przestępców. Ale co on ma wspólnego z naszą zagadką kryminalną?

— Bardzo wiele. Poproszę o wezwanie go do Urzędu.

— Profesora? — komisarz Borewski zaczął tracić cierpliwość. Poruszył się na krześle nerwowo, jakby siedział na szpilkach. — Nie mogę na ślepo słuchać pańskich rozkazów. Odpowiedzialność ja ponoszę. Niech mi pan wytłumaczy potrzebę tych zarządzeń.

— Muszę kolegę przeprosić za mój sposób postępowania, ale wynika ono nieubłaganie z własnej metody tropienia przestępców — wyjaśnił Żarski. — Mogę tylko tyle na razie panu powiedzieć, że Poznań gościł u siebie jednego z najzuchwalszych przestępców poszukiwanych przez światowe centrale policyjne ze słynnym Scotland Yardem na czele... Występuje on pod różnymi nazwiskami, najczęściej Franka. Jest z zawodu doktorem chemii. Włada swobodnie kilkunastoma językami. Prawdziwe jego nazwisko brzmi Krygier.

— Krygier? Tak, tak. Przypominam sobie teraz to nazwisko. Słyszałem o nim, będąc w berlińskiej szkole policyjnej — zawołał komisarz Borewski. — Ale na jakiej podstawie sądzi pan, że miał on być właścicielem tej willi?

— To jest jego ulubiony chwyt — wyjaśnił Żarski. — Gdzie tylko obiera sobie bazę działania, nabywa majątek ziemski, willę podmiejską lub pałacyk. Gotów jestem przysiąc, że tu z nim bawił również „Kławy Janek”.

Komisarz Borewski zagryzł wargi. Słowa Żarskiego wywarły na niego⁴⁰ oszałamiające wrażenie.

— W takim razie nadamy telefonogramy do wszystkich posterunków policyjnych. Pochwycimy go w nasze ręce.

— Krygiera? Po dwudniowej nieobecności w tej willi? Wolne żarty... — uśmiechnął się Żarski. — To nie zwykły sobie ptaszek. To orzeł w świecie przestępczym!

— Więc co robić?

— Tymczasem należałoby zadzwonić do profesora Schwarza...

— Ale co z tym wspólnego ma profesor Schwarz? — zaniepokoił się komisarz Borewski.

— Panie kolego, cierpliwości! Niech pan do niego zadzwoni! Niebawem przekona się pan, że jestem na dobrej drodze.

Gdy profesor Schwarz zjawił się, sprawił wrażenie człowieka, który czekał tylko na to wezwanie...

Przez kilka minut w gabinecie panowało przykre milczenie, jakby ci ludzie myślą i intuicją wzajemnie się badali. Naraz spojrzenie profesora spoczęło na sygnaturce przymocowanej do buteleczki z lekarstwem. Profesor powiódł wzrokiem po twarzach obecnych, Borewskiego i Żarskiego, uśmiechając się przy tym porozumiewawczo.

— Więc to jest przyczyną nagłego wezwania mnie do Urzędu? — wskazał profesor Schwarz na buteleczkę z płynem kolorowym.

— Doskonale, panie profesorze — zawołał Żarski, zachwycony bystrą orientacją profesora-psychologa.

— Był pan u chorego, a zatem poznał jego otoczenie w tej willi. Zechce pan, panie profesorze, łaskawie określić wygląd zewnętrzny mieszkańców owej willi.

Profesor nie tracił humoru i odrzekł:

— Małoż to wizyt mam dziennie? Czyż mogę obserwować bliższe otoczenie chorego? I to w dodatku z taką drobiazgowością, jakiej wymaga zazwyczaj policja w celach śledczych?

Żarski zorientował się w sytuacji. Postanowił wziąć profesora pod włos.

— Gdybym powiedział panu profesorowi, o kogo nam chodzi, nie weźmie pan za złe, że go fatygujemy.

— Ależ to drobnostka...

⁴⁰wywarły na niego (...) wrażenie — dziś popr.: wywarły na nim wrażenie. [przypis edytorski]

— Poszukujemy tu dwóch niebezpiecznych przestępców, z którymi policja na całym świecie nie mogła się uporać. Mamy wszelkie dane do przypuszczenia, że oni właśnie byli mieszkańcami tej willi...

— Ale cóż to może mnie obchodzić? — przerwał mu profesor Schwarz.

— Chorym był „Klawy Janek”, o którym pan profesor zapewne czytał w prasie, że uciekł z Pawiaka... Przesadzając mur okalający więzienie, musiał on uderzyć się w głowę... Był upust krwi, a może i inna choroba, w związku z którą pana profesora wezwano do willi...

Profesor nagle wstał z miejsca, jakby zamierzał już odejść i rzekł:

— Panowie mi wybaczyć, ale, niestety, nie mogę służyć żadnymi informacjami. Lekarz jest jakby spowiednikiem. Lekarz leczy ciało, duszpasterz duszę. Ale nikomu z nich nie wolno zdradzać powierzonej mu tajemnicy.

— Ależ, panie profesorze, tu chodzi o niebezpiecznych przestępców — unosił się komisarz Żarski.

— Dla mnie człowiek to pacjent bez względu na jego pozycję moralną, społeczną i materialną. Moje ostatnie słowo brzmi: o niczym nie wiem!

— Pan o niczym nie wie czy pan niczego nie chce nam powiedzieć?

— Mogą sobie panowie to tłumaczyć według swego kryterium. Pragnę tylko zeznać, że moje oświadczenie, które panom złożyłem jest dostatecznie uzasadnione, aby panowie mnie więcej nie niepokoili.

— Ręczyć za to nie mogę — odparł Żarski. — Nagromadzony przeze mnie materiał przekażę sędziemu i niechaj sobie wyciąga dla siebie odpowiednie wnioski. Żałuję tylko, że pan profesor odmawia mi pomocy w ujęciu szkodliwych dla społeczeństwa jednostek.

— Pytanie tylko, kto jest szkodliwy dla społeczeństwa: przestępcy czy ci, którzy ich do przestępstwa popychają — rzekł profesor poważnie.

— Ależ, panie profesorze, mam wrażenie, że jest to obowiązkiem każdego człowieka pomóc nam, policjantom, w ciężkiej walce ze światem podziemnym. Niech mi pan powie: gdyby tak szło o usunięcie wściekłego psa, czy zawahałby się pan przed zastrzeleniem go? Czy ludzie tego pokroju nie zasłużyli na kulę w łeb?

— Nie będę się wdawał w rozważania filozoficzne. Pan spogląda na ludzi oczyma policjanta, ja oczyma lekarza. Spoglądam na ludzi jak na chorych, którzy nabawili się choroby może wbrew swej woli.

Profesor prosił o wybaczenie, że, niestety, jego obecność nie przyczyni się do rozwiązania ich zagadki i pożegnał obu komisarzy.

Komisarz Żarski na pożegnanie użył wypróbowanego triku:

— Przekonam pana, panie profesorze. Tego pan zna? — zapytał Żarski, podsuwając Schwarzowi z błyskawiczną szybkością podobiznę „Klawego Janka” i zatapiając przy tym ostry wzrok w twarzy profesora.

Profesor jednak ani drgnął. Twarz jego zdradzała dobroduszość.

— Niech pan się dobrze przyjrzy tej podobiznie, może pan rozpozna swego pacjenta?

Profesor flegmatycznie wyjął okulary, wsadził je na nos, zbliżył się do stołu, na którym stała lampa elektryczna i rzekł:

— Ciekawa twarz, nieco podobna do pańskiej, panie komisarzu.

— Widzę, że profesor nie ma ochoty nam dopomóc, może większe szczęście spotka sędziego śledczego.

— Nie większe niż pana.

Tak się skończyło badanie profesora Schwarza.

ROZDZIAŁ XXIII

W godzinę po tym komisarz Żarski siedział w przedziale wagonu pierwszej klasy. Gdy zdrzemnął się, marzył już o tej chwili, kiedy będzie mógł zmusić urodziwą przyjaciółkę Janka do wzajemności... Nie wątpił na chwilę, że pantofel, który woził teraz w teczce, należy do niej...

Sporo czasu upłynęło od owej krytycznej nocy, kiedy hrabina Mołdakowa została ograbiona. Tej nocy posterunkowy Michał padł trupem. Śmierć jego wstrząsnęła Warszawą, ale czas czyni swoje: większość nawet jego kolegów zapomniała o tym wypadku.

Była jednak osoba, która nie mogła się z tym faktem pogodzić. Często składana na jego grobie wiązanka róż świadczyła o tym, że gdzieś serce kobiece ścisła ból na wspomnienie o śmierci Michała... Była to jego narzeczona, która nachodziła urzędy, żądając satysfakcji... Jej marzeniem było, aby morderca został ujęty.

Ludzie nocy przechodzili wtedy okres największego sezonu. Długie noce zimowe najlepiej sprzyjały ich zamiarom. Pod osłoną nocy nasza znajoma trójka: Klawy Janek, Krygier i Moryc wybierała się na śmiałe wyprawy. Jakże potrafili się odmienić, by czujne oko policjanta nie zdołało ich rozpoznać? Mieli to do zawdzięczenia genialnemu Krygierowi. Ten, przejąwszy od żony swojej — artystki filmowej — sztukę charakteryzacji, doprowadził zdobytą wiedzę do niebywalej perfekcji. Wspecjalizował się nie tylko w przekształcaniu rysów twarzy, ale także w przeobrażeniu ruchów, które tak cechują poszczególne jednostki.

Za dnia wyglądał na sześćdziesięcioletniego staruszka o niezwyklej prezencji. Na sekundę nie wypuszczał monokla z oka. W luksusowym hotelu, gdzie zamieszkał, był zameldowany jako obywatel ziemski o znanym, arystokratycznym nazwisku.

W nocy grał rolę... nocnego stróża. Krążył ulicami z grubą laską w ręku i z dużym zegarem kontrolnym, zawieszonym na piersiach. Robił wrażenie typowego wroga ludzi nocy, gotowy w każdej chwili do walki. Tak świetnie mu było w tej roli, że nie wzbudzał nawet podejrzeń u policjantów patrolujących ulice w nocy.

Krygier dbał także o zewnętrzny wygląd swoich kamratów, którym nadawał odmienną „skórę” według swego pomysłu i smaku. Janka, którego cenil jako utalentowanego i jedyne go swego zastępcę, przekształcił w eleganckiego Anglika. Moryc pozostał niezmienny: był nadal typowym wujaszkiem amerykańskim... Tak działo się za dnia. W nocy sytuacja kardynalnie się zmieniała. Janek wkładał mundur „okolodocznowo” — dzielnicowego. Uniform leżał na nim jak ulany. W szynelu robił wrażenie typowego przodownika...

Do północy trójka nasza bawiła w lokalach, spędzając wesoło i beztrąsko czas, ale po dwunastej ulatniali się i przystępowali do realizacji z góry powziętych planów.

Z początku przebiegali się i charakteryzowali w melinie naszego dobrego przyjaciela Bajgefe, do którego odnosili się ze stuprocentowym zaufaniem, ale później, zresztą za jego namową, przenieśli się do innej, frajerskiej meliny, o którą się szybko wystarali.

W hotelu, w którym się rozgościli jako eleganccy panowie, nie wzbudzali niczyjzego podejrzania. Była nawet wśród służby konfidentka policji, ale ta akurat upatrzyła sobie na „ofiarę” jednego jegomościa, co do którego ubzdurała sobie, że to... „Klawy Janek”. Niejednokrotnie alarmowała policję, że go... ma, ale gdy przybywała na miejsce policja, ze wstydem dowiadywała się, że urojenie konfidentki przesłania jej rzeczywistość... Nadaremnie konfidentka narażała swoją cnotę na niebezpieczeństwo...

Antek i Felek rozlokowali się w innym hotelu. Ci nie mieli wcale powodu do wystrzegania się policji. Wykorzystali oni tę okoliczność do obserwacji i po to, by donosić kamratom o wszystkim, co ich dotyczyło lub mogło zainteresować.

Regina także przeniosła się z całą „paczką” do Warszawy. Wynajęła sobie eleganckie mieszkanie w okolicy Miodowej. Na liście lokatorów widniał napis: kapitalistka, utrzymuje się z własnych funduszy... Jako kobieta, była bardzo dystyngowana, zresztą wyniosła to z bogatego domu rodzinnego, z jakiego pochodziła. Była córką bogatego przemysłowca. W domu czuwali nad jej edukacją w dzień i w nocy. Ale... W życiu zawsze bywa jakieś „ale”, które płata człowiekowi figle, nie licząc się z jego dążeniami, wykorzystując jedynie słabą wolę i podszepty diabełka, który w każdym z nas gdzieś się kryje. I takie „ale” sprowadziło Reginę do świata podziemnego.

Była na plaży, gdy nagle spostrzegła, że jest obserwowana. Ledwie odwróciła głowę, a natknęła się na urodziwego młodzieńca, który wpił się w jej ciało rozżarzonymi od żądy oczyma. Próbowwała odwrócić uwagę swoją od natarczywych spojrzeń młodego mężczyzny, ale nie mogła. Zmieszała się i... opuściła plażę. Ale oczy tego mężczyzny prześladowały ją. Miała niespokojną noc. I chociaż to było przed egzaminami maturalnymi, nie mogła zebrać myśli. Nawet w chwilach największego skupienia wylaniała się

naraz sylwetka owego mężczyzny. I jakby wiedziona tajemniczą ręką Regina, nie mogąc oprzeć się pokusie, skierowała się w kilka dni potem na plażę... Nadaremnie. Młodzieniec znikł jak kamfora. W międzyczasie odumarł Reginie ojciec, później matka. Bogaty dom rodzicielski legł w gruzach. Regina była samotna jak kolek, gdy znów zetknęła się z tajemniczym młodzieńcem z plaży. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. A gdy poślubił ją, była najszczęśliwszą kobietą. Nie wiedziała, że jest z zawodu złodziejem...

A gdy urodziła dziewczynkę, na zawsze była już związana z „nowym światem”. Zerwała stosunki z dawnymi znajomymi, którzy zresztą stopniowo od niej się odsuwali. Także opiekunka, która zajmowała się z początku Reginą tuż po śmierci jej rodziców, zerwała z nią, przywłaszczając sobie uprzednio pozostałe kosztowności, a w zamian obdarzyłszy Reginę grubą porcją moralów...

Ale Regina na nic nie zważała, bo ukochany jej był wzorowym mężem i ojcem. Nie miała mu nic do zarzucenia. I tak minęły dwa lata pożycia z nim w szczęściu i miłości, uwieńczone „dalszym” pokoleniem: Regina wydała na świat ślicznego chłopczyka.

Z czasem Regina dowiedziała się o „zawodzie” męża, a ten wiedział, że żona jego jest z tego powodu przygnębiona. Stopniowo likwidował więzy łączące go ze światem podziemnym, ale od czasu do czasu zrywał się w nocy z łóżka „na robotę”, żegnając żonę czułym pocałunkiem. Regina przyjmowała biernie pocałunek, udając, że śpi, jakby między nimi zawarte było ciche porozumienie, aby o tym nie mówić...

Pewnej nocy zimowej, gdy znów usiłował wyslizgnąć się swoim zwyczajem, Regina usiadła raptownie na łóżku i zawołała:

— Nie chodź! Zostań tu! Przeczucie mi mówi, byś się nie ruszał stąd!

Krzyk i płacz matki obudziły dzieci. W izbie zapanował ponury nastrój. Ojciec zmieszał się. Przrzekł, że nie wyjdzie z domu. Ale charakter „złodziejski” dręczył go. Nie mógł jako wychowanek ulicy, który przejął się zasadami moralnymi ludzi nocy, zostawić kamratów na umówionym miejscu, tym bardziej, że był ich hersztem i przewodnikiem.

I gdy tylko stwierdził, że domownicy zasnęli, wyslizgnął się bezszelestnie, jak wąż. W duchu przysiągł sobie, że czyni to po raz ostatni.

Ale w niespełną godzinę potem, gdy przystąpili do „pracy”, znalazł się wraz z kamratami w ręku policji. Wyrokiem sądu powędrował później na kilka lat do więzienia. Kary nie odbył, gdyż zmarł w więzieniu. Rozstanie z żoną i dziećmi było dlań boleśniejsze od wyroku skazującego. A wyrok był surowy i jak na recydywistę dość wysoki: opiewał na sześć lat pobytu w więzieniu świętokrzyskim.

Regina postanowiła zabrać się do ciężkiej pracy, by wychować dzieci na uczciwych ludzi. Ale nawet nie zorientowała się, w jaki sposób i kiedy to się stało, że związała swoje losy ze światem podziemnym.

Niejeden z ludzi nocy ubiegał się o względy urodzivej Reginy, która nieraz była świadkiem, jak ostrze noża decydowało o tym, do kogo ma należeć... Po raz drugi za męża nie wyszła. Kochała następców męża „na słowo”, ale dziwne fatum ich prześladowało. Jeden za drugim przechodził nieszczęścia. Regina stała się postrachem mężczyzn, którzy zaczęli jej unikać w obawie przed smutnym losem... Ludzie nocy, choć płonęli do niej afektem, trzymali się w rezerwie, szepcząc sobie ostrzegawczo na ucho: „zostaw w spokoju tego anioła śmierci...”.

Regina miała swoją specjalność w światku przestępczym: „szpiegostwo”. Prowadziła wywiady dla tych, którzy planowali grubszą robotę. Umiała przeniknąć tam, gdzie najśmielsi bohaterowie nocy nie odważyliby się pokazać. A po kryjomu podkochiwała się w Krygierze...

Ubóstwiała Krygiera za jego żelazną wolę i wyjątkowy charakter. Znając go z tej strony, nie narzucała mu się swoim uczuciem. Drżała na myśl, że może go stracić na zawsze.

Krygier, z zawodu inżynier, przystępował do pracy ze z góry opracowanym planem. Każde jego przedsięwzięcie było tak obmyślane, że detektywi na próżno łamali sobie głowę, oczywiście, po fakcie dokonanym... Napawały go radością sensacyjne spory w gazetach, poświęcone jego „robotom”... Miał chwilami wrażenie, że tu chodzi o zakład między nim a policją kto kogo...

Krygier był namiętnym zbieraczem drobnych narzędzi złodziejskich. W Niemczech miał swoje zbiory, które były nie gorzej zaopatrzone od słynnego Scotland Yardu. W tajemnicy przed wszystkimi pracował nad dziełem naukowym o kryminalistyce, które za-

mierzał zostawić w spadku temu państwu, gdzie powita go anioł śmierci... Jedyłą powiernicą Krygiera w tej dziedzinie była właśnie Regina.

Regina przebywała teraz w swojej sypialni, urządzonej według nakazów ostatniej mody. Nie utrzymywała stosunków z ludźmi nocy, ale za to chętnie przyjmowała u siebie w domu komisarza policji, wyższego urzędnika więziennego itd. Zlecenia Krygiera spełniała jak rozkaz. W duszy tliła się nadzieja: „może tym go sobie pozyskam”. Ale cóż z tego, kiedy Krygier był twardy jak skała...

Była dziesiąta rano, kiedy zadzwoniono u drzwi mieszkania Reginy. Wiedziała, kto ma przyjść. Umyślnie pozostała w łóżku. Nie omyliła się w swych rozważaniach. Krygier, wpuszczony przez pokojówkę, nie zważał na jej prośbę, by zaczekał na panią w saloniku, i od razu skierował się do sypialni... Tam zastał Reginę w negliżu. Na jego widok krzyknęła przerażona: „ach!...”. Ale Krygier odparł ze spokojem:

— Nic nie szkodzi... Muszę z tobą pomówić w bardzo ważnej sprawie.

— Co się stało? — starała się Regina rozmowy zwrócić na siebie uwagę Krygiera.

— Nic.

— Jesteś dziwnie blady i opryskliwy.

Ale Krygier, jakby nie słyszał jej słów, rzekł.

— Musimy coś poradzić na to, by pozbyć się nareszcie Anieli.

Oboje spojrzeli sobie prosto w oczy.

— Nie, to nie sposób. Zapominasz, że to córka Staśka „Lipy”...

Regina tymczasem ubierała się w wyrafinowany sposób, by zbudzić pokusę u Krygiera.

— Szkoda twoich zabiegów... Nie przyszedłem tu na ciepłe nóżki. Ruszaj się szybciej! Nie interesuję się tobą jako kobietą.

Regina zbladła przy tych słowach. Tego już było za wiele.

— Jeśli tak, możesz poczekać na mnie w drugim pokoju!

— Słuchaj, Regino. Polubiłem cię od pierwszej chwili i pragnę, by nasza przyjaźń była dozwolona. Uważam, że przyjaźń między mężczyzną a kobietą trwa dopóty, póki nie utrzymują ze sobą bliższych stosunków. A ja chcę, by naszej przyjaźni nie zagrażała żadna przeszkoda.

Regina wybuchnęła płaczem.

— Płaczesz? — zawołał Krygier. — Sądziłem, że takie kobiety jak ty nie płaczą nigdy.

— Ty człowieku bez serca! — odezwała się pogardliwie. — Dla mnie nie było trudnej sprawy, gdy tylko dotyczyła ciebie, ale ty...

— Ee, wy kobiety!... Zawsze wasze myśli obracają się dokoła jednej rzeczy... Ubieraj się szybciej! Mam ważną rzecz z tobą do załatwienia.

Krygier wyszedł do przyległego pokoju, gdzie zabrał się do przeglądania prasy porannej.

Wnet wyszła do niego Regina.

— Klawy Janek to stracony człowiek — oświadczył Krygier na wstępie, nie patrząc na Reginę.

Regina milczała.

— Dlaczego nie odpowiadasz?

— Janek nie ma tak zatwardziałego serca jak ty.

— Masz rację, ale tego już zmienić się nie da.

— O, nie! — wybuchnęła na nowo płaczem.

— Nie płacz. Podobne głupstwa nie łążą mi po głowie.

— Miłość to dla ciebie głupstwo.

— Pewnie! Wszystkie nieszczęścia pod słońcem biorą swój początek w miłości.

Zapanowało milczenie, które Krygier przerwał nagłym pytaniem:

— Czy byłaś kiedyś uwięziona?

— Nie.

— A zakuta w kajdany?

— Chyba że nie.

— A nikt ci w oczy nie pluł i nie wołał „złodziej”?

— Nie.

— O, nie życzę ci tego, abyś przechodziła moje koleje życia. Szkoła życia wyposażyla mnie w stalowe nerwy, nieczułe na lzy, cierpienia i inne subtelne uczucia, jak np. „miłość”. Znam jedną tylko wartość: pieniądze. Wiem, że za pieniądze szczęścia kupić nie można! Ale przy pomocy pieniędzy można niejedno nieszczęście ominąć...

— Gdyby nie ty, dawno bym już zerwała z tym ohydnyim życiem. Dla ciebie grzęzną coraz głębiej w błocie. Kto wie, czy koniec końców nie dostanę się za kraty. A co wówczas stanie się z moimi dziećmi?

Regina zalewała się łzami.

— Przestań. Uważaj, co ci powiadam. Jeszcze jedną robotę wykonamy w Polsce i koniec. Wyjedziemy za granicę. Do Paryża lub Londynu. Dokąd zechcesz. Dopomogę ci w urządzeniu magazynu. Będiesz mogła prowadzić spokojny tryb życia. Stawiam ci tylko jeden warunek.

— Nowy warunek? — przeraziła się Regina.

Krygier krążył po pokoju zdenerwowany. Zastanawiał się, widać, nad tym, jak przystąpić do sedna sprawy. Wreszcie przystanął, wyjął monokl z oka i, spojrzawszy prosto w twarz Reginie, zapytał:

— Powiedz mi, czy potrafiłabyś zawrócić głowę jednemu z moich współpracowników?

— Zależy od tego, kogo masz na myśli.

— Powinnaś się zabrać do Janka. Musimy się Anieli pozbyć za wszelką cenę. Ona jest nam zawadą.

— Ale jak sobie wyobrażasz wykonanie twego planu?

— Zaprosisz do siebie Janka.

— Już był u mnie.

— Tym lepiej. Słuchaj uważnie. Wpakowałem w podkop pod skarbiec grube tysiące złotych. Robota jest już na ukończeniu. Za dwa tygodnie będziemy z nią gotowi. Tam, w tym skarbcu, czekają nas legendarne sumy i klejnoty. Będzie tego ogromna ilość, że nawet nie będziemy w stanie wszystkiego wynieść. Już wykopaliśmy tunel długości 50 metrów. Jeszcze wywieziemy ze czterdzieści aut ziemi, a przystąpimy do właściwej pracy. Garaż i dwa auta ciężarowe, nabyte specjalnie w tym celu, pochłonęły wiele tysięcy dolarów. Sześciu ludzi pracuje bez przerwy w dzień i w nocy.

Krygier zrobił pauzę, wyjął cygaro hawańskie i je zapalił.

— Klawy Janek — ciągnął dalej — jest zakochany po uszy, jak głupiec. Aniela trzyma go w swoich łapkach jak kot myszkę. Od chwili zawarcia przez nich znajomości Janek jest do niczego. Muszę raz na zawsze skończyć z jego miłością. Zresztą lituję się nad Staśkiem „Lipą”. Uważam, że złodziej nie powinien wziąć złodzieja za zięcia.

— Ale co ty na to możesz poradzić?

— O, bardzo wiele — odrzekł Krygier chytrze.

Regina zauważyła jego wyraz twarzy. Drgnęła. W oczach błysnęły jej złe ogniki.

— To ohydne! Gdy człowiek nie jest zdolny do miłości, niechaj przynajmniej innym nie przeszkadza w tym.

— Mnie jego miłość nie wzrusza, nie grzeje ani nie ziębi. Ale nie mogę zaniedbać moich najważniejszych spraw dla jego miłości. Janek jest doskonałym robotnikiem. Ma złote ręce, a skarbiec ustawili pierwszorzędni inżynierowie zagraniczni. Nie będę w stanie sam uporać się z pancierzem stalowym i betonem chroniącym skarbiec przed włamaniem. A Janek celuje w takich włamaniach.

— Więc?

— A on, łajdak, włóczy się gdzieś ze swoją Anielą. Już dwa dni nie spotkałem go. Obawiam się, że Aniela oderwie go od nas na zawsze. I na to mam jedną tylko radę.

— ?

— Kobietę.

— Ja się nie nadaję do tego.

— Wręcz przeciwnie. O ile tylko zechcesz...

— To wykluczone.

— Dlaczego?

— Wstydzę się nawet za ciebie, że się podlisz i znizasz do roli alfonsa.

Krygier zagryzł wargi. Regina trafiła w czułe miejsce. Ale nie dał się zbić z tropu.

— Zmierzam do celu bez względu na przeszkody. Są wypadki, kiedy muszę stosować środki przeciwne memu charakterowi. Dojdę do celu, nawet gdyby mi wypadło kroczyć po trupach.

Regina utkwiała wzrok w twarzy Krygiera. Gdzie jego „wzorowa moralność złodzieja”? Jak śmie postępować wbrew etyce światka podziemnego?

— Odrzucam twoją podłą propozycję.

— Odmówisz mi posłuszeństwa? Hm... Tego się po tobie nie spodziewałem. A przed chwilą powiedziałaś mi, że dla mnie uczyniłabyś wszystko.

— Nie, tego nie zrobię! — wybuchnęła Regina płaczem.

— Nie zrobisz? Dobrze. Wiedźże o tym, że przyrzeczonych na dziś pięćset dolarów nie dostaniesz.

— Mało usług ci oddałam?

— Moje trzy walizy, które tu stoją, jeszcze dziś stąd zabiorę.

Wetknął w oko monokl i skierował się do wyjścia.

— Krygier! — zawołała Regina zrozpaczona.

— Więc jak? Zgadzasz się na moją propozycję?

— Muszę...

— Od razu trzeba było udzielić zgody.

Krygier wielkopańskim gestem wyjął portfel z kieszeni, wyłożył pięć banknotów stu-dolarowych i rzekł:

— Nie martw się. Nigdy tego nie pożałujesz.

Regina przez pewien czas trwała w milczeniu. Dławiła w sobie płacz, przesłaniając oczy chusteczką. Odezwała się złamanym głosem:

— Gdybym nie musiała dziś przekazać należności za dwa miesiące pobytu moich dzieci w internacie w Szwajcarii, nie zgodziłabym się na twoje żądanie. Z miłości do ukochanego zostałam żoną złodzieja, z miłości do dzieci upadam coraz niżej...

— Dosyć tego! Nigdy bym nie uwierzył, że ty, którą ludzie nocy przezywają „cichym aniołem śmierci”, jesteś taka sentymentalna.

Regina uspokoiła się. Zapytała:

— Co mam robić? Spełnię twoje rozkazy, ale zastrzegam się, że za skutki nie ręczę. Wątpię, czy Janek da się uwikłać w sieci, które nastawię.

— Uważaj tylko na siebie i bacz, abyś dobrze wywiązała się z zadania. Pamiętaj, że Janek inaczej spogląda na Aniełę, a inaczej na inne kobiety... Reszta zależy od ciebie.

Reginę opanowały sprzeczne uczucia. Chciała krzyczeć, płakać, napluć mu w twarz, wzywać pomocy, zadenuncjować policji... Zmysł praktyczny powstrzymywał ją od szaleństwa.

„Zbyt związana jestem z tą bandą. W wielu przestępstwach brałam czynny udział. Nie stać mnie na takie ryzyko. Dzieci moje pozostaną bez matki...” — rozumowała w duchu.

Krygier obserwował jej twarz, z której jakby wyczytał wewnętrzną walkę. Regina, ujrawszy grymas na jego twarzy, rzekła:

— Co z tego wyniknie?

— Już ci powiedziałem: dostań go tylko w swoje sidła. Bądź kuszącą kobietą... Resztę sam wykonam.

Na pożegnanie pocałował dłoń Reginy.

— Wybacz, że ci sprawiłem mimowolnie przykrość, ale wiesz, że prowadzę ostrą walkę z policją i społeczeństwem. Dlatego obce mi są uczucia litości, o której frajerzy prawią ludziom na każdym kroku.

— A bodajbym was nigdy nie poznała i na zawsze pozostała frajerką...

— I ja też... — dodał Krygier.

ROZDZIAŁ XXIV

Janek, Krygier i Moryc w porę ulotnili się z hotelu, w którym zamieszkali. W międzyczasie zdążyli rozpruć jedną z kas. Zrabowane pieniądze uważali za sumy potrzebne na „drobne wydatki” do czasu wykonania głównej roboty, na którą Krygier zaprosił ich do Warszawy.

Komisarz Żarski był bliski utraty zmysłów. Wysiłki jego, zmierzające do zlikwidowania bandy rozpruwaczy, spełzły na niczym.

Złodziej, Walka, Pozycja społeczna

Także aspirant Wołków nie trwał w bezczynności. Robił, co mógł, ale bezskutecznie. Schudł. Lica jego pokryła chorobliwa bladość. Zaniedbał nawet przyjaciółkę, zwaną „zimną kokotą”, która zdążyła już urządzać mu kilka awantur i zagrozić, że go skompromituje. Nadaremnie przebiegał się i charakteryzował do niepoznania, gdy wybierał się na „łowy”, ale bez rezultatu.

A nasza trójka hultajska najmniej przejmowała się tym, że czołowi kierownicy brygady śledczej nie mogą spać po nocach.

Kto by uwierzył, że Krygier, nieustraszony król kasiarzy, ulokuje się jako sublokator u wdowy po prokuratorze?...

A pani prokuratorowa chwaliła go jako bardzo porządnego sublokatora i uczciwego człowieka, mówiła o nim, że to dżentelmen w każdym calu...

Moryc znów odnajdł pokój w luksusowym mieszkaniu, którego główny lokator podpadł i poszukiwał na sublokatora „eleganckiego pana”...

To samo uczynił Klawy Janek. On znów zamieszkał u emerytowanej nauczycielki gimnazjalnej. Gospodyni chwaliła ją przed kumą: „tak inteligentnego młodego człowieka jeszcze nie miałam u siebie”.

Trójka nasza wychodziła ze słusznego założenia, że jako sublokatorzy w prywatnych mieszkaniach będą mniej „widzialni”. Aniela znów nie miała potrzeby, jak sądziła, ukrywania się przed policją. Odnajęła skromny pokój przy inteligentnej rodzinie. Czyż mogła przypuszczać, że pozostawiła po sobie ślady pod parkanem Pawiaka? Że jej pantofle wycisnęły swoje piętno na mokrej ziemi? Nie wpadło jej na myśl, że pozostawiony pantofel w willi Krygiera może stać się bronią przeciw niej i... Nie, nie mogła przewidzieć, że jej pantofel będzie skarbem w ręku komisarza Żarskiego...

Aniela przypadkowo spotkała na ulicy ojca. Był to dla niej wielki wstrząs moralny.. Staszek „Lipa” postarzał się. Nagła utrata jedynej córki, którą chciał wychować na pożytecznego członka społeczeństwa, wytrąciła go z równowagi. Staszek „Lipa”, który swoją prezencją zewnętrzną nie budził podejrzeń i mógł dostać się bez przeszkód do każdego towarzystwa, sprawiał teraz wrażenie łachudry i pijaka z nizin.

Na jego widok z piersi Anieli wydobył się okrzyk rozpacz. Ale Staszek „Lipa”, uradowany przypadkowym odnalezieniem dziecka, wziął Anielę za rękę, niby małą dziewczynkę. Nie broniła się. Poszła z tatą.

Czas rozłąki trzymał Staszka „Lipę” w nieustannym strachu o los córki. Wiedział z doświadczenia, jaki jest zazwyczaj koniec miłości z ludźmi z jego sfery... Najcięższa kara więzienia nie zwałiłaby go z nóg, ale myśl o tym, że jego córka jego, Aniela, może stać się kobietą ulicy, doprowadzała go do rozpacz.

Gdy przybyli do pokoju hotelowego, w którym Staszek „Lipa” zamieszkał, wziął ją na kolana, jak za czasów dzieciństwa, obsypał ją pocałunkami i szeptał:

— Anielciu, droga, kochana, powiedz mi... chcę wiedzieć...

Na twarzy jego odmalowała się groza tragedii ojcowskiej.

— Jestem, co prawda, twoją córką, ale wstydu ci nie przysporzę...

— A czyż mogłaś mi wyrządzić większą krzywdę od tej, jaką jest ucieczka z mego domu z Klawym Jankiem?

— Jeżeli powracasz do tego tematu, lepiej będzie, gdy sobie stąd pójde.

Uwolniła się z objęć ojca i zabrała się do wyjścia. Ale Staszek „Lipa” nie zamierzał puścić teraz córki. Jednym skokiem był przy niej. Jego oczy nabrały dziwnego, odrażającego blasku. Krew nabiegła mu do twarzy. Po raz pierwszy ujrzała go w takim stanie.

„Tak musi wyglądać, gdy popełnia zbrodnię” — przebiegła jej mózg myśl. Serce jej ścisnął kurczowy ból. Krzyknęła:

— Tato!...

Instynkt samozachowawczy doradzał jej, by czym prędzej stąd uciekła. Dreszczem przejmował ją uśmiech, który wykrzywił usta ojca. Jego palce upodobiły się do szponów drapieżnika. Posuwał się teraz ku niej wolnymi, ledwie dostrzegalnymi kroczkami. Zdawało się jej, że już czuje na swojej szyi te palce, które lada moment zacisną się jeszcze silniej.

— Zadzuszę cię!... — syknął ojciec na w pół oszalały.

W mgnieniu oka Aniela odskoczyła od ojca. Raptownie nacisnęła klamkę. Drzwi lekko się uchyliły. Wypadła na klatkę schodową. Jednym susem, zwinnie zbiegła ze schodów.

Staszek „Lipa” popędził za nią. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stracił równowagę i runął w dół... Łoskot spadającego ciała zmieszał się z okrzykiem przerażenia. A potem rozległy się jęki.

Przez krótką chwilę Aniela stała na dole i nadsluchiwała. Wrócić czy oddalić się? Przemogło w niej uczucie córki. Pobiegła w górę. Pomogła mu podnieść się. Wąski strumyk krwi sączył się z jego głowy. Karetka pogotowia ratunkowego przewiozła go do szpitala. Gdy wyzdrowiał po tygodniu, znów prześladował córkę ojcowską miłością, zaklinając na wszystko, by zerwała z Jankiem i wyjechała z nim w świat. I choć Aniela w Poznaniu zdecydowała się na zerwanie z Jankiem, nie starczyło jej na to odwagi. Uwolniła się od ojca, gdy wynajęła w nowo wybudowanej dzielnicy pokój przy rodzinie. Adres jej znał tylko Janek, z którym całymi dniami obmyślała plany uwolnienia się od niebezpiecznego Krygiera, jedynej przeszkody w ich szczęściu.

Janek, który siedział teraz przytulony do Anieli i przeżywał drogie chwile szczęścia zakochanego, jakby naraz przebudził się:

— Sam nie wiem... Przy tobie nie chcę myśleć o niczym... Daj mi szczęście... Daj mi słodycz twoich ust, rozkosz twojej młodości...

Przywarli do siebie w największym uniesieniu. Jankowi zdawało się, że teraz już go nie odrząci i że połączą się na zawsze. I Aniela czuła, że traci siły. Była bezwolna w jego ramionach. Ale oto przypomniała sobie scenę w pokoju hotelowym w Warszawie, kiedy Janek rzucił się na nią niby zgłodniałe zwierzę. W błyskawicznym tempie przesuwały się teraz przed jej oczami obrazy przeszłości. Przypomniała sobie chwilę podobną w willi Krygiera w Poznaniu. I tam zdawało się, że...

— Czemu znęcasz się nade mną? — wyjąkał złamany i zdruzgotany.

— Musisz się hartować, abyś umiał stawiać czoło pokusie kobiety — odrzekła z ironią.

— Pożądaj cię każdym drgnieniem mojej duszy.

— Czy Janek ma w ogóle duszę? — drażniła go.

— Mam, może wyrodną, ale tylko ty potrafisz ją przekształcić. Ty możesz mnie wyciągnąć z bagna. Jesteś dla mnie jedyną kobietą na ziemi. Ty dasz mi szczęście.

— Przez ciebie przemawia teraz złodziejska krew... Poczujesz, zdobycz...

— Nie urodziłem się złodziejem... życie nauczyło mnie kraść.

— Ciekawa jestem, jak to się zaczęło.

— To smutna historia. Byłem sierotą. Cierpiałem nędzę i głód. Po raz pierwszy ukra-
dłem ogórek.

— Ogórek? — roześmiała się Aniela. — I takie głupstwo zaprowadziło cię...

— Od tego tylko się zaczęło — przerwał jej Janek. — Kodeks karny nie zna kompromisu. Społeczeństwo dopatruje się niekiedy większej zbrodni w kradzieży głupiego ogórka, niż w wywołaniu pożogi światowej. Złodziej ogórka w bardzo krótkim czasie urósł na rozpruwacza kas.

— Ile miałeś wówczas lat?

— Piętnaście. W rok później odumarała mi także macocha. To była ohydna kobieta! Odmawiała mi jechania, chcąc mnie zmusić do potwornych rzeczy...

— Czego chciała od ciebie?

— Prawdę powiedziawszy, wówczas nie wiedziałem nawet dokładnie, o co jej chodziło.. Ale potem zrozumiałem wszystko... Była zdemoralizowana do szpiku kości... Byłem głodny. Udałem się na rynek. Skradłem ogórek kwaszony. Straganiarki rzuciły się na mnie. Oddano mnie w ręce policji. I tak trafiłem do Domu Poprawczego. Po sześciomiesięcznym pobycie w Domu Poprawczym udało mi się zbiec. Tam koledzy wyszkolili mnie w dziele złodziejskim...

— Co było dalej? — zapytała zaintrygowana tą spowiedzią Aniela.

— Byłaby to zbyt długa historia. I musiałbym to opowiadać tygodniami. Ważniejsze od tego, co było, jest terażniejszość. A obecnie jestem szczęśliwy, że mam ciebie przy boku.

Objął ją ramieniem i obsypał pocałunkami.

Złodziej

— Dosyć się naciępałeś — odezwała się Aniela — i dlatego już najwyższy czas, abys skończył z tym psim życiem.

— A czyż ja tego nie chcę?

— Nie dotrzymujesz słowa. W ubiegłym tygodniu znowu brałeś udział w wyprawie.

Janek zawstydzony zwiesił głowę. Odparł:

— Byłem goły.

— A co robią inni, gdy nie mają pieniędzy? Nie wszyscy kradną!

— Widzę jak na dłoni, na czym się skończy: powędruję znów za kraty, a ty... ty posłubisz lepszego ode mnie...

— Nie, najdroższy! Nas tylko śmierć zdoła rozdzielić!

Aniela zarzuciła na szyję Janka ramiona i spojrzawszy mu prosto w oczy, zapytała go:

— Będziesz jeszcze kradł?

— Tak — padła odpowiedź.

Aniela odskoczyła od niego, jakby rażona prądem. Splunęła tuż przy nim i krzyknęła:

— Precz stąd! Wynieś się z tego domu i nie wracaj tu! A ja sądziłam, że ty naprawdę mnie kochasz!...

— Anielo! — rzekł Janek w skupieniu. — Nie odtrącaj mnie! Bądź moja!... Zaczynam cię podejrzewać, że mnie nie kochasz, bawisz się moim kosztem. Daj mi dowód, że należę do ciebie, a przestanę kraść.

— Idź, kradnij, rób, co ci się żywnie podoba. I tak zdechniesz złodziejską śmiercią!

— Wypędzasz mnie?

— Tak. Mój warunek brzmi: zerwiesz z tym światem, wyjedziesz ze mną za granicę, a gdy rok czasu wytrzymasz w nowym życiu, dopiero wówczas będę twoją.

Janek był oszołomiony tym nagłym zwrotem.

Wiedział, że teraz musi się zdobyć na decyzję, a na to brakło mu odwagi. Zbliżył się do Anieli i na klęczkach ją błagał:

— Jeszcze jeden raz muszę uczestniczyć w wyprawie Krygiera. Za dwa tygodnie będę po wszystkim. A potem pójdę z tobą, gdzie tylko każesz. Nie zabraknie nam pieniędzy. Urządzimy się wygodnie, w dostatku. Daleko od wszystkich. Będziemy żyli w szczęściu, jak para gołąbków...

— Nie — zagrział nad nim głos Anieli. — Wolę mieszkać z tobą w suterynie, chodzić boso i nago niż w pałacu i kosztownych strojach za kradzione pieniądze. Wybieraj: ja albo Krygier.

— Zapominasz o tym, co Krygier uczynił dla mnie — odezwał się po chwili Janek. — Wydobył mnie z więzienia. Musiał z mego powodu uciekać do Poznania. Nie mogę tak nikczemnie postępować wobec niego. Tylko ta jedna, ostatnia robota i...

— Ja albo Krygier — ponowiła stanowczo swoje żądanie.

Janek byłby gotów uciec z Anielą na koniec świata, gdyby nie jego ambicja złodzieja, która nie pozwalała mu tak postąpić wobec „swego” człowieka, poniekąd dobrodzieja.

Janek biegł nerwowo po pokoju. Był między młotem i kowadłem. Nerwy jego nie wytrzymały tego napięcia. Podszedł do okna, by zaczerpnąć zimnego powietrza. Naraz przystanął i rzekł:

— Zanim rozstaniemy się, pragnę cię tylko o jedno zapytać.

— Mów szybko, ale tylko prawdę.

— Otrzymałem poufną wiadomość, że natrafiono na ślady twoich stóp pod Pawiakiem, które utrwalono w gipsie. Czyś czasem nie zostawiła w willi Krygiera swoich pantofelków?

— Tak. Ale co to ma wspólnego?...

— Nawet bardzo dużo wspólnego — przerwał jej Janek. — Teraz i ty już jesteś „w porządku”. Za to przestępstwo grozi ci do sześciu lat więzienia.

— Co???

— Taka jest naga prawda.

Trupia bladeść pokryła lica Anieli, która przeraziła się tej ewentualności. Wybuchnęła płaczem.

— Ach, ja nieszczęśliwa!...

— Nie rozpaczaj. Płacz nie pomoże. Powiedziałem ci to nie po to, abys się martwiła, lecz abys zrozumiała, że bez pieniędzy zginiemy.

— Co będzie? — wyjąkała.

— Muszę jeszcze raz uczestniczyć w wyprawie Krygiera. Muszę skwitować z długu. Nigdy nie dopuściłem się wobec kompanów czynu sprzecznego z etyką ludzi podziemi. Chcę się z nimi rozstać tak, aby nikt nie mógł mi czynić wyrzutów. Musisz mnie zrozumieć.

Aniela nie odezwała się słowem.

— Dlaczego milczysz?

— Com miała powiedzieć, już ci oświadczyłam. Stanowiska mego nie zmieniałam: ja albo Krygier.

— Nie zapominaj, że to nie tylko o mnie chodzi, ale także i o ciebie. Nie przeżyłbym tego, gdybyś miała być wtrącona do więzienia.

— Troszcz się o siebie, nie o mnie.

— To twoje ostatnie słowo?

Aniela nie znalazła odpowiedzi. Już wiele doświadczyła w życiu, które nauczyło ją rozumieć nie tylko swoje pragnienia. Zdawała sobie sprawę ze stanu duchowego, podniecenia Janka, którego trawiła gorączka zmysłów. Nie dziwiła się, że przy niej traci panowanie nad sobą. Dlaczegoż miałby być lepszy od ludzi z towarzystwa, którzy na jej widok z dżentelmenów zamieniali się na hieny, gotowe w każdej chwili do skoku na upartą zdobycz. Na każdym kroku mężczyźni dali jej do poznania, że świat dzieli się na dwa gatunki — na samce i samice.

Przysunęła się do Janka tak blisko, że ustami muskała jego twarz. Oparła głowę o jego ramię i szeptała:

— Jak mi źle na świecie. Muszę walczyć ze sobą, staczać boje z tobą, z ojcem, z policją, z całym światem, i to wszystko po to, byś mógł być na zawsze moim. Wiem, że mógłbyś być dobrym człowiekiem, gdyby nie twoja przekłeta przeszłość.

Aniela rozpląkała się. Zakryła twarz rękami i przywarła ciałem do tapczanu. Janek przez chwilę spoglądał na nią bezradnie. Ale oto myśli jego zaczęły krążyć dokoła innej sprawy. Nie słyszał teraz jej płaczu. Oczy jego przykuwała wąska kibić i zgrabne nóżki Anieli. Postanowił wykorzystać jej chwilę słabości. W mgnieniu oka oplótł ją silnymi, stalowymi ramionami.

Aniela była bezsilna wobec niego. W mózgu jej huczało: „uczyni ze mną, co zechce...”.

Ale oto rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Po chwili ktoś stanął na progu pokoju.

Janek odskoczył na bok i najpierw z przerażeniem, a potem z oburzeniem utkwił wzrok w przybyłym. Na progu stał Krygier. Ironiczny uśmiech zaigrał na jego ustach.

— Czego tu chcesz? — zawołał ostro Janek.

— Spokojnie, tylko spokojnie — odparł Krygier. — Powinieneś być zadowolony, że w porę się tu zjawiłem...

Aniela, opanowawszy wstyd, rozkazała Jankowi:

— Precz stąd...

Janek z początku nie wiedział, jak zareagować na afront Anieli w obecności Krygiera, ale gdy pierwsze wrażenie minęło, zwrócił się do Krygiera:

— Krygier, chodźmy stąd!

Na odchodne rzucił pod adresem Anieli:

— Dość mam tego wodzenia za nos! Ja cię jeszcze nauczę!

Krygier ukrył zadowolenie z powodu obrotu sprawy. Szedł obok Janka milczący, jakby świadomie nie chciał przerwać milczenia, które zapanowało między nimi na ulicy. Janek pierwszy odezwał się:

— Przeszkodziłeś mi! Nigdy ci tego nie zapomnę! Gdyby nie ty...

Naraz Janek przystanął na chodniku i rzekł:

— Muszę do niej wrócić.

— Co? Już trapią cię wyrzuty sumienia?

Janek nie odpowiedział.

— Słuchaj, Janku! Od wielu dni nadaremnie cię poszukuję, wreszcie teraz mam okazję powiedzenia ci, co o tym sądzę. Wybij sobie z głowy tę dziewczynę. Ona nie jest dla ciebie. Najlepszy dowód, że po dziś dzień jeszcze nie jest twoją...

— To moja wina... — mruknął Janek.

Kobieta, Mężczyzna, Obraz
świata, Seks

— Ale po co zawracasz sobie z nią głowę? Nie zapominaj, że Aniela jest córką złodzieja. Przemocy nie wolno ci stosować.

— Znadto grała mi na nerwach! Człowiek nie jest ze stali!

— Nie brak innych kobiet.

— Muszę wrócić do Anieli. Muszę ją przeprosić. Miłość moja jest silniejsza ode mnie!...

— Nie bądź pantoflarzem! Kobiety nie lubią mężczyzn, którzy tarzają się u ich stóp. O ile nie chcesz jej stracić, nie wracaj teraz.

— Może masz rację. Ale mam do ciebie prośbę. Idź do niej na górę. Obawiam się, by nie popełniła samobójstwa. Będę czekał tu na ciebie.

— Nie kręć się na ulicy. To może być niebezpieczne. Idź do Reginy, a ja tam wrócę — wykombinował Krygier.

Krygier zastał drzwi pokoju Anieli zamknięte na klucz. Po dłuższym pukaniu Aniela wpuściła go. Była zajęta pakowaniem rzeczy do walizki.

— Czego pan sobie życzy?

— Muszę z panią pomówić — odrzekł Krygier i nie czekając, aż go poprosi, rozsiadł się wygodnie na krześle.

Krygier w duchu przyznał Jankowi słuszność. Aniela warta jest poświęcenia i miłości. Urok bił z każdego jej ruchu, gestu, słowa. Krygier szybko umiał wyzwalać się spod czaru kobiety. Przystąpił więc od razu do rzeczy.

— Dokąd się pani wybiera, że pakuje manatki?

— Czy ze wszystkiego muszę panu zdawać relację?

— Jeżeli pani ma zamiar prowadzić rozmowę w tym tonie, wolę od razu panią pożegnać. Pragnę tylko dodać, że przybyłem tu raczej dla pani dobra.

— Gdzie on?

— Już pani za nim tęskni?

— O, nie — odrzekła nieco zażenowana i zarumieniona. — Rozczarowałam się zupełnie co do niego, gdyby nie pańskie nagłe zjawienie się w moim pokoju, byłby mnie przecież udusił, ten bandyta...

Krygier, uśmiechając się, powiedział:

— Chyba wiem lepiej od pani, do czego Janek jest zdolny.

Rozmowa się urwała. Aniela zamyślona wyglądała przez okno. Promienie słońca zimowego rzucały na jej twarz dziwny blask, który wskrzesił w skamieniałym sercu Krygiera iskrę uczucia ojcowskiego. Odezwał się do niej:

— Znam dobrze ojca pani. Serce mnie boli, że córka „swego” człowieka będzie skrzywdzona przez jednego z ludzi nocy. To, co miało miejsce przed pół godziną między wami wystarczy, aby pani zerwała z Jankiem i wróciła do ojca.

Aniela zawstydzona zwiesza głowę:

— Oho, już nie pozostanę z nim nigdy w cztery oczy. Mężczyźni są jak dzikie zwierzęta...

— Jeszcze pani młoda. I czeka ją nie jeden podstęp. Tak urocza kobieta, jak pani, musi się zawsze mieć na bacności. Na piękną kobietę wszędzie zastawiają sieci. Niekoniecznie tylko w świecie podziemnym. Nawet gdyby mu się udało stąd zwać i osiedlić się z panią za granicą, czyż tam brak zdolnych detektywów i więźni? On wszędzie będzie tym, kim jest. Za granicą, zresztą, nie brak kas ogniotrwałych.

Aniela nie dała się zbić z tropu. Wzrastało w niej przekonanie, że Krygier przybył tu, by ją rozłączyć z Jankiem.

— Pan chce go zożyć w moich oczach. Zależy panu, bym zwróciła Jankowi wolność. Chce go pan eksploatować do swoich złodziejskich celów. Oho, zdążyłam już pana przejrzeć. Pan jest człowiekiem bez serca. Kroczy pan po trupach. Janek dostał się w pańskie sieci.

— Przesada. Jesteśmy obaj ofiarami sieci, nastawionych na nas przez społeczeństwo. Już nikt i nic nas nic zmieni. Pani jest obce uczucie zemsty, którym społeczeństwo przepoiło nasze serca potępionych. I nie pomoże nawet takie uczucie, które rodzi miłość. Janek pójdzie po linię zakreślonej mu przez życie. Nawet miłość pani na nic się tu nie zda.

— Nie, nie, nie! Kocham, go i wyciągnę go z tej matni! Nie pozwolę na to, by gnił w więzieniu!

— Egzaltacja!... — ironizował Krygier. — Pani żyje w wielkim błędzie. Jest pani zbyt młoda i niedoświadczona, aby wszystko ogarnąć. Pierwsza lepsza kobieta, która tylko potrafi pobudzić jego pożądlivość, może sprawić, by Janek zdradził panią przy pierwszej nadarżającej się okazji. Tacy już jesteśmy, mężczyźni.

— Pan mnie nie przekona. On jest inny. Co Janek robił przedtem, mnie nie obchodzi, ale od czasu, gdy mnie pokochał...

— W takim razie szkoda moich słów. Chciałem pani otworzyć oczy, ale, skoro tak, może i lepiej, że pani będzie nadal zaślepiona...

— Ale niech pan od razu mówi, bez tych wstępów i usprawiedliwień! — podniecała się Aniela.

— Jestem w życiu pedantem i pragnę wszystko mieć w idealnym porządku. Jeżeli pani chce, bym jej wszystko opowiedział, proszę przedtem napisać do mego notesika następujące słowa:

„Ja, niżej podpisana, Aniela, córka Staśka »Lipy« zobowiązuje się nigdy nie zdradzić nazwiska osoby, która dla mego dobra zdemaskowała Janka”.

Aniela, która była już kłębkim nerwów, spełniła życzenie Krygiera, byle dowiedzieć się czym prędzej prawdy o Janku.

— Twój Janek — rzekł teraz Krygier poufnym tonem — zdradza cię z inną!

— Co?...

— Niestety, to prawda.

Aniela była bliska obłądu. Chciała krzyknąć, płakać, tłuc głową o ścianę. Ale naraz uprzytomniła sobie, że Krygier stara się za wszelką cenę ich rozłączyć. W przystępie szału, schwyciła go za klapy i zawołała:

— Podły! Tyranie! Precz stąd!...

— Milczeć! Siadaj i słuchaj!

Słowa te były wyrzeczone z taką mocą, że Aniela mimo woli wykonała jego rozkaz.

— Nie cofam nigdy słów. Jeżeli mi nie ufasz, mogę cię o tym przekonać. Proszę ze mną.

Aniela machinalnie sięgnęła po palto i kapelusz.

— Ale jeszcze raz proszę o dyskrecję — powiedział Krygier, gdy znaleźli się na ulicy. — I musi mi pani przyrzec, że zachowa się tam spokojnie i nie wywoła awantur.

Po otrzymaniu tych zapewnień, Krygier podał Anieli adres Reginy.

— Tam zastaniesz Janka — powiedział jej tajemniczo.

Krygier wszystko świetnie obmyślił i wyreżyserował. Jego potworna gra udała się. Powiodło mu się na obu frontach: u Anieli i u Janka.

Aniela, ledwie przekroczyła próg mieszkania Reginy, nie czekając na zgodę pokojówki, pobięła do dalszych pokoi i...

Jak wpadła, tak wypadła z mieszkania Reginy. Nagłe przybycie Anieli spadło na Janka jak grom z jasnego nieba! Aniela zastała go w niedwuznacznej pozycji. Splunęła mu w twarz i wybiegła bez słowa.

ROZDZIAŁ XXV

Krygier osiągnął swój cel. Janek był mu całkowicie posłuszny. Po wyspie u Reginy zrezygnował z Anieli. Szukał zapomnienia w kieliszku. Zaczął pić. Teraz Janek naglił z robotą.

Gdy o tym wypadku dowiedział się Moryc, zacierał ręce z zadowolenia. Radowała go myśl, że Aniela zerwała z Jankiem. Dawało mu to nadzieję pozyskania względów Anieli. Był przekonany, że teraz wybiła „jego” godzina...

I tak każdy z członków bandy Krygiera skrobał sobie rzepkę... A razem zgodnie pracowali nad ograbieniem skarbcza, który znajdował się w podziemiach wyróżniającego się solidną budową domu w Śródmieściu. Był to dom należący do jednego ze znanych bankierów międzynarodowych, który zbudował wybitny architekt. Jeden z najzdolniejszych inżynierów-konstruktorów wybudował w podziemiach ze stali i betonu skarbiec, w którym bogaci ludzie wynajmowali safesy dla przechowania kosztowności i większych sum.

Skarbiec ten cieszył się najlepszą opinią u ludzi z bogatych sfer. Wiedziano, że ten skarbiec jest zupełnie pewny i że żaden włamywacz nie będzie w stanie pokonać trudności, jakie nastęrczyłaby chęć dostania się doń.

Krygier nie zważał nawet na to, że wielokrotne próby zamachu na ten skarbiec, podejmowane przez najsmielszych rozpruwaczy, nie powiodły się. Krygier miał swój system. Szedł z duchem czasu. Konstruktorzy ulepszyli skarbcę, a on ulepszył narzędzia do ich rozpruwania. Wychodził z założenia, że nie ma takiej rzeczy zbudowanej przez człowieka, której inny człowiek nie byłby w stanie zepsuć. Kierując się tą zasadą, postanowił dobrać się do skarbcza, którego safesy miały być wypełnione złotem, brylantami, perłami i innymi kosztownościami.

I nastąpiła decydująca chwila. Po północy uczestnicy tej wyprawy sunęli jeden za drugim, niby zakłęte duchy, ciemnym tunelem podziemnym, który biegł od dobrze zainstalowanego garażu. Raz po raz odkręcali kontakt, by oświetlić na kilka chwil drogę.

Janek posuwał się za Krygierem automatycznie, nie rozmyślając nad tym, dokąd i po co odbywają ten pochód w podziemnym tunelu. I teraz posuwając się pochylony w wilgotnym tunelu, przypomniał sobie, jak Aniela wyglądała, jaka pogarda biła z jej twarzy, gdy przekonała się w mieszkaniu Reginy o tym, do czego jest zdolny... Janek czuł teraz do siebie odrazę. Z takimi myślami Janek posuwał się posuszny krok w krok za Krygierem.

Za nimi szedł Moryc zgięty we dwoje. W myśli obliczał, jaki będzie połów i ile przypadnie mu w udziale. Nawet w takich chwilach był businessmanem...

Antek i Felek, jako ich pomocnicy, wlekli za sobą na sznurze walizki z narzędziami.

Pochód tej szóstki podziemnym tunelem, urządzonym na wzór korytarzy w kopalniach węgla, wywierał niesamowite wrażenie. Raz po raz gasili za sobą światło, przekraczając kontakty, licznie przymocowane do ścian. W tunelu panowała cisza grobowa. Tylko od czasu do czasu rozbrzmiewało tu echo przejeżdżającego tramwaju nocnego. Wówczas mieli wrażenie, jakby tramwaj toczył się po ich głowach.

— Stop! — naraz zawołał Moryc, a głos jego zdradzał przerażenie.

— Co się stało? — padło raz po raz sześciokrotnie powtórzone pytanie, a serca uczestników tej „ekipy” zabiły mocno i niespokojnie.

— Usłyszałem zgrzyt. Zdaje się, że ktoś tam się dobiera. — wyszeptał Moryc.

Przez chwilę wszyscy stali bez ruchu, jakby skamienieli. Natężyli słuch, by pochwycić najmniejszy szmer. Naraz kilka szczurów prześlizgnęło się między nogami Moryca. Ten odskoczył, nie mogąc opanować okrzyku, który wyrwał mu się z piersi. Jego przerażeniu towarzyszył wybuch śmiechu kompanów.

Wszyscy mieli na sobie kombinezony robotnicze, a na rękach, aż po łokcie, skórzane rękawice. Każdy zaopatrzony był w latarkę elektryczną — na wszelki wypadek, gdyby instalacja elektryczna zawiodła, no i — rewolwer — w razie gdyby...

Wreszcie dotarli do betonowej ściany skarbcza.

— Stoimy przed „burzujką” — rzekł z zadowoleniem Krygier.

Pod ścianą tunel rozszerzał się, by uczestnicy wyprawy mogli się swobodniej poruszać. Krygier wypróbował wytrzymałość ściany przy pomocy płynu chemicznego. W pewnej chwili odezwał się do Janka:

— Zapominasz, gdzie jesteśmy.

Janek powiódł ręką po czole, jakby chciał odpędzić od siebie natrętne myśli i jednocześnie uprzytomnić sobie coś ważnego. Nie wyrzekłszy ani słowa, Janek zbliżył się do ściany betonowej i zajął miejsce Krygiera.

Zebranych ogarnęła zrozumiała ciekawość. Z uwagą śledzili manipulacje Janka, który miał orzec o stopniu wytrzymałości betonowego muru. Również Janek manipulował płynem chemicznym, próbował nawet wkręcić się borem w mur...

— No, co sądzisz? — zapytał niecierpliwie Krygier.

Janek nie odrzekł, tylko chwycił za rydel, by odkopać sporo ziemi pod ścianą.

— Oszałałeś! — zawołał Krygier. — ściany mają fundamenty kilkumetrowej głębokości.

Ale Janek nadal cierpliwie kopał ziemię. Zimny pot ściekał po jego twarzy.

— Odrzućcie dalej ziemię — rozkazał. — Zaraz nie będzie czym oddychać.

Rozkaz Janka został wykonany. Odrzucono tyle ziemi przed siebie, że prawie zatarasowali odwrót

Dwie godziny kapano i odrzucano ziemię, ale bez wyniku. Janek po szyję stał w wykopanym dole. A fundament z tegoż betonu, co ściana, sięgał jeszcze dość głęboko. Dalej kopać było niemożliwością.

— Podaj mi rękę — zawołał Janek, by go wyciągnąć z grobu. Zmęczony zwałił się na grudę ziemi.

— Co będzie? — zapytał rozczarowany Moryc. — Cała praca była daremna.

Krygier odepchnął go od Janka.

— „Złota rączko”, siedź cicho. To nie twoja rzecz, co będzie dalej.

Janek znów skoczył do dołu i zabrał się energicznie do kopania. Popychała go jakaś niesamowita siła.

W chwilę potem i Krygier skoczył do dołu.

— Dosyć! — położył Krygier rękę na ramieniu Janka. — Dalej kapać nie wolno. Woda nas tu wnet zaleje.

Janek utkwiał w Krygierze dziwny wzrok, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje. Przy pomocy sznurów wyciągnięto ich obu z dołu, który natychmiast przysypano.

— Nie przejmuj się — uspakajał Krygier Janka. — Miałeś rację, że od dołu będzie łatwiej dostać się do skarbcza, ale ziemia jest tu gliniasta.

Ale naraz stała się rzecz nadspodziewana. Janek z okrzykiem: „duszę się!” rzucił się w stronę wylotu tunelu.

Krygier pobiegł za nim, wołając:

— Janku, nie uciekaj! Robotą musi być dziś ukończona! Mam już sposób na pokonanie przeszkód!

— Precz ode mnie! — zawołał Janek groźniejszym tonem. I nie czekając na dalsze perswazje, począł wymachiwać rewolwerem na znak groźby. Widząc z postawy Krygiera, że ma zamiar wytrącić mu broń z ręki, Janek dwukrotnie strzelił. Na szczęście kule utkwily w ścianach tunelu.

Wszyscy pośpieszyli z pomocą Krygierowi. Jankowi wyrwano browning z ręki, po czym związano go sznurem i rzucono na pagórek mokrej ziemi. Jankowi ukazała się piana na ustach. Rzucił się, wykrzykiwał, odgrażał się policją. Nie ulegało wątpliwości, że postradał zmysły. Kompani bezradnie spoglądali na Krygiera i niemym wzrokiem zapytywali, co będzie. Ale Krygier opanował wnet sytuację, poleciwszy swemu wiernemu słuzącemu „Milczkowi” pilnowanie chorego, pozostałym zaś uczestnikom wyprawy przydzielił inne funkcje tonem rozkazującym, wykluczającym opór i nieposłuszeństwo. Krygier był zdecydowany za wszelką cenę dostać się do skarbcza. I po długich godzinach pracy, gdy już zaczęło świtać, dokonano pierwszego wyłomu w skarbcu.

Krygier odetchnął z ulgą. Beton był większą przeszkodą od pancernej stali. Maszynki borujące szybciej dziurawiły ściany kasy od betonu, gdyż po ścianie betonowej bormaszynka ześlizguje się.

Jako król rozpruwaczy, Krygier w błyskawicznym tempie otwierał kasy. W ciągu godziny uczestnicy wyprawy ujrzeni owoc ryzykownego przedsięwzięcia. Kieszenie były niewystarczającym schowkiem dla łupu. Tyle złota, brylantów, klejnotów i pieniędzy jeszcze nigdy przedtem nie widzieli na oczy. Zaczęto nimi napępniać skórzane walizy, które zabrali ze sobą.

Byli tak pochłonięci ogromem szczęścia z powodu nadzwyczajnego łupu, że nie słyszeli dzikich okrzyków i wybuchów śmiechu oszalałego Janka. Na próżno „Milczek” mocował się z szalenicem. W żaden sposób nie można mu było zatkać ust. Wołał, że zabije Reginę, zadenuncjuje o wszystkim policji, błagał Anielę o przebaczenie.

Przed opuszczeniem skarbcza Krygier mokrą szmatą zmył ściany kas, mimo iż wszyscy pracowali w gumowych rękawiczkach. Krygier był znany ze swej przezorności. Baczył, by jego współnicy nie brali papierów wartościowych, przy zbyciu których można łatwo wpaść w ręce sprawiedliwości. Doradzał zgarniać tylko rzeczy bardzo wartościowe, gdyż na całkowite opróżnienie safesów trzeba by co najmniej dobę. A tu czas naglił. Trzeba było pomyśleć teraz z kolei o tym, jak ulotnić się stąd w niedostrzeżony sposób dla postronnego oka.

Jeden za drugim, obładowani słodkim ciężarem olbrzymiego łupu, posuwali się teraz w stronę tunelu, gdy naraz usłyszeli krzyki oszalałego Janka.

Potworna myśl przeszła im jednocześnie mózgi:

Trzeba go będzie „wystudzić”...

Ale żaden z uczestników wyprawy nie ważył się na głośne powtórzenie tej myśli. Bezradnie przystanęli przy Janku, na którego spoglądali przy świetle latarek. Zorientowali się w mgnieniu oka, że stan przyjaciela jest bardzo ciężki. Trudno było dopatrzeć się w nim bohatera podziemi. W milczeniu stali dokoła Janka. W myśli każdy zapytywał: „Jak tu się pozbyć tej nagłej przeszkody, by czym prędzej znaleźć się w bezpiecznym miejscu i móc przeliczyć »zarobek«?”. Chętnie by teraz zwiali, pozostawiając Janka własnemu losowi. Uczucie wstydu hamowało ich zapędy.

Milczenie przerwał Krygier:

— O, taki jest los zakochanego... Brać go!... — padł rozkaz. — Szkoda czasu...

Gdy próbowano wziąć Janka za ręce i nogi, zaczął się rzucać i krzyczeć:

— Oddajcie złoto i brylanty! Bandyci! Złodzieje! Aniello, pomóż mi!... Nie chcesz?...

Weź forsę i zamów dla mnie pogrzeb...

Janek oparł się o ścianę tunelu i na całe gardło począł popisywać się znaną rosyjską piosenką katorżnika.

— Zatkać mu usta! Ale tak, jak trzeba!... — rozkazał Krygier „Milczkowi”.

Sługa zawahał się.

— Masz spełnić rozkaz! Zbliżamy się do wylotu tunelu, a jego krzyki mogą nas zdradzić i bylibyśmy zgubieni.

— Czeka nas zguba — mruknęli wszyscy potwierdzająco. — Takie nadspodziewane nieszczęście!...

Po kilku minutach Janek miał usta zakneblowane. Wyglądał teraz okropnie. Jego duże oczy stały się większe, jakby za chwilę miały wyskoczyć z orbit. Drżał jak w febrze.

— Nakryć go czymś! — wydawał Krygier dalsze polecenia.

Wszyscy utkwili wzrok w twarzy Krygiera, oczekując z niecierpliwością dalszych jego poleceń.

Krygier był skupiony. Milczał. Na jego twarzy odmalowała się zacięta walka, która toczyła się teraz w jego duszy. Poznać było po nim, że chce powziąć decyzję wbrew sumieniu. Krygier, jakby się dziwnym to nie wydawało, miał hamulce moralne. Cierpiał z powodu nieszczęścia Janka. Byłby gotów zrezygnować z łupu za cenę przywrócenia zdrowia Jankowi. Zdawał sobie sprawę, że zawinił wobec Janka, którego nerwy nie wytrzymały ostatniej próby po tylu ciężkich przeżyciach. W duchu żałował, że wyreżyserował wypadek z Reginą.

Krygier w duchu obawiał się Moryca, który uchodził za starego przyjaciela Janka. Może sprzeciwić się wykonaniu jego postanowienia. Ale w tej samej chwili błysnęła mu myśl:

„Moryc zakochany jest w Anieli, będzie raczej zadowolony, że jego rywal zostanie uprzątnięty”.

Krygier odezwał się na głos:

— Jego trzeba tu zostawić — wskazał przy tym na Janka. — Nie widzę innego wyjścia.

Moryc utkwiał wzrok w twarzy Krygiera. I jakby naraz urósł o kilka głów wyżej. Z pogardą rzucał teraz Krygierowi słowa oburzenia i potępienia.

— Tak postępują ordynarni „kapusie”, a nie ludzie kulturalni.

Ledwie urwał, otrzymał silny cios między oczy od Krygiera, że zwałił się wprost na Janka. Jego upadkowi towarzyszył brzęk złota.

— I zapamiętaj sobie — dodał Krygier tonem pouczającym, nie tracąc spokoju — że nie masz prawa mnie moralizować. Wolę jednego straconego już, niestety, poświęcić, aniżeli sześciu.

Korytarz zaległa cisza śmiertelna. Po chwili Moryc podniósł się z miejsca i zaczął zbierać zgubione klejnoty i monety.

Rzucił krótko pod adresem Krygiera:

— Pożałujesz tego.

Wtem odezwali się jednocześnie Antek i Felek, którzy dotychczas nie brali udziału w tej rozmowie:

— Podejmujemy się wynieść stąd Janka.

— A czyż ja inaczej sądziłem? Zamierzałem tu potem skierować kogoś z taksówką, by go stąd wywieźć.

— Ja sprowadzę taksówkę — zaoferował się Felek. — Mam szofera, morowego chłopca. Na pewno się zgodzi. W ciągu dwudziestu minut będę tu z powrotem.

— Proszę bardzo — wyraził pierwszy zgodę Moryc — ale zechcesz przed wyjściem opróżnić kieszenie. Możesz zapomnieć o potrzebie powrotu do nas. To znany zresztą trik...

Nieufność stała się udziałem wszystkich. Nikomu nie chciało się wierzyć, by ktoś, mając taki skarb, gotów był narażać się na powrót na miejsce przestępstwa dla ratowania towarzysza.

Felek bez słowa zaczął wypróżniać kieszenie.

— Zamknij tylko za sobą drzwi garażu na klucz — rzucił mu na odchodne Krygier, niezadowolony z tego obrotu rzeczy.

Wszyscy stali zgrupowani dokoła Janka. Każda minuta wydawała się im wiecznością. Zegar wskazywał, że już dawno dzień nastał. Nad nimi panował w mieście ożywiony ruch. Zdawali sobie sprawę, że to pogarsza ich stan, choć łatwiej wślizgnąć się w ogólny ruch ludzki i nie wzbudzać podejrzania.

Czas upływał. Niepokój wzrastał. Każda minuta zwiększała niebezpieczeństwo...

W tym napięciu każdy z nich zastanawiał się nad planem wywiezienia Janka. Zdawali sobie sprawę, że to przedsięwzięcie nastrocza wysokie ryzyko. Cała wyprawa oraz włamanie do skarbcza nie kryło w sobie tyle niebezpieczeństw, ile nastroczało ratowanie oszalałego kompana. Wiedzieli też, że tu, w tunelu Janek nie może wyrządzić im krzywdy, ale tam — na górze...

Oho! Czyż trzeba wyjaśnić, jaka byłaby to sensacja gdyby pochwycono Janka, którego policja z całej Polski nadaremnie poszukuje od dłuższego czasu po niebywałej ucieczce z Pawiaka? A czyż mniejsza byłaby sensacja, gdyby wraz z Jankiem schwytano jego „świtę” z legendarnym Krygierem na czele?

Przyznawali w duszy, że najlepszym wyjściem byłoby pozostawienie Janka w tunelu... Ale charakter złodziejski nie pozwalał im na to.

— Jak go wyniesiemy stąd? — przerwał Krygier milczenie. — Przecież może nam „zaśpiewać” na górze tak, że płakać się będzie chciało.

— Mam na to radę — wtrącił się Moryc. — My, Amerykanie zawsze potrafimy kulturalnie załatwić sprawę.

— No, to pokaż już raz swoją kulturę amerykańską — denerwował się Krygier.

Moryc wyjął z kieszeni małą buteleczkę z płynem. Podsunął ją, po odkorkowaniu, pod nos Janka, który na chwilę podniósł głowę do góry, wybałuszył oczy, by potem zarzucić w tył głowę bezwładnie. Zasnął.

— Uważaj, by nie zasnął na wieki — dodał z przekąsem Krygier niezadowolony, że Moryc popisał się przed zgrają.

— Jesteś, co prawda, inżynierem — nie pozostał Moryc Krygierowi dłużny — ale wiedz, że ja coś niecoś wiem o chemikaliach. Grunt to kultura — dorzucił sentencjonalnie.

W tym momencie rozległ się turkot motoru, a w chwilę później usłyszano parol Felka. Wrócił z taksówką.

— Brać go! — zakomenderował Krygier. — Szkoda każdej chwili. Broń w pogotowiu!

Wszyscy zarepetowali automatyczną broń palną. Antek i „Milczek” powoli posuwali się w stronę garażu, nosząc „paczkę”. Wyprzedzała ich trójka, która miała baczyć, by nie było wssypy.

Ale taksówka ruszyła z miejsca i w mgnieniu oka zniknęła za zakrętem. Pełnym gazem pomknęła w stronę Pragi, gdzie zatrzymała się przed dwupiętrowym domkiem. Tam mieściła się melina „Bajgele”.

A Warszawa miała sensację! Czegoś podobnego jeszcze nie było! Gazety rozpisywały się o niebywałym włamaniu do banku, jego skarbcza i kasetek. I chociaż szczegółów było brak, reporterzy poświęcali olbrzymie opisy tej niebywałej grabieży. Kilka dni upłynęło, zanim można było dostać się do skarbcza i ustalić wysokość strat. Uszkodzone drzwi żelazne nie otwierały się. Dyrekcja banku telegraficznie wezwała z zagranicy inżyniera, który zbudował skarbiec. Dyrektorowie w duchu podejrzewali, że ze skarbcem nie wszystko jest w porządku, ale nikomu nie wpadło na myśl, nawet zawiadowczej policji, że drzwi te

zostały świadomie zasypane ziemią przez włamywaczy... A przecież nie mogło im wpaść na myśl, że gdzieś aż z czwartego podwórza włamywacze podkopywali się pod ziemią i tunelem dostali się do skarbcza...

Garaż, od którego nasza paczka rozpoczęła pracę podkopu, mieścił się na posesji położonej w odległości czterech domów od banku. Komuż to mógł wpaść do głowy taki pomysł? Dopiero gdy po wielkim wysiłku drzwi pancerne wyważono — pękła „bomba”.

Zabrano się przede wszystkim do dozorca domu, w którym mieścił się garaż. Dozorca nie ukrywał niczego. Przeciwnie — chwalił się nawet, że widział, jak wyniesiono z garażu dziwną paczkę, ale odtąd „ludzie z garażu” nie pokazywali się więcej.

Dozorca przechodził piekło w urzędzie. Posądzono go o udział w grabieży. Nie można było uwierzyć w to, by dozorca nie zauważył choć razu jednego, jak włamywacze wywozili wykonaną ziemię. Dozorca tłukł głową o mur, zaklinał się na wszystkie świętości, że o niczym nie wie i że niczego nie widział. Ale jego słowa nie budziły zaufania. Wzmocnił on podejrzenie władz śledczych w stosunku do swojej osoby, gdy nie rozpoznał nikogo z fotografii okazanych mu w Urzędzie Śledczym. Komisarz Żarski okazał mu również fotografię „Klawego Janka”.

I jakże dozorca mógł rozpoznać włamywaczy, kiedy uczestnicy zuchwałego przedsięwzięcia byli świetnie ucharakteryzowani? Nie tylko dozorca nie mógł ich o to podejrzewać, ale komisarz Żarski także nie wpadł na podobny pomysł...

Komisarz Żarski nie miał wątpliwości, że włamanie do skarbcza banku dokonali mieszkańcy willi w Poznaniu, ale nie miał się czego ucześcić. Włamywacze nie pozostawili po sobie żadnych śladów, które by ułatwiły ich wytropienie. Musiał teraz zachować większą ostrożność, tym bardziej, że w Poznaniu nie we wszystkim mu się powiodło. Ogrodnika, którego zatrzymał, musiał z braku dowodów winy uwolnić.

W rozmowie z hrabiną Mołdakową, którą zaprosił do siebie tuż po powrocie z Poznania, nabrał przekonania, że ogrodnik jest niewinny. Hrabina, dowiedziawszy się, od kogo nabył jej administrator willę w Poznaniu, zrezygnowała z przeprowadzki i pozostała w Warszawie.

Na dnie duszy Żarskiego rozmowy z hrabiną pozostawiły dziwny osad. Żarski miał blade przecucie, że hrabinę otacza jakaś tajemnica. Nie śmiał o tym mówić na głos.

Komisarz Żarski nie zapomniał o Anieli, która zniknęła niby kamfora. A jej pantofel, w co nie wątpił, że tak jest, strzegł u siebie jak źrenicy w oku.

A Wołkow przechodził tajemnicze przemiany. Był zakochany, zadumany, roztrzepany. Robak ukryty toczył jego organizm. Przyznał się w rozmowie z Żarskim, że zdrowie mu nie dopisuje i dlatego nie powiodły się jego usiłowania w kierunku wytropienia bandy. Po włamaniu do skarbcza Banku, Wołkow był tak wstrząśnięty, jakby co najmniej stracił wielki majątek ulokowany w jednej z kasetek ograbionego skarbcza. Z rozmów z Wołkowem komisarz Żarski przekonał się, że aspirant coraz częściej zagląda do kieliszka.

— Muszę pić — tłumaczył się Wołkow — ta banda wytrąca mnie z równowagi.

Dawne podejrzenia, które Wołkow wzbudzał w komisarzu Żarskim, odzywały się z większą siłą. Ale żadnych dowodów przeciw Wołkowowi nie udało się Żarskiemu zebrać. W duchu Żarski począł powątpiewać w swój talent detektywa.

Wołkow przechodził istne piekło ze strony swojej ukochanej, przezywanej „zimną kokotą”. Stawała się dla niego coraz niebezpieczniejsza. Z każdym dniem jej władza nad nim wzrastała. Trzymała go mocno pod zgrabnym pantoflem. Już nie ukrywała przed nim, że utrzymuje stosunki ze światem podziemnym. Nie była zawodową prostytutką. Wiedziała, że to prowadzi do rynsztoku. Wołkow nie był jej pierwszą ofiarą, która dostała się w jej sieci pajęczce. Ale jego potrafiła na dłużej przykuć do siebie. Instynktem kobiecym wyczuła, że Wołkow coś ma na sumieniu. I trzymała go mocno w swoich szponach.

Wołkow płacił grubszy pieniądz za luksusowo umeblowane mieszkanie, które jej wynajął. Na tym terenie jej prowadzenie się było bez zarzutu. Nie przyjmowała tu mężczyzn, ale gdy ją kto zapraszał do swojej garsoniery, to i owszem... Nie odmawiała.

Zimna kokota była jedną z tych urodziwych warszawianek, u których Moryc miał powodzenie i z czego był dumny... Poznał więcej ładnych kobiet, ale żadna go tak nie naciągała, jak przyjaciółka Wołkowa... Ona się tak świetnie orientowała w sytuacji, że

dawała mu do zrozumienia, iż domyśla się w jakiej „branży” jest czynny... Teraz, gdy Moryc bawił w Warszawie, często z nią spędzał wolny czas, a po obłowieniu się wyprawą do skarbcza obdarzył nawet „zimną kokotę” klejnotem. Spotykali się u znajomej jej siostry, znanej „szopenfeldziarki”⁴¹ warszawskiej...

Moryc jej nie wyznał tajemnicy swego życia, ale „zimna kokota” widziała go raz na ulicy w towarzystwie Janka, którego od razu poznała z fotografii okazanej jej pierwszego razu w restauracji.

Wółkow nie podejrzewał swej przyjaciółki o zdradę. Kiedykolwiek nie przychodził do niej o późnej godzinie, była sama w mieszkaniu, jakby czekała tylko na niego... Wylewał przed nią swoje żale i rozczarowania. Odgrzązał się:

— Ja ich przyłapię... wytępię... zniszczę...

Ale pewnego razu, gdy Wółkow wyrzucił z siebie przekleństwa pod adresem ludzi nocy, „zimna kokota” przerwała jego potok słów i zapytała obcesowo:

— Czym jesteś lepszy od nich? Czy w mundurze nie dopuszczasz się gorszych świństw? Stul pysk!

Wółkow nie wierzył własnym uszom. Tak przewiamiała jego przyjaciółka. Bładość pokryła jego lica. Instynktownie sięgnął ręką po rewolwer. Przyjaciółka przekonała się, że przeholowała i obróciła to wszystko żart. Ale zniechęciła go jeszcze silniej, nie dając tego po sobie znać.

Była córką starego katorżnika i złodziejki. Jej bliscy byli czynni w światku podziemnym. Czyż mogła naprawdę pokochać policjanta?...

Już jako piętnastoletnia dziewczyna dobrze zbudowana, o zgrabnych nóżkach, powabna i zalotna, była znana we wszystkich lokalach, gdzie panowie szukali zabawy i rozkoszy. Od razu ochrzczono ją przydomkiem „zimna kokota”, gdyż umiała wykorzystywać swoje ofiary, które narzucały się jej na każdym kroku.

Dwa lata grasowała po nocnych lokalach, nie oddając się nikomu, chociaż obsypywali ją drogimi klejnotami i kosztownymi prezentami. Ale oto nastąpiła chwila, która przecięła tę niebezpieczną grę z namiętnościami ludzkimi. Była to chwila, kiedy napotkała na swojej drodze przeznaczonego i zakochała się w nim na zabój. I już następnego dnia upajali się szczęściem małości. Ale przeznaczony, człowiek z jej sfery, człowiek nocy, wnet zaofiarował jej podróż do Argentyny... Co prawda, jej bracia pomścili krzywdę uwiedzionej, ale niejeden „kawaler księżycy” usiłował zarzucić na nią swoje sieci. Musiała sobie znaleźć możnego protektora i znalazła go w osobie Wółkova.

Spotkali się w osobliwych okolicznościach: została zatrzymana w czasie jednej z licznych obław. Wółkow zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. I ona zrozumiała, że będzie jej dobrze z nim... „Kawalerowie księżycy” byli odtąd zadowoleni, gdyż Wółkow zostawiał ich w spokoju... Zdawała sobie sprawę, przyjaźń z policjantem nie da się długo utrzymać, zresztą jej bracia nie mogli znieść tego wstydu, że ich siostra zadaje się z wrogiem ludzi nocy... Wiedziała, że musi odkupić ten grzech w opinii świata podziemia i czekała na odpowiednią chwilę.

I wkrótce ta okazja się nadarzyła. Wółkow, będąc podchmielony, wygadał się przed przyjaciółką. A opowiedział jej o takich rzeczach, które mogły go zniszczyć. Gdy wytrzeźwiał, nie pamiętał nawet, jakie głupstwo popełnił. Ale za to jego przyjaciółka obdarzona była świetną pamięcią. Odtąd trzymała go krótko. Został pantoflarzem. Wółkow nawet nie zdawał sobie sprawy z tej przemiany; nie domyślał się, że sam przyczynił się do tego.

Teraz, gdy Wółkow mawiał do niej, że kosztowne upominki, które jej przynosił, pochodzą z bogatej schedy po zmarłej w Ameryce matce, ledwie dostrzegalny uśmiech igrał na jej ustach... „Zimna kokota” już była doskonale poinformowana o źródle pochodzenia jego skarbu...

Ostatnio częściej przebywała w towarzystwie Moryca niż w objęciach Wółkova. Nie kierowało nią uczucie miłości do Moryca. Zależało jej na zetknięciu się z „Klawym Jankiem”... Wiedziała o tym, że Moryc jest współnikiem Janka.

Janek jej imponował. Od pierwszej chwili, gdy ujrzała podobiznę Janka w teczce Wółkova, poczuła do niego sympatię. Jego śmiała ucieczka z więzienia, a potem włamanie do skarbcza potęgowały w jej wyobraźni bohaterstwo „Klawego”.

⁴¹szopenfeldziarka — złodziejka okradająca sklepy lub magazyny. [przypis edytorski]

„Zimna kokota” wypytywała Moryca o szczegóły życia Janka i w ten sposób dowiedziała się o jego nagłym ataku szału. Moryc zapewnił ją, że to nic poważnego i że Janek wnet wróci do zdrowia. Opowiedział, że do chorego telegraficznie wezwano profesora z Poznania, który go uzdrowił.

ROZDZIAŁ XXVI

W jednej z wytwornych i wziętych kawiarni warszawskich przy stoliku siedziało dwóch panów, którzy byli zajęci lekturą gazet. W pewnym momencie ładnie zbudowany szatyn trącił łokciem sąsiada, szepcząc mu do ucha:

— Spójrz!...

Ten podniósł oczy na wchodzącą niewiastę.

— To ona. Na pewno ona! — ciągnął dalej przystojny szatyn.

— Tak, to ona — potwierdził komisarz.

Obaj policjanci niczym nie różnili się od pozostałych gości. W cywilnych ubraniach sprawiali wrażenie bogatych mieszczan.

W kilka chwil później do kawiarni wszedł starszy pan o siwiejącej czuprynie. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że to człowiek nauki. Oczyma powiódł po zebranych, po czym szybkim krokiem skierował się do stolika Anieli.

Komisarz Żarski nie wierzył własnym oczom. W przybyłym rozpoznał profesora z Poznania. Komisarz Żarski w mgnieniu oka powiązał zjawienie się profesora z ostatnim włamaniem do skarbcza. Gorąca fala krwi znamionowała jego radość. Był niemal pewny, że teraz natknął się na klucz do największej zagadki. Nie miał wątpliwości, że profesor poznański też jest udziałowcem międzynarodowej bandy rozpruwaczy.

Żarski stwierdził, że Aniela nie zdradza ani niepokoju, ani podniecenia. Jej duże oczy łagodnie spoglądały na profesora, który flegmatycznie o czymś rozprawiał.

Upajał się teraz jej urodą. Wąska kibić, piękne nogi, urok, który bił z jej czarnych, płonących oczu, regularne rysy twarzy — to wszystko składało się postać wymarzonej Bogini, której usta teraz całował w myśli, doznając utajonych rozkoszy.

Wiedział, że przemoc i siła nie odniosą u niej skutku. Żałował w duchu, że w swoim czasie próbował ją ujarzmić siłą.

Nie mógł pojąć, co za rolę przydzieliła Anieli banda Janka. Był pewny, że mimo wszystko Aniela nie macza rąk w zbrodni. Janek ją przykuł do siebie męskością, odwagą, bohaterstwem.

Wołkow zorientował się w sytuacji. Dostrzegł to, co rozgrywało się „pod skórą” Żarskiego i był zadowolony z jego słabości. Komisarz Żarski wyczuł ukryte myśli Wołkowa i zrobiło mu się nieswojo.

Ale oto stała się rzecz nieoczekiwana. Oczy profesora zderzyły się z wzrokiem komisarza. Obaj mężczyźni jakby na chwilę skamienieli. Ale już po minucie pokonali mimowolne zmieszanie. Tajemniczy uśmiech na twarzy profesora jakby mówił: „znowu spotkaliśmy się, ale to nic; wiem o tym, że pan mnie szpieguje”. Komisarz Żarski lekko się uklonił na znak powitania. Profesor schylił w jego kierunku głowę, po czym dał znak kelnerowi, że chce płacić.

Gdy profesor opuścił w towarzystwie Anieli kawiarnię, obaj policjanci poszli w ich ślady. U zbiegu ulic profesor pożegnał Anielę i poszedł w innym kierunku.

Komisarz Żarski polecił Wołkowowi dalsze śledzenie profesora, sam zaś postanowił zatrzymać Anielę.

Podążył za nią i zatrzymał przy przystanku tramwajowym.

— Przepraszam... — uchylił komisarz Żarski kapelusza.

Aniela utkwiała w nim swój wzrok.

— Sądziłam, że pan już zapomniał o mnie.

— Ja... ja... Muszę pani oświadczyć na wstępie, że jestem zmuszony panią aresztować. Obowiązek służbowy przede wszystkim.

— Aha, domyślam się: tam pan zamierza przeprowadzić przymiarkę pantofla...

— Tym lepiej, skoro pani jest uprzedzona...

Aniela zmierzyła go spojrzeniem, które zmusiło Żarskiego do porzucenia urzędowego tonu. Odezwał się po chwili:

— Chciałbym z panią pomówić o czymś ważnym.
 Na twarzy Anieli pojawił się grymas.

— Pana tematy rozmowy nie są mi obce. Wszak nie zapomniałam jeszcze *tamtej* rozmowy... Proszę zostawić mnie w spokoju.
 Żarski zawstydzony spuścił oczy.

— Ulica nie jest odpowiednim terenem dla rozmowy. Zapraszam panią do kawiarni. Niech pani odniesie się do mnie z odrobiną zaufania. Nie chcę wyrządzić pani krzywdy.

Po krótkim wahaniu Aniela zgodziła się na propozycję komisarza Żarskiego. Wrócili do poprzedniego lokalu, gdzie zajęli separatkę.

Żarski ujął rękę Anieli i przywarł do niej ustami.

— Kocham cię! Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia!
 — Panie komisarzu, pan się zapomina. Wstyd mi za pana.
 — Pani ma słuszość. Ale i pod mundurem policjanta bije serce ludzkie, które zdolne jest do wielkiej miłości.

— Ale ja kocham złodzieja — odparła lodowatym głosem.
 — Nie chcę wiedzieć, było przede mną. Przeszłość dla mnie nie istnieje. Poślubię cię. Odrodzisz się. Będziesz innym człowiekiem, wejdiesz do innego świata.

Aniela wstała z miejsca i zawołała:

— Nie, przenigdy! Nie zmienię moich uczuć! Gdy kobieta kocha złodzieja, nie może kochać policjanta!

Żarski zwiesił głowę ze smutkiem. Teraz przekonał się, że jej nie przerobi. Postanowił w duchu zmienić wobec niej postępowanie, mimo iż sumienie mu na to nie pozwalało.

— Zdziwiała mnie pani naiwność.
 — Co w tym naiwnego?
 — Że pani nie orientuje się w swojej sytuacji. Czy pani sobie zdaje sprawę, że gdybym tego zapragnął, po upływie dziesięciu minut może pani się znaleźć za kratami? Czy wie pani, że ją czeka surowy wyrok za udzielenie pomocy zbiegowi z więzienia?

— To co? — zapytała Aniela z ironią w głosie.
 — W imieniu prawa aresztuję panią!
 Ale Anielę to tylko rozśmieszało.

— Nie widzę powodów do śmiechu!... — odezwał się dotknięty jej zachowaniem komisarz Żarski.

— Jakże się tu nie śmiać, kiedy w imieniu prawa i ładu społecznego usiłuje mnie pan zmusić do prostytucji.

Żarski nie spodziewał się takiego zarzutu. W duchu przyznał jej rację. Czuł, że wstępuje na śliską drogę występku.

— Co się ze mną dzieje? — wyrwało mu się z ust.
 Zjawił się kelner, wezwany dzwonkiem. Żarski uścił naleźność.

I jakby nic nie zaszło między nimi, opuścili lokal. Gdy znaleźli się na ulicy, Żarski ujął Anielę pod ramię.

Aniela spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Niech pani się nie wzbrania. Tak pragnę z panią spacerować. Zapewniam, że od-tąd nie będę się więcej narzucał uczuciami miłosnymi. W moim wieku człowiek zaczyna popełniać głupstwa.

— Pan jest przyzwoitym człowiekiem.
 — Pierwszy komplement pani napelnia mnie radością. Dla pani jestem gotów wszystko uczynić.

— Wszystko? — uśmiechnęła się Aniela. — Nawet gdyby to było sprzeczne ze sprawiedliwością?

Żarski był tym zaskoczony, ale po pewnym namyśle, odezwał się:

— Dla pani jestem gotów skoczyć w ogień i wodę. Moja miłość jest silniejsza od wszystkiego.

— Pan to mówi poważnie?
 — Daję na to moje słowo honoru, że żadna kobieta nie oczarowała mnie tak, jak pani. Jestem gotów popełnić dla pani czyny nawet wbrew sumieniu.

Aniela, przytuliwszy się nieco do Żarskiego, odparła:

— Jeżeli tak, niech mi pan przyrzeknie, że odtąd nie będzie więcej prześladował Klawego Janka...

Komisarz Żarski drgnął, jakby poczuł ukąszenie żmii.

— Wszystko, tak, z wyjątkiem tego żądania.

— Gdyby pan naprawdę mnie kochał, byłby to pan uczynił, ale pan mnie tylko pożąda... — rzekła z wyrzutem w głosie.

— Twego Janka będę odtąd prześladował jeszcze energiczniej niż przedtem. Po pierwsze dlatego, że go kochasz, a po drugie że popełnił ostatnio zbyt wiele zuchwałych przestępstw, byśmy go wypuścili z rąk. Jego miejsce jest na szubienicy!

Anieli przez chwilę stała niezdecydowana, po czym szybko się zaczęła oddalać. Żarski najmniej się tego spodziewał. Rozsądek dyktował mu aresztowanie Anieli. Serce nie mogło się zdobyć na taki krok. Wzrokiem śledził oddalającą się Anielę, która wsiadła do nadjeżdżającego elektrowozu.

Idąc teraz ulicą, rozżalony do siebie, Żarski czynił sobie wyrzuty, dlaczego jej nie zaarrestował i odesłał tam, gdzie wdzięki kobiece nie odgrywają roli.

Kobieta, Więzienie

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#).

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nachalnik-rozpruwacze/>

Tekst opracowany na podstawie: Urke Nachalnik, *Rozpruwacze*. Powieść sensacyjna, wyd. M. Fruchtman, Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Dominika Szymańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).